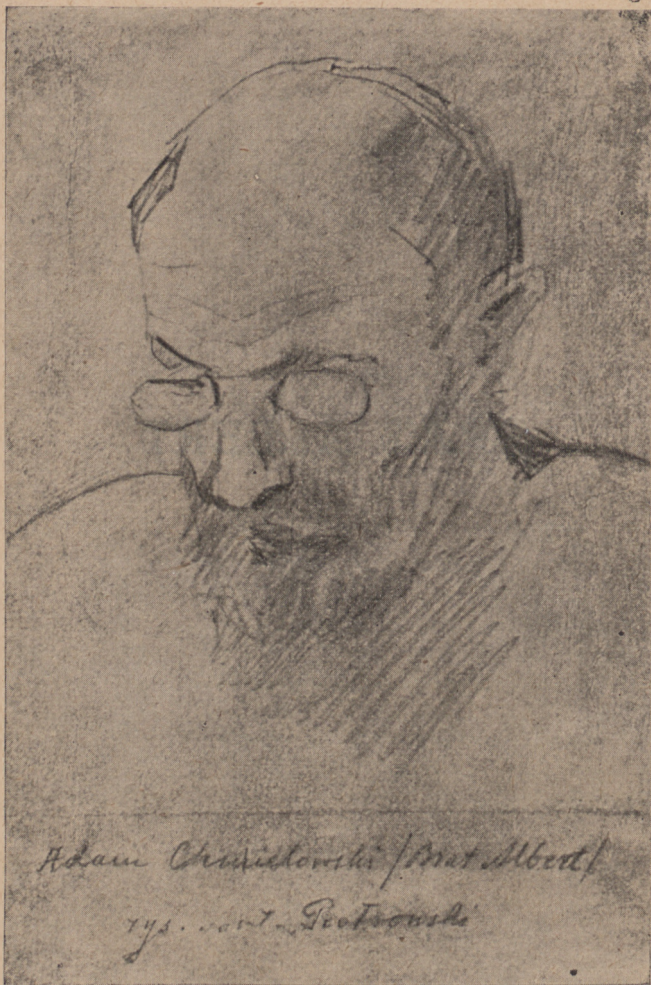


BRAT ALBERT



BRAT ALBERT

Ks. Konstanty Michalski

BRAT ALBERT

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN
(1846—1946)

KRAKÓW 1946

NAKŁADEM KRAJOWEJ CENTRALI „CARITAS”

261582



DRUKARNIA „POWSCIAGLIWOSC I PRACA” W KRAKOWIE.

M—11569

K. 2113/56

Należy do nas wszystkich. Należy do wielkich i małych, do możnych i słabych, bogatych i bezdomnych, świeckich i duchownych, do ludzi ze wszystkich stronnicstw politycznych. Należy najpierw do Krakowa, ale należy także do całej Polski. Gdyby był działał gdzieś na Zachodzie, pisano by jego życiorys we wszystkich językach, bo kto wie, czy po św. Franciszku z Assyżu znalazł się na przełomie XIX i XX wieku człowiek, który by ducha franciszkańskiego tak dosłownie i tak ofiarnie, heroicznie wcielał w swe życie, jak on, Adam Chmielowski, Brat Albert. W miarę jak czas od nas go oddala, rośnie jego wielkość i jego bliskość. Serca polskie otoczyły jego postać barwną legendą, ale piękniejszą od legendy jest sama rzeczywistość.

Głos ludu, głos tysięcy i milionów, vox populi musi się najpierw odezwać w Kościele, zanim jakaś postać podniesie się aż na ołtarze. Nie chcemy tu nic przesądzać, ale głos ludu polskiego wypowiedział się już samorzutnie, nazywając Brata Alberta rozmaicie, lecz kiedy się chce wypowiedzieć do dna duszy, myśli o świętości.

Przewidywał Brat Albert, że się zbliża nowy świat i pragnął tylko jednego, pragnął tego, żeby ten świat pozostał wiernym Chrystusowi. Zrozumiał także to, że kto chce budować nowe światy, musi całkowicie zapomnieć

o własnym interesie. On chciał zapomnieć o sobie tak, jak nikt inny w tym czasie na to się nie odważył, chciał o sobie zapomnieć przez bezwzględne ubóstwo. Takiego naśladowcy nie miał św. Franciszek z Assyżu od wieków.

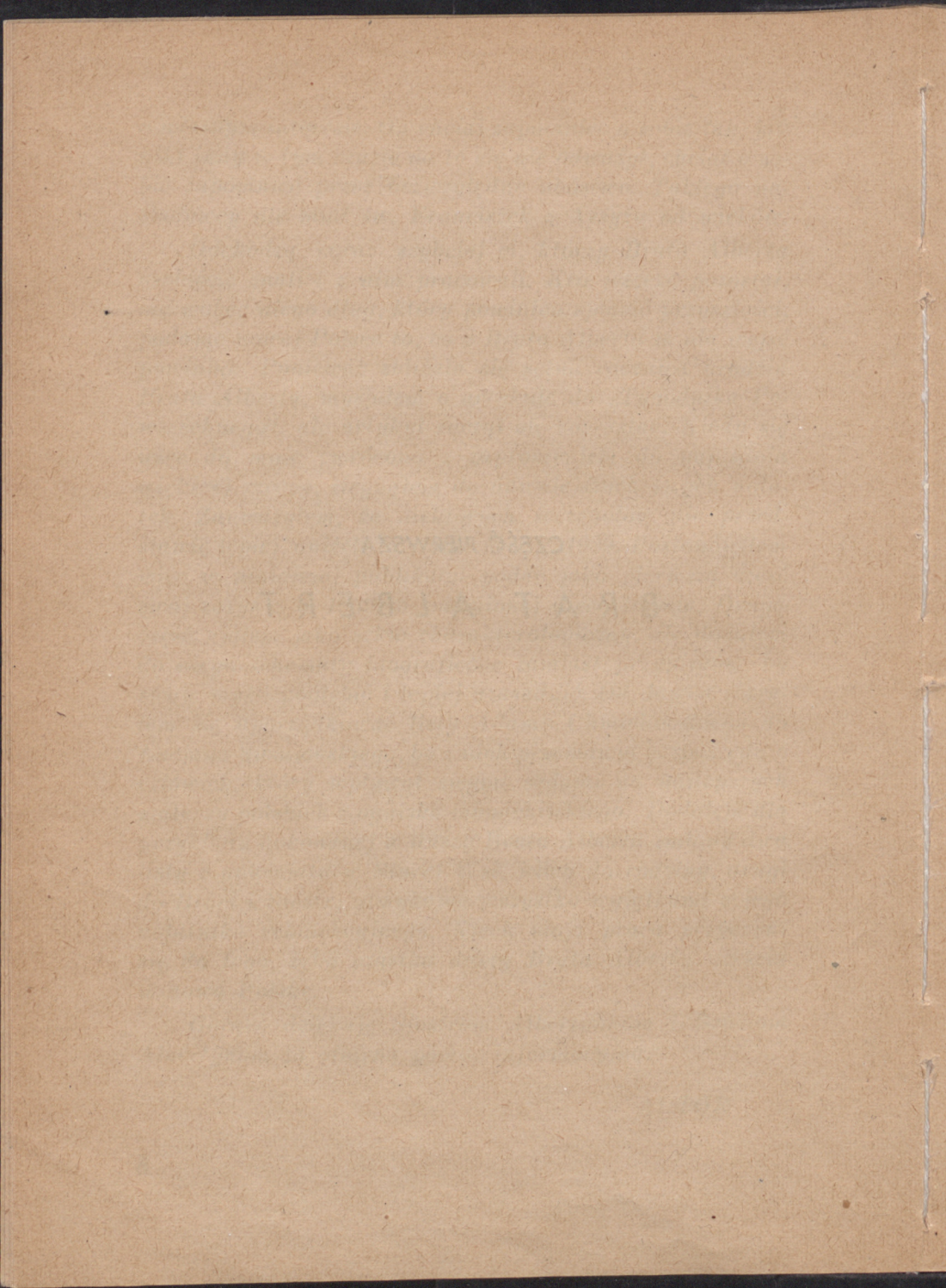
Odchodzą coraz szybciej ci, którzy Brata Alberta osobiście znali i z nim pracowali. Kto jeszcze pozostał, ma wobec niego dług, który powinien spłacić przyszłości, podając nowej Polsce to, co z Brata Alberta w nią wejść powinno. Ponieważ zbliżała się setna rocznica urodzin Brata Alberta, myślałem o artykule do „Tygodnika Powszechnego“, ale artykuł zaczął się rozrastać. Kiedy się więc do mnie zwrócono z zaproszeniem do napisania większej rzeczy, sięgnąłem do dawniejszych swych notatek. Zauważyłem, że niektórych szczegółów nie przedstawię lepiej, aniżeli to zrobiłem w r. 1939. Postanowiłem więc w niniejszej publikacji podać jako pierwszą część swój zarys z r. 1939 w zmienionej nieco formie. Drugą część ująłem jako szkic charakterologiczny, ale dodałem do niego schematy biograficzne zamiast przypisków, by swoje myśli pogłębić i lepiej uzasadnić. Od dawna starałem się uporządkować listy Adama Chmielowskiego do Łucjana Siemieńskiego, bo z nich przemawia bezpośrednio człowiek, który wpływał swymi sądami na najlepszych malarzy polskich z ogniska monachijskiego. Dodatem dla przykładu dokonanej w duszy Brata Alberta zmiany dwa listy z nowicjatu w Starej Wsi, jeden do rodziny, drugi do Braci i Sióstr, zamykając wszystko wyjątkami z jego notatnika rekolekcyjnego. Niech moja praca przyczyni się do tego, żeby cząstka duszy Brata Alberta weszła w nową Polskę.

Gorąco dziękuję Siostrze Albertynkom i Braciom Albertynom za ofiarną pomoc informacyjną.

AUTOR

CZĘŚĆ PIERWSZA

B R A T A L B E R T



1. W poszukiwaniu dróg

Nie pod koroną, lecz w szarym jak ziemia habicie przywarł do Skałki naprzeciwko Wawelu dziwny człowiek, co zamknął się z krakowską nędzą w nędznej jak ona ogrzewalni miejskiej. Dziwiono się tej postaci, ale też rozumiano, że idzie z niej coś takiego, jak permanentna rewolucja. Duszę swoją dawał Brat Albert za tych, za których w Krakowie już nikt jej dać nie chciał. Dosłyszał w sobie głosy znaków sakramentalnych i związanej z nimi nowej kapłańskiej miłości; dosłyszał głosy, które wołały do niego w pewnej chwili całą przerażającą potęgą naszej nędzy z końca XIX wieku: „Duszę swoją dasz?“ Marzył Adam Chmielowski w swej wyrafinowanej wyobraźni o tym, że spod jego pędzla będzie wychodziła *ars sacra*, że jak Fra Angelico w zakonnym habicie będzie brał z kontemplacyjnej modlitwy tematy do swych obrazów, a jednak w decydującej na całe życie i całe szczęście chwili odpowiedział na pytanie heroicznie: „Dam“.

Kto na taką decyzję spojrzy nie z wyżyny chrześcijaństwa lecz z poziomu własnego szczęścia i zwykłego, ludzkiego rozumowania, dozna w sobie wstrząsu jak Nienaski z „Nawracania Judasza“ Żeromskiego. Przeczuje w tym jakiś niezrozumiały heroizm, lecz ucieknie od niego jak od strasznej pokusy, bo mu się będzie zdawało, że cały świat odwraca się w jego oczach do góry nogami. Odczuł w sobie Adam całą potęgę nowej, kapłańskiej miłości i dlatego duszę swoją dał tam, gdzie inni dać nie chcieli, nie umieli.

Niemal całe dzieje Brata Alberta włożył Leon Wyczółkowski w ten portret, gdzie z ziemistej opończy Brata rodzi się tęcza cudna jak legenda, ale cudniejsza jeszcze

przez to, że wyświetla na zewnątrz ten heroizm i tę nową miłość, która jak spalający płomień zajęła sobą całą istotę dziwnego człowieka.

By zrozumieć głęboką przemianę w duszy Brata Alberta, można do niej podejść trzema drogami. Na pierwszą drogę wprowadza nas Charlotta Bühler w książce „O przebiegu życia ludzkiego jako o zagadnieniu psychologicznym“. Bywa czasem tak, że w samo niemal południe swego żywota człowiek zaczyna odczuwać głębokie niepokoje, zaczyna dochodzić do wniosku, że jego powołanie znajduje się gdzie indziej aniżeli sądził, że zatem trzeba zmienić dotychczasowy tor nawet za cenę osobistego szczęścia. Zazwyczaj przez takie przesunięcie się dominanty w życiu nie znika bynajmniej to, co dotąd zajmowało myśli i serce, a tylko otrzymuje nową rolę do spełnienia. Dominanta przesuwa się w rozmaitych kierunkach.

Wiemy, jak silnie oddziaływał Van Gogh na malarstwo XIX wieku. Żył zaledwie 40 lat, a jednak pchnął współczesny sobie impresjonizm na nowy tor, zadziwiając swą inicjatywą starszych od siebie kolegów paryskich. Żył zaledwie 40 lat, przeprowadził zachodnie malarstwo na nieznane dotąd drogi, a przecież i on doznał w swym życiu przesunięcia się dominanty. Zaczął Van Gogh nie od malarstwa lecz od służby dla biednych, dla źle płatnych robotników. Mieszkał z najbiedniejszymi i dzielił z nimi twarde ich los. Wyczerpał się psychicznie i moralnie tak dalece, że aż sam się wykolejał, tracąc jasność spojrzenia z umiłowania nędzarzy. Daremne były przestrogi brata i rodziców — trzeba było niewidzialnego tchnienia, co rozpała iskrę talentu w twórcze płomienie, by wydobyć Van Gogha z nędznej nory i wprowadzić w świat piękna artystycznego. Dokonało się przesunięcie się dominanty w jego życiu. Wprawdzie nigdy nie stracił uczucia braterstwa dla pokrzywdzonych, lecz twórcze jego zdolności należały odłączyć całkowicie do sztuki.

Jeżeli Van Gogh rzucił swą norę, by chwycić za pędzel i paletę, to Adam Chmielowski w południe swego życia postąpił wprost przeciwnie, gdyż rzucił pędzle, by się zamknąć w jednej ogrzewalni z tymi, przed którymi już wszystkie drzwi się pozamykały. Ze sztuką nie zerwał całkowicie Brat Albert; jeszcze raz po raz na chleb dla biednych coś

namalował, lecz jego najlepsze siły należały odtąd do „opuchlaków“.

Na drugą drogę wprowadza nas współczesna dyskusja nad istotą chrześcijańskiego humanizmu. Mówi się o jego teocentryzmie w przeciwieństwie do każdego humanizmu ateistycznego. Z tym wszystkim takie ujęcie nie wystarcza i nie zadawalnia, gdyż każdy humanizm musi w jakiś sposób dotknąć tego, co w człowieku stanowi jego piękno. — Taką postawę zajął kiedyś Dante, kiedy w *Convivio* wskazywał na ziarno duszy i ziarno łaski jako na dwa źródła wewnętrznego, ludzkiego i nadludzkiego piękna. Każde takie ziarno rozkwita w życie duchowe o właściwym sobie pięknie. Bywa tak, że piękno rozkwita tylko w wyobraźni lub intelekcie, nie dotykając serca i woli tak, iż poprzez całe ludzkie jestestwo odzywa się wewnętrzny, żywy rozdźwięk. Trzeba mieć w sobie wielką wrażliwość na piękno we wszelkiej jego postaci, trzeba mieć zdolność, by dostrzec zagadnienia piękna w jego metafizycznej głębi, jeżeli się chce zauważyć, że na dnie duszy samego człowieka tkwi obraz piękna bożego. Nie tylko malarzem lecz i religijnym filozofem był Chmielowski, kiedy stwierdzał, że dzieżina piękna sięga tak daleko, jak daleko sięga byt. Jego przyjaciele monachijscy nazywali go Platoniem, bo i w Platonie się rozczytywał i jak Platon ciągle wracał w dyskusji do odwiecznego Piękna, którego śladów należy szukać w całej stworzonej rzeczywistości. To też skoro przesunęła się dominanta w jego życiu, stał się z artysty w jednej postaci artystą w postaci innej. Jak zrazu szukał piękna w wytworach sztuki, tak potem szukał go na dnie ludzkiej duszy także pod łachmanami nędzy.

Na trzecią drogę wprowadza nas genialny przyjaciel Chmielowskiego, Maks Gierymski, który napisał o nim dziwne zdanie w swym *Dzienniku*: „Nieszczęściem (tego człowieka) było, że chciał łączyć w jedno teorię z praktyką, życie naginać do potrzeb poetycznych, że żądał od siebie więcej, niż natura dała człowiekowi, niż mu dać mogła“. By zrozumieć tę myśl trzeba zauważyć, że Gierymski był niewierzącym i tyle razy nazywał w swym *Dzienniku* religię jedyną poezją ludu. Stąd mówiąc o potrzebach poetycznych Chmielowskiego, miał na myśli jego żywą religijność. Istnieje zresztą w naturach artystycznych głę-

boka analogia i powinowactwo między ich aspiracjami do piękna a zasadniczą dążnością do Boga. Trzeba tylko dodać, że Gieryskiemu chodziło w tym wypadku nade wszystko o zgodność między myślą teoretyczną o tym lub innym pięknie a własnym życiem człowieka. Żalił się Krasiński, że przez niego płynie strumień poezji, ale on sam poezją i pięknem nie jest. Nie chciał Chmielowski pozostawać tylko w świecie swych marzeń i dlatego wszelką wewnętrzną antynomię usiłował w sobie zwalczyć za wszelką cenę, nie zdając sobie może nawet sprawy z tego, że w samym sercu jego dążności odzywała się coraz głośniejsza nowa miłość, co duszę swoją każe dać. To też nie nieszcześnie lecz jego wielkością było to, że łączył w jedno teorię z praktyką, że podnosił swe życie do wyżyny piękna religijnego, że dawał ze siebie więcej, aniżeli natura dać może.

Miał zaledwie siedemnasty rok życia, nie skończył jeszcze pierwszego roku szkoły rolniczej w Puławach, kiedy na pierwsze hasło poszedł z puławską siódmką stracenców do szeregów Frankowskiego. Gdy dostał się do niewoli, gdy go zamknięto w Ołomuńcu, wykradł się z więzienia, by jeszcze raz duszę swoją dać za sprawę polską. Jako pamiątkę po powstaniu włożył za sobą do śmierci żelazną rurę na kikucie nogi zamiast protezy na świadectwo tego, że za wolność kraju duszę swoją dawał.

Dawał ją także w swej twórczości artystycznej, zadziwiając tym swych monachijskich przyjaciół z lat 1869—1874. Zwykle się opowiada, jak to od niego otrzymał Maks Gieryski impuls do tematów z powstania styczniowego, jak to od niego zdobył tajemnicę wydobywania na płótnie pewnych efektów świetlnych. Dziennik Maksa dowodzi jednak, że tam chodziło o wpływy całkiem inne, głębokie. Także St. Witkiewicz wyznaje, że Adam wyzwał w Monachium starszych i młodszych przyjaciół z pęt szkolnictwa i utartych konwenansów.

Czytajmy listy Chmielowskiego do Siemieńskiego, pytając się ciągle, czego w sztuce nie znosił, a czego od niej żądał. Dostrzeżemy natychmiast, że zwalczał tezę, jakoby technika, rysunek i kolor były w malarstwie wszystkim a poezja i marzenie nie odgrywały tam pierwszej roli. Powtarzał, że kto idzie za taką tezą, popada w maniery i musi wreszcie znaleźć się na jednej z dwóch dróg: albo

będzie się uganiał za ekscentrycznością kolorów i sytuacji, jeżeli zapagnie rozgłosu, albo też zamieni artystyczne atelier na fabrykę, jeżeli pocznie szukać pieniędzy. Dla pieniędzy malował w Monachium Foltz same krowy tak, jak Fr. Adam malował niemal same konie, ktoś inny same zachody słońca, a Pilotti wracał ustawicznie do efektów księżycowych. W ten sposób Chmielowski malować nigdy nie chciał, a tylko wyznał pod koniec pierwszego roku studiów monachijskich, że jeżeli nie otrzyma od Dzieduszyckiego stypendium, jeżeli mu braknie chleba, to nie czując się gorszym od innych, potrafi sobie wyrobić „manierę“, by zarabiać na utrzymanie.

Nie o chlebie i manierze myślał w samej rzeczy, lecz o szczerzej, wielkiej sztuce, w której by mógł duszę swoją dać. Lubił orgię kolorów Makarta, bo sam kochał bogactwo kolorytu jak nikt inny, ale to mu wystarczyć nie mogło, to było tylko środkiem a nie rzeczą w sobie i dla siebie. Zaglądał chętnie do starej pinakoteki, bo tam mógł pić piękno u samego źródła a nie z konewki, jak mawiał, tam mógł się wpatrywać w ulubionego Van Dycka i Velasqueza; zaglądał zwłaszcza do gabinetu Schacka, bo tam pociągał go do siebie Feuerbach, a już wprost oczarowywał Böcklin. Pisał do Siemieńskiego, że u Böcklina nie widzi się sztuczek, lecz odczuwa się „bolesną poezję“, która w każdym widzu rozbudza myśl i marzenie. Posłał też kiedyś Siemieńskiemu rysunki Retla, które uważał za doskonałe, ponieważ widział w nich ekspresję.

Zauważmy jeszcze jedno. Przyznawał Chmielowski, że otoczenie, opinia, nabyte wiadomości i świat zewnętrzny wpływają na dzieło sztuki, lecz od razu dodawał, że o wszystkim rozstrzyga dusza, postawa i konstytucja artysty. Kto maluje szczerze, maluje z duszy, maluje tak, jak go Pan Bóg stworzył.

Współczesny typolog zapyta, jakim stworzył Pan Bóg samego Adama Chmielowskiego, do jakiego należałoby go zaliczyć typu. Wskazówki do odpowiedzi znajdują się zapewne w listach, znajdują się tam, gdzie Adam mówi, że w świecie rzeczywistym nie czuje się dobrze, że raz po raz zamyka się w własnym świecie, w świecie marzeń i „michałków“. Niewątpliwie dlatego nie lubił malarstwa historycznego, że przez swój realizm zamykało drogę jakim-

kolwiek marzeniom. Wskutek swej marzycielskości i postawy introwersyjnej schizotypika, sięgał więc do własnego świata „michałków“ lub do tematów zmroku dziejowego, skąd jeszcze ciągle może się rodzić bajka, legenda i marzenie. Chciałby malować bajkę o kwiecie paproci i o księżniczce, co miała rańtuch w gwiazdy, a szaty w księżycy. Malował Siestę włoską z czasów wczesnego renesansu i Idyllę, natchnioną przez Teokryta. W tym wszystkim mogła się do pewnego stopnia wypowiedzieć jego dusza, to pewna, ale co drzemało na samym jej dnie, odezwało się dopiero w chwili, kiedy po Idylli zaczął malować bajkę o dobrym synu, co szedł po wodę życia do źródła, które wytrysło gdzieś tam za górami i lasami. Mniejsza o to, że dostrzegł Adam, jak trudno w obrazie przedstawić w skrócie całą treść bajki i jej dynamikę, — mniejsza o to, bo w tej chwili stanęło przed nim po raz pierwszy inne nowe pytanie. Zwracał dotąd swój wzrok do wewnątrz, do świata „michałków“; teraz z głębin jego duszy wynurzyło się pytanie, czy można się oddać sztuce z całego serca i ze wszystkich sił, nie popadając w bałwochwalstwo. Żądał od artysty, żeby jego dusza i dzieło sztuki były czymś jednym, gdyż inaczej zjawi się zimna maniera. Jeżeli artysta ma malować z całej swej duszy a nie służyć dwom panom wbrew woli Chrystusa, zostaje mu tylko jedno wyjście, to, które wskazał Fra Angelico, obierając malarstwo religijne jako zadanie swego życia. Tam, w malarstwie religijnym, mogłoby się duszę dać, mogłoby się ją wypowiedzieć aż do najdalszych jej głębin. Zakończył Adam swe refleksje w liście do Siemieńskiego dwiema uwagami, z których jedna wskazuje na trudności związane z malarstwem religijnym, a druga zawiera decyzję. Trudność polega na tym, że na świecie nie podobna marzyć o tematach religijnych, bo trzeba by wpierw duszę oczwścić i uświęcić. Trudność rozwiązał Fra Angelico w ten sposób, że wstąpił do klasztoru św. Dominika. Ani jednym słowem nie wspomina Adam, jakoby chciał jak Beato Angelico pójść do klasztoru, lecz zato bardzo jasno wypowiada postanowienie: chcę u Boga uprosić łaskę — żebym mógł przejść do malarstwa religijnego.

Przed wszelkimi psychologami, co sięgają do podziemi podświadomości, powiedział pięknie św. Paweł, że ziarno

wsiane w glebę musi tam jakby obumrzeć, musi czekać, dopóki nie odczuje na sobie promieni wiosennego słońca. W duszy Chmielowskiego ziarno z okresu monachijskiego musiało czekać jakie ośm lat na swoje słońce.

W Warszawie (1875 — 1877) spotkał dawnych przyjaciół monachijskich, J. Chełmońskiego i St. Witkiewicza i zyskał nowych, Antoniego Piotrowskiego i Helenę Modrzejewską i zapoznał się z Henrykiem Sienkiewiczem. Jeżeli na jego obrazy z lat monachijskich, rzucają wiele światła listy do Siemieńskiego, to także obrazy z o k r e s u warszawskiego nie pozostają bez komentarza. Trzeba tylko zwrócić uwagę na fakt, że w tym samym roku (1876) wystawił w stolicy swój „Ogród miłości“ i ogłosił w *Ateneum* rozprawkę „O istocie sztuki“.

Kto spojrzy na „Ogród miłości“, przypomni sobie zapewne to, co Chmielowski w listach uznał za istotne cechy obrazu Böcklina: bolesną poezję, marzycielstwo i nieobecność łamanych sztuczek. Jednak w „Ogrodzie“ poza bolesną poezją i marzycielstwem odzywa się jeszcze dusza, która by chciała siebie dać, chciałaby oddać całe swe jestestwo.

Skoro już w listach uznał, że artysta i jego obraz są czymś jednym, to „Ogród“ i rozprawka „O istocie sztuki“ nawzajem się uzupełniają i tłumaczą. Mniej nas interesuje część krytyczna rozprawki, gdzie się dowiadujemy, czym sztuka nie jest i być nie powinna. Ślizga się po powierzchni sztuki, kto w niej widzi tylko technikę, tylko maniery, albo pyta się o temat utworu artystycznego, o jego tytuł, wątek czy przedmiot. Techniki, maniery czy „sztuki“ trzeba się nauczyć, lecz to bynajmniej do prawdziwej sztuki nie wystarcza, tematy można brać z różnych dziedzin życia, a przecież nie zmienia się przez to sama istota dzieła artystycznego. Obiera się błędną drogę, jeżeli się chce poznać istotę sztuki, zatrzymując się tylko na temacie i technice. Błędną drogę obiera także ten, kto jak Karol Blanc (*Grammaire des arts*, Paris 1870) wychodzi z definicji piękna, zwniosłości i stylu, by potem przeprowadzić dedukcyjne rozumowanie, gdyż pozostanie dla nas tajemnica, dlaczego oddziałujemy bezpośrednio inaczej na jedne dzieła sztuki, a inaczej na inne.

By poznać istotę piękna, należy wyjść nie z definicji, lecz z ludzkiej duszy, bo tam przede wszystkim znajduje

się źródło piękna. Jaka dusza artysty, takie i jego dzieła — wielkie lub małe, bogate lub mizerne. Nie może sztuka służyć żadnej innej dziedzinie jako jej środek lub narzędzie, choć też z drugiej strony nie może się zamknąć w sobie pod grozą śmierci. Zamiera prawdziwa sztuka, jeżeli nie wchodzi w strumień współczesnego życia, a na jej miejscu zaczynają rozrastać się sztuki i maniery. Z techniką powinno się złączyć życie duchowe, gdyż istota sztuki polega na zdolności do ekspresji takiego życia w tym lub innym stylu. Powtarza ciągle rozprawka, że nie ma sztuki bez wypowiedzenia się duszy, a dusza się nie wypowie, kiedy ma w sobie pustkę, kiedy nie odczuwa od wewnątrz bogatej dynamiki, co rodzi się nie tyle z myśli, ile raczej z uczuć. Zarówno technika jak i dynamika życia duchowego są potrzebne, lecz dynamika góruje i górować powinna nad wszelką techniką, nad rysunkiem i kolorem. Zaczyna się tu u Chmielowskiego odzywać to, co zapadło w jego duszę jako ziarno, gdy malował bajkę o dobrym synu: porównuje bowiem ze sobą Rafaela i Fra Angelica, by zawyrokować, że w ekspresji przewyższa Fra Angelico Rafaela, bo miał bogatszą duszę chociaż słabszą technikę. Także w tej rozprawce wraca myśl, że artysta musi przede wszystkim dawać z bogactwa swej duszy. Wobec tego nie dziwi nas wcale, że Chmielowski rozszerza dziedzinę sztuki, dowodząc, że każdego człowieka należałoby uznać za artystę, jeżeli tylko posiada bogate życie wewnętrzne i umie je wyrażać w pewnym stylu. Tworzy piękno rzeźbiarz i aktor, malarz i kwieciarka. Jak Bóg wypowiada się w każdym stworzeniu bez względu na jego wielkość, tak człowiek wypowiada się jako artysta bez względu na temat i materiał, byle by miał szczerą i bogatą duszę.

Widocznie w stolicy jak poprzednio w Monachium nie czuł się dobrze w świecie rzeczywistym, skoro wracał do swych marzeń, do michałków. Widocznie myśl o malarstwie religijnym i w Warszawie go nie opuściła, skoro wspomina o zdolności ekspresyjnej Fra Angelica; widocznie coraz silniej odzywało się w nim pytanie: duszę swoją dasz?

Zamieszkał we Lwowie w latach 1879/80, by tam znaleźć nowego przyjaciela, L. Wyczółkowskiego i doznać w swym życiu wyraźnego przesunięcia się dominanty.



Ecce Homo



Poczęła się najwidoczniej dominanta przesuwając, bo Bóg teraz wysłuchał jego modlitwę, by jak Fra Angelico mógł malować na tematy religijne. Istotnie niemal jak Fra Angelico malował „Wizję św. Małgorzaty“, gdzie na widok Chrystusa Święta zdaje się wołać w zachwycie głosem Chmielowskiego: duszę swoją dam. Mimo wszystko zatrzymamy się na innym obrazie, na „Ecce Homo“, który według Wyczółkowskiego w tym samym czasie znalazł się na sztalugach Chmielowskiego.

Będąc dwa lata temu we Lwowie, poszedłem do Ks. Metropolity Szeptyckiego, chcąc zobaczyć u niego „Ecce Homo“, gdyż nie wiedziałem, że obraz przeniesiono już do muzeum archidiecezjalnego. Chciałem pójść do muzeum, ale przykuty przez chorobę do miejsca Ks. Metropolita zaproponował, żeby zaczekać, bo obraz przyniosą do salonu i będzie można razem mu się przypatrzeć. Widocznie chciał coś ciekawego zauważyć, bo w jego oczach zapaliły się blaski, skoro tylko obraz stanął w miejscu. Niech ksiądz patrzy, zawołał z uniesieniem, niech ksiądz patrzy. To przecież nowy, genialny sposób przedstawienia Serca Pana Jezusa. Picasso czasem zniekształcał jakieś szczegóły w budowie anatomicznej człowieka, kiedy chciał wydobyć na wierzch niedostępny dla innych szczegół duszy. Brat Albert zdefiniował trochę ramię Chrystusa, lecz co z tego wyniknęło? Niech ksiądz popatrzy. Czerwona chlamida opada z ramion tak, że zarysowuje na ubiczowanej piersi Chrystusa olbrzymie serce. Cały Chrystus zamienia się w serce. To zbiczowane Boże serce. Ilekroć teraz sam spoglądam na reprodukcję „Ecce Homo“, widzę zawsze to olbrzymie Boże Serce przecięte z ukosa kilku razami z bicowania.

Malując swe dwa religijne obrazy ulegał Chmielowski głębokiej przemianie wewnętrznej, czując coraz bardziej, że przesuwają się dominanta w jego życiu, że raz od danej Chrystusowi duszy już dla siebie odebrać nie potrafi: czuł, że zbliża się jego „nieszczęście“.

Zapytajmy się, czy mamy jakiś komentarz do tych przemian duchowych, które się dokonały pod wpływem malowania obrazów religijnych, czy mamy coś takiego, co by mogło odegrać podobną rolę, co listy z Monachium lub rozprawka o istocie sztuki. Odpowiemy trochę para-

doksalnie, wskazując na dwa inne obrazy z czasów lwowskich: na myśli mamy obrazy, które się znajdowały u rektora, K. Kostaneckiego. Co się dzisiaj nazywa „Cmentarzyskiem“, nazywało się w roku 1880 „We Włoszech“, a rzekomy „Kardynał“ nazywał się „Szarą godziną“. Na powstanie obydwu obrazów patrzył Wyczółkowski, zostawiając nam o nich szereg notat, które otrzymałem do dyspozycji od p. Kleczkowskiego, prof. U. J. Według Notat „Cmentarzysko“ powstało na płótnie, na którym już widniała leśna boginka, a sam Wyczółkowski miał domalować kwiaty. Coś się jednak już działo w duszy Chmielowskiego, coś, co szło z przeżywania tematów religijnych, bo wróciwszy pewnego dnia do domu, zamalował boginkę, by na jej miejscu malować „Cmentarzysko“. Na pomniki i drzewa spływają z czarnych chmur i ciemnego nieba grube mroki, a tylko dwie smugi czerwieni palą się jeszcze na widnokręgu. Drugiemu obrazowi należałoby wreszcie przywrócić dawną nazwę „Szarej godziny“, bo co to za „kardynał“ z zasuniętym na głowę kapturem! Zresztą Wyczółkowski zapisuje w swych Notatach, że osobą, siedzącą na ławce, jest sam Chmielowski. Jeżeli w „Cmentarzysku“ czerwienią się smugi, to tu, w „Szarej godzinie“ zapaliły się zorze na siedzącej postaci. Dodają jeszcze Notaty, że Chmielowski widocznie od wewnątrz się przekształcał; zapisują, że idąc do teatru z Wyczółkowskim, nagle zawrócił do domu, że chwalił kiedyś tego, co wróciwszy z sali koncertowej kazał się zamurować w pustelniczej celi. Nastąpiło wreszcie pożegnanie serdeczne z Wyczółkowskim, takie, że niemal dwóch malarzy nie poszło do zakonu O. O. Jezuitów. Zapukał jednak do furty nowicjatu w Starej Wsi 24 września 1880 roku sam Adam Chmielowski.

Wskazują Notaty, że Chmielowski, malując obrazy religijne, zaczął się zmieniać, wypowiadając równocześnie zmiany swej duszy w dwóch innych obrazach, w „Cmentarzysku“ i w „Szarej godzinie“. Wszak według rozprawki warszawskiej na tym polega istota sztuki, że daje się z bogactwa swej duszy. Wyraził Chmielowski tajemnice swego życia w mrokach obrazów, w mrokach, które go odgradzały od świata w chwili, kiedy w nim samym zapalały się zorze nowego istnienia. Jedne obrazy stały się komentarzem dla drugich, by jednak tak je ująć, trzeba było

patrzeć na Chmielowskiego jak Wyczółkowski lub też odczytywać jego Notaty.

Nie znał przemian w duszy Chmielowskiego Henryk Sienkiewicz, pisząc w Gazecie Polskiej z roku 1881 sprawozdanie z warszawskiej wystawy Krywulta, gdzie się znalazły także lwowskie obrazy Chmielowskiego. Nie podobał mu się rodzaj malowania Chmielowskiego. „Szara godzina“ pisał ...ma... w sobie coś mistycznego, co jest właściwym tej porze. Chmielowski zdaje się być nieprzyjacielem określonych kształtów, a przyjacielem cienia, który je roztopia, mąci i pokrywa jakąś tajemnicą. I z innych jego obrazów zauważyliśmy ten kierunek (H. Sienkiewicz, Pisma, Publicystyka, wyd. L. Bernacki, t. V. s. 91). Gdzieindziej nazywa się Chmielowski skłonny do mistycyzmu ekscentrykiem, który źle rysował i malował „Cmentarzysko“ (We Włoszech), rozmiłowawszy się w cieniach. Więcej talentu w rysunku i kolorze okazał w Wizji, gdzie się wybija na czoło naiwność prerafaelitów. Mniejsza o to, że Sienkiewicz mówi o Wizji św. Teresy zamiast o Wizji św. Małgorzaty, bo wchodzi tu w grę ważniejsze momenty. Najpierw nie godził się widocznie Sienkiewicz na tezę Chmielowskiego, jakoby rysunek i kolor a nawet temat były tylko środkiem do ekspresji dynamiki uczuciowej malarza; nie patrzył też na przemiany duchowe Chmielowskiego jak Wyczółkowski; — nie widział, że „Cmentarzysko“ i „Szara godzina“ wyrażały to, co się stało w duszy ich autora, gdy przystąpił do tematów religijnych; nie widział, że jedne obrazy były komentarzami innych, religijnych.

Pytał się Adam w listach monachijskich i w warszawskiej rozprawce, czy sztuka nie wchodzi na drogę bałwochwalstwa, kiedy sama siebie ubóstwia, upatrując w sobie samej swój cel. Widział jedną drogę wyjścia z trudności, tę, żeby się zwrócić do tematów religijnych, żeby je malować szczerze i z czystą duszą, chociażby na to trzeba, jak Fra Angelico, wstąpić do klasztoru i duszę swoją dać, wydzwignąć ją do wyżyn piękna i poezji, trzeba by złączyć w jedno teorię i praktykę. Tę postawę ducha dostrzegał u swego przyjaciela już Maks Gierymski, będąc w Monachium powiernikiem jego tęsknot — i nazwał to „nieszczęściem“.



Wizja św. Małgorzaty Alacoque

• Tym swym „nieszczęściem“ był Chmielowski szczęśliwym w pierwszych miesiącach nowicjatu w Starej Wsi, dopóki nie nadeszło straszne doświadczenie boże, dopóki wśród rozmyślenia rekolekcyjnego o śmierci nie wypełniły duszy gęste mroki. Nie przewidywał Adam, że tak długo będzie odprawiał rekolekcje, że opuści nowicjat, by się leczyć we Lwowie i u swego brata Stanisława w Kudryńcach. Dopiero świątobliwy prałat Pogorzelski z Szarogrodu wyprowadził go z mroków na jasny gościniec, gdzie dojrzał, że można duszę swoją dać tak, jak ją dał kiedyś św. Franciszek z Assyżu. Wszak od gorącej duszy tego Świętego zapalił się malarski geniusz Giotta jak i płomień szerokich rzesz tercjarskich. Malował i odnawiał obrazy w wiejskich kościołach na Podolu, rozbudzał ruch tercjarski wśród rzesz włościańskich, dopóki się nie stało, co się stać musiało: musiał opuścić Podole, by się na zawsze przenieść do Krakowa.

2. Na drodze

Zjawił się Adam Chmielowski w Krakowie w chwili, kiedy tam dla jednych istniały polskie Ateny, dla innych istniał polski Rzym, a dla innych siedlisko polskiej nędzy. Chmielowski zaglądał do każdego z trzech światów, by wreszcie z jednym z nich, z polską nędzą, zamknąć się w miejskiej ogrzewalni.

Był artystą, więc nic dziwnego, że zapraszały go do siebie polskie Ateny, że bywał i dyskutował gorąco o sztuce w salonach Ludwika Michałowskiego i u Konstantego Przeździeckiego, sięgając jeszcze raz po raz do palety i pędzłów.

Był artystą, lecz czuł, że z nieuchronną siłą idzie na niego jego „nieszczęście“, że będzie musiał duszę swoją dać całopalnie i heroicznie. Począł zatem szukać w Krakowie polskiego Rzymu. Powstaniec z roku 1863 u wszystkich towarzyszy broni znajdował otwarte drzwi i serce. U krakowskich kapucynów żył wówczas kochany przez wszystkich powstaniec sybirak, O. Wacław Nowakowski. Ilekroć jakiś inteligent szukał „dobrego“ spowiednika, odsyłano go z reguły do O. Wacława, zanawiadając, że głębiej

wzruszy się zapewne spowiednik aniżeli penitent. Tak bardzo szanował były skazaniec swą więzienną siermięgę z Sybiru, że ją nakładał pod habit na wielkie święta. Przez kilka miesięcy. żył Chmielowski pod jednym klasztorным dachem ze swym przyjacielem, przwiązał z jego rąk prowizoryczny habit popielatego koloru, ale ostatecznie do kapucynów nie wstąpił.

Powstaniec zawsze powstańca odnalazł. Na ulicach Krakowa zjawiała się wówczas wysoka, szczupła postać karmelity O. Rafała Kalinowskiego, sybiraka.

Należał on niezawodnie do innego typu psychicznego aniżeli Adam. Wydawał się na zewnątrz surowym, a jednak i za życia wszystko do niego się garnęło i po śmierci z wdzięczności, z dobrego serca dosłownie roznoszono ziemię z jego grobu po całej Polsce. Z rozmów z O. Rafałem wyniósł Chmielowski na całe życie szczery kult dla św. Jana od Krzyża. Odtąd będzie mu wszędzie towarzyszyła oprawna w workowe płótno książka, którą będzie tłumaczył i sobie i obydwoj swym zgromadzeniom. Pisma św. Jana od Krzyża rozjaśniły Adamowi drogę przeżyć mistycznych, na której zapewne już wówczas się znajdował. Później wyda już dla swych zgromadzeń jego „Ostrożności“ w języku polskim.

W międzyczasie osiadł Chmielowski przy ulicy Basztowej, gdzie jedyną swą izbę przedzielił kotarą na dwie części, zajmując jedną z nich dla siebie i swego atelier, a w drugiej umieścił zebranych z ulicy biedaków. Kotara była zresztą czystą fikcją, gdyż po jednej jak i po drugiej jej stronie wyglądało mniej więcej tak samo. Nie było tam nigdy spokoju, ciągle żalili się sąsiedzi, a tylko Chmielowski się nie żalił, nawet wtenczas nie, kiedy jeden z jego lokatorów zabrał mu otrzymaną od rodziny gotówkę i uniemożliwił pościg, psując jego protezę. Nie myślał Chmielowski ani na chwilę o pościgu, bo już serdecznie pokochał Panią Biedę św. Franciszka. Pani Bieda poprowadziła go do Konferencji akademickiej św. Wincentego pod wezwaniem św. Jana Kantego; poprowadziła go do Zakładu ks. Siemiaszki; otworzyła mu wreszcie drzwi strasznej nory i nędzy, w miejskiej ogrzewalni i zapętała głosem nowej miłości: Duszę swoją dasz? — Dam, odpowiedział całą siłą

swego sumienia, chociaż jeszcze jasno nie wiedział, na jaką wstąpi drogę.

Przesunęła się już daleko dominanta w jego życiu, lecz jeszcze ciągle był artystą wrażliwym na piękno. Rwał go do siebie Srebrna Góra na Bielanach, bo z niej, z eremu Kamedułów widać Wysokie Tatry i najpiękniejszą dolinę Wisły pod Krakowem. Polubiono go u Kamedułów i zaproszono na dłuższy pobyt. Gdyby był poszedł za porywem swych upodobań artystycznych, byłby został na Bielanach, byłby tam malował dalej wewnątrz kościoła i niezrównane widoki. Nie poszedł jednak za marzeniami, namalowane obrazy sprzedawał na chleb dla nędzarzy z ogrzewalni, a tylko zachował w pamięci krój kamedulskiego habitu.

Głos nowej miłości i Pani Biedy przeprowadził go z ulicy Basztowej na Skałkę, do OO. Paulinów, by bliżej było ogrzewalni. Nie przestał być artystą. Zauważył na strychu klasztorным krzyż, którego używano do procesyj kościelnych. Już poprzednio pomalował Kamedułem śliczny krucyfiks w pierwszej kaplicy na lewo w kościele na Srebrnej Górze. Nie powiodło mu się z tą kaplicą, bo kamedulski braciszek zauważył, że drzewo ramienia Chrystusa nadpróchniało, wymieni ramię i cały krzyż zapokostuje. by mocno błyszczał ludziom w oczy. Tu, u OO. Paulinów, powiodło się lepiej, bo krzyż poniosą w przyszłości jego bracia pieszo w procesji do kaplicy na Kalatówkach, a jego przyjaciel monachijski, St. Witkiewicz, pokryje go dyskretnymi farbami.

Artystą był Chmielowski aż do końca życia, to prawda, ale Maks Gierymski nazwał jego nieszczęściem to, że chciał dawać więcej, niż natura dać może, że pragnął podnieść siebie samego do wyżyny piękna i poezji. Nowa miłość poszła mu teraz ze serca w oczy, bo jakby intuicyjnie dojrzał obraz boży w duszy człowieka, którego w miejskiej ogrzewalni żywcem zjadała nędza. Miłość i Pani Bieda zapytuje go po raz ostatni: duszę swoją dasz? Wpatrzony w obraz boży pod łachmanami nędzarza w ogrzewalni, odpowiedział Chmielowski heroicznie i na całe życie: duszę dam. Zamknął się w schronisku przy ul. Krakowskiej z krakowską nędzą, uznał ją za swoją wybraną cząstkę i rodzinę, stał się dla niej Bratem Albertem, założył dla niej zgromadzenia Albertynów (1888) i Albertynek (1890)

i został na całą Polskę symbolem tej nowej miłości, co idzie z serca człowieka do jego oczu tak, że w nędzarzu dostrzega piękno bożego obrazu. Brat Albert pozostanie nadal, na całe życie artystą, by służyć pięknu w sponiewieranym człowieczeństwie. Żaden humanista chrześcijański nie spojrział głębiej w tajniki człowieczeństwa. Sama łaska boża uszanowała niepospolitą indywidualność Brata Alberta i wprowadziła go na nowe drogi służenia nędzy przez uszanowanie tego, co w niej było pięknym. Brat Albert pozostał artystą.

3. W ogrzewalni

Nie rozczuloną słabością duszy bez szerszego widnokręgu jest nowa miłość, lecz siłą twórczą, która potrafi czasem odezwać się mocno, by wstrząsnąć sumieniami. Zadowolona ze siebie burżuazja na początku XX wieku miała oczy, by nie widzieć i uszy, by nie słyszeć. Nie widziała ani słyszała tego co zapowiadały ruchy rewolucyjne w Rosji z roku 1905. Za takich ludzi widział i słyszał Brat Albert, skoro się odezwał z niepokojem o przyszłość: „Zrobiłem spostrzeżenie, że zbiorowy rozum nie jest nawet tak wielki, jak rozum pojedynczy zwykłego chłopca na wsi. Chłop nigdy nie odmówi prosiącemu noclegu i chleba, bo wie, że może on go z zemsty podpalić, a społeczeństwo zdaje się nie myśleć o tym, że mnoży podpalaczy, którzy szkodliwi już są pojedynczo, w wielkiej zaś masie mogą stać się niebezpiecznymi“. Bał się, że stanie w płomieniach rewolucyjnych wielki, olbrzymi dom, który się nazywa społeczeństwem. Śledził pilnie wypadki w Rosji i marzył o wolnej Polsce, lękając się jednak o wielki, społeczny dom; — lękał się tego bezrobocia, co z człowieka robi złodzieja lub żebraka. Kto jak on zamknął się w jednej ogrzewalni z nędzarcami, miał prawo powiedzieć: „Człowiek, który z jakiegokolwiek powodu jest bez odzieży, bez dachu i kawałka chleba, może już tylko kraść, albo żebrać dla utrzymania życia“.

Kto koło roku 1905 i później konspirował i marzył w Zakopanem o zbrojnym, polskim czynie, interesował się samotnikiem w ziemistym habicie na Kalatówkach, bo

wiedziano, że się bił w powstaniu styczniowym. Chodzono czasem pod drewniany klasztor, by skrzepić siły widokiem tego dziwnego człowieka. Tak znalazł się zapewne w klasztorze Stefan Żeromski, zanim napisał „Nawracanie Judasza“ (1913). — Szli na rozmowy religijne z Bratem Albertem ci, co stracili wiarę w Boga, czując w sobie rewolucyjnego ducha. Nie wymienię nazwiska zmarłego już, wybitnego uczonego, który pielgrzymował na Kalatówki, by tam odzyskać utraconą wiarę. — Pielgrzymowali na Kalatówki inni, tacy, co tam chcieli odprawić rekolekcje, a jeszcze bardziej zbudować się widokiem bezwzględnej ubóstwa. Jeżeli kto podziwiał z dali dziejowej postać św. Franciszka z Assyżu, to przekonywał się na Kalatówkach, że nie trzeba jechać do Umbrii, by oglądać pamiątki po Poverellu, bo tę samą Panią Biedę pokochał Brat Albert tak, iż chyba bardziej jej ukochać nie można.

Dochodziły też na Kalatówki odgłosy z carskiej Rosji i echa tego, co się działo w Poroninie, gdzie gromadził się główny sztab rewolucyjnej konspiracji. Gdziekolwiek mówiono o zagadnieniu nędzy społecznej, tam Brat Albert miał zawsze coś do powiedzenia. Zapewnia się, że zaglądał do mieszkania Bucharinów, gdzie się miał spotkać z Leninem. Obydwaj, on i Lenin, myśleli o przebudowie świata, ale każdy z nich pojmował ją inaczej.

Brat Albert, zakładając swe zgromadzenia najwyraźniej porównywał swoją akcję z akcją komunistyczną. Jeżeli by się o tym wątpiło, można wziąć jedno pod uwagę, to, że w tym samym roku (1888) organizuje Brat Albert zgromadzenie tercjarzy i wydaje tercjarzski przewodnik, gdzie niemal na czele zjawia się zdanie, że tylko na jeden komunizm można by się zgodzić, na ten, co wyrasta z Ewangelii i opiera się o Kościół.

Zresztą metoda postępowania z nędzą była u Brata Alberta taka, że wprowadzała w zdumienie nawet tych, którzy w swej pracy szli za Chrystusem. Opowiadał mi jeden z księży, że przyszedł do niego kiedyś Brat Albert po radę. Zaczął go bowiem szantażować jakiś niecnota, grożąc, że wyjawia rzekome sprawy jednego z braci. Wymagował raz i drugi małą kwotę pieniężną, aż wreszcie postanowił sobie na tej drodze znaleźć źródło stałych dochodów. Co robić? Co robić? — powtarzał Brat Albert wo-

bec zaufanego księdza. — Ksiądz przyrzekł zająć się sprawą i postąpił tak, jak mu radził jego praktyczny, zdrowy rozsądek. Żle na tym wyszedł szantażysta, bo się znalazł w więzieniu śledczym. — Przyszedł znowu Brat Albert do swego doradcy z miną zafrasowaną. Znowu Bratu ktoś dokucza, pyta ksiądz. Nie, brzmiała odpowiedź, chodzi o tego krawca. Coś ksiądz zrobił! Coś ksiądz zrobił! Doradca przecierał oczy ze zdziwienia, aż wreszcie zrozumiał, o co chodziło, kiedy Brat Albert począł z żalem powtarzać: Zgubiłeś ksiądz duszę, zgubiłeś duszę!

Zdawałoby się, że kto tak się odzywa i takie głosi poglądy, musi w życiu przegrywać na każdym kroku, bo widzi wszystko na wspak. Niezawodnie tu jak gdzie indziej Brat Albert odwracał sytuację do góry nogami, zadziwiając swe otoczenie. Niejednokrotnie przegrywał z ludźmi przewrotnymi, jeżeli się myśli o grze na bliską metę, ale wygrywał, bez wątpienia wygrywał, jeżeli chodzi o metę daleką.

Różne prądy myśli i uczuć niosą ze sobą męty, które osiadają jako namuł na sumieniach, stępując je na zasadnicze nawet idee ewangeliczne. Trzeba dopiero paradoksalnie ostro postawić pewne zagadnienia, żeby przypomnieć ludziom najwyższą zasadę wszelkiej akcji, tę, że duszę bierze się duszą, bo inaczej przegrywa się na daleką metę.

Brat Albert zbliżał się do ludzi nieszczęśliwych i zbrodniczych, do chorych i przewrotnych, do zakłamanych i szczyrych; zaglądał do salonów, bywał u bogatych — a do jednych i drugich przemawiał swym ziemistym habitem, całym swym jestestwem.

Ujarzmił niegdyś groźne ruchy komunistyczne św. Franciszek z Assyżu przez to, że poszedł do ludzi z nową miłością w duszy i ze śladami ubóstwa na własnej skórze. — Brat Albert był teraz artystą, któremu nowa miłość wysubtelniła aż do intuicji duchowy jego wzrok. Ponieważ pracował dla biedy, chciał, żeby bieda była w nim i na nim i stąd płynął jego rygoryzm w zachowaniu ubóstwa.

Z regła nad Kalatówkami wskazał mu kiedyś Władysław Zamoyski swoje lasy, powtarzając: „Bierz, ile chcesz“, a Brat Albert z dobrotliwym uśmiechem odpowiadał kusicielowi słowami św. Franciszka: „Ani domu, ani żadnej

rzeczy". Tłumaczono, przekonywano z różnych stron, że trzeba wniknąć na inną drogę, lecz zawsze padała ta sama odpowiedź: „Ani domu, ani żadnej rzeczy". Pytał go braciszek, czy wolno nosić złote kapy na zębach. Odpowiedział mu ze zdziwieniem i wyrzutem: „Jak można pytać o takie rzeczy! Nosić chodaki i ziemisty worek, a w gębie mieć złoto — to byłby dowód nieprzyzwoitości".

Do wydziedziczonych szedł Brat Albert z biedą w sobie i na sobie, dawał im swoją duszę, a oni ją w swoją własną brali, bo widzieli po jego biedzie, że daje szczerze, że nie zakłamuje. Nie zapomnieli mu dotąd, że ich nie pytał o przeszłość, nie szperał w ich grzechach, lecz kazał im dać chleba. Nie zapomnieli mu, że kamedulski, biały habit zamienił na ziemisty, by się mógł ocierać o ich nędzę. Nie zapomnieli mu tego, że jadał nieraz z nimi z tego samego kotła, że kazał kotły odnosić do kuchni, ilekroć źle zgotowano. Nie zapomnieli mu, że wieczorami kazał bratu Andrzejowi grać na skrzypcach, by z ich dusz spłynęły smutek i rozgoryczenie. Nie zapomnieli mu, że chciał być dla każdego z nich dobrym jak chleb, który dla każdego leży na stole, by brał, ile mu się podoba. Nie zapomnieli mu tego, że ubóstwo było w nim i na nim, kiedy im dawał swą duszę w imię nowej miłości.

Nie zapomnieli mu tego wszystkiego wydziedziczeni, ale pamiętają mu to także ludzie z salonów i katedr uniwersyteckich, ludzie zamożni i ludzie z buntem w duszy. Całą swoją osobą, swą dobrowolną biedą wskazywał, że pomosty ponad przepaścią między zwaśnionymi ludźmi może rzucić nowa miłość, co idzie aż do oczu i potrafi w każdym dojrzeć i uszanować jego człowieczeństwo i zawarty w nim obraz boży.

Rzadko kto dostrzegął, skąd ostatecznie u Brata Alberta płynął ten wstrząsający heroizm, rzadko kto wiedział, że w głębi jego duszy spełniały się tajemnice mistyczne zjednoczenia z Bogiem aż do omdlenia sił fizycznych. Z góry brał swe siły i do góry pragnął wszystkich podciągnąć, bo czuł w sobie sakramentalne charaktery i związaną z nimi nową miłość, co każe duszę swoją dać. Powiedział o nim Maks Gierymski: „Nieszczęściem (tego człowieka) było, że chciał łączyć w jedno teorię z praktyką, życie nagiąć do potrzeb poetycznych, że żądał od siebie

więcej, niż natura dała człowiekowi, niż mu dać mogła". Co Gierymski nazywał „nieszczęściem“ Brata Alberta, to w samej rzeczy było jego wielkością i heroizmem.

4. Plotka, legenda i rzeczywistość

W ostatnich latach stwierdzono kilkakrotnie, że historia należy raczej do dziedziny sztuki aniżeli do nauki. — Pewnie rzadko kto na tę myśl się zgodzi, ale każdy przyzna, że postawa historyka mocno się komplikuje, ilekroć przystępuje on do biografii. Jeżeli go już trzeba porównać z artystą, to chyba sięgnie się do poety, do dramaturga, a nie do malarza lub rzeźbiarza, gdyż kształtowana w biografii postać powinna w naszych oczach urastać, powinna czynnie wkraczać w tok zdarzeń lub też zdarzeniom ulegać, odsłaniając równocześnie coraz inną stronę swej duszy i konstytucji, swych upodobań, sprawności i zasad, którymi się kieruje. Nie spełni swego zadania biograf, jeżeli wyliczy tylko zdarzenia, a nie wskaże, jak w nich i poza nimi odzywa się taka lub inna dusza. Zjawia się nowe niebezpieczeństwo, kiedy się rysuje portret historyczny wielkich ludzi, gdyż na widok ich bohaterstwa rozpoczyna się twórczy proces serca i wyobraźni, by fizjonomia nabrała kolorów i ciepła.

Większe jeszcze trudności musi pokonywać hagiograf, bo poprzez zwykłą psychikę powinien się dostać do nadnaturalnych motorów, z których idzie nowa dynamika, niedostępna dla człowieka niewierzącego. W hagiografii trzeba mieć na oku i to, co ludzkie i to, co nadludzkie. Kto nie wglądnął w subtelny organizm cnót moralnych i nadprzyrodzonych, kto nie zrozumiał, że w takim organizmie działa miłość boża jako ożywcza jego dusza, ten nie wydobędzie na jaw całej prawdy, zawartej w życiu Świętego. W tej samej osobie musi się złączyć talent i skrupulatność historyka z subtelnością psychologa i wnikliwością teologa, jeżeli obraz biograficzny ma być pełnym.

Gdziekolwiek zjawia się bohaterstwo a zwłaszcza heroizm świętości, tam zazwyczaj przed nauką zabiera głos legenda, wyrosła z wdzięcznego serca i pobudzonej wyobraźni. Od legendy różni się plotka, co towarzyszy wiel-

kim postaciom jako ich cień, złośliwy, przedrzeźniający cień, a nie jako ich tęczowa aureola. Legenda rodzi się wśród twardego życia ludu; plotka lęgnie się w atmosferze rozpróżniaczonej nudy. W legendzie kryje się zawsze ziarno prawdy tak, jak w plotce czai się co najmniej odrobina kłamstwa i kropla żółci.

Widocznie heroizm Brata Alberta działał silnie na serca i wyobraźnię, gdyż bardzo szybko wytworzyły naokoło niego barwną legendę. Legenda przejaskrawia różne rysy, przenosi wielkość z jednej dziedziny do innej, przedstawia daty, wypełnia luki, zbliża naiwnie wielkość osobistą do wielkości urzędu, szuka nadzwyczajności i tajemniczą nadzwyczajnością wszystko tłumaczy.

Heroizm świętości Brata Alberta oddziałal na otoczenie, a legenda ma swoje sposoby tłumaczenia. Przypomniano więc sobie, że według podania rodzinnego każde pokolenie Jastrzębców musi wydać człowieka nadzwyczajnego, dziwnego. Legenda sięga chętnie do wielkości z tego świata. Chętnie się zatem powtarza, że sam car wręczył małemu Adamowi odznaczenie w petersburskiej szkole kadetów, a król Luitpold zajrzał w Monachium do jego pracowni, podziwiając rozwieszony tam obraz. Legenda powiększa i mnoży. Wyolbrzymiono ilość obrazów Chmielowskiego i przeniesiono jego heroiczną wielkość z dziedziny świętości w dziedzinę malarstwa. Wiedzano coś o zagadkowym, nieskończonym obrazie Ecce Homo; wiedzano coś, a dodano wiele, mówiąc z Zeromskim o Kuszeniu Chrystusa przez szatana. Słyszano o omdleniu ciotki Petroneli na widok obrazu „Samobójca“, a zaczęto opowiadać, że ktoś tam rzeczywiście się zabił. Miał Chmielowski przeczuwać, przewidywać i przepowiadać. Może najwięcej ziarna prawdy zawiera w sobie legenda o budowie domu na reglu na Kalatówkach, chociaż najwięcej w sobie zawiera barw, zwłaszcza kiedy się wypowiada przez usta najstarszych towarzyszy Założyciela.

Nic dziwnego, że wnet Brat Albert począł się zjawiać w utworach literackich. Na pewno nie wprowadził go Sienkiewicz do „Tej Trzeciej“ wbrew temu, co się czasem opowiada. Na pewno też bardzo bładą, anemiczną jest postać Warsza w „J e s t e m“ Adama Krechowieckiego. Dopiero Zeromski w „Nawracaniu Judasza“ zarysował silnie boha-

terski profil Brata Alberta, chociaż równocześnie popełnił szereg pomyłek.

Biograf będzie z biegiem czasu wydobywał z każdej legendy zachowane w niej ziarna prawdy, będzie prostował pomyłki i wypełniał luki, tępiąc wszędzie zawistną plotkę.

Szukała plotka źródła przemiany w życiu Chmielowskiego, pytała się, dlaczego odłożył wreszcie pędzle i paletę i znalazła je tam, gdzie zazwyczaj sama harcuje. Opowiadała o zawiedzionej miłości, której nigdy nie było. Szkoda, że się nie zna wspomnienia Heleny Modrzejewskiej, ogłoszonego w Czasie (5. IX. 1910), bo by się wreszcie nauczyło czić to, co na cześć zasługuje.

Piękniejszą od wszelkiej legendy jest niezawodnie heroiczna rzeczywistość Brata Alberta. Im głębiej pójdą badania, tym więcej będzie w naszych oczach rosła ta niezwykła postać w szarej opończy tercjarza. Zdaje się dzisiaj niektórym, że kto taką opończę na siebie weźmie, ma w duszy strach przed światem i ludźmi, marnując gdzieś za zimnymi murami skarby swego ducha. To pewna, że Brat Albert wziął na siebie taką opończę, bo ukochał to, czego żaden świat ukochać już nie chciał, nie umiał; to pewna, że trzeba było heroicznej odwagi na to, by z duszą subtelną artysty zejść aż na dno nędzy świata, gdzie się zapalają ognie rewolucyjne i rodzą przewroty. Zdaje się nieraz, że w tej postaci znika niemal człowiek a rośnie wielka idea, wielki głos, co nawołuje do wyrównania przepaści przez pracę z obydwu jej brzegów. Chyba się nie traci czasu, gdy się przypomina tego rodzaju człowieka, wyrosłego w Polsce z ducha chrześcijańskiego jako hasło do pracy twórczej w dziedzinie społecznej, gdyż nie chodzi tu o samo miłosierdzie lecz o przebudowę świata w imię Chrystusa.

Odchodzą od nas szybkim krokiem ci, co znali osobiście Brata Alberta, więc trzeba notować to, co pamięć zachowała. Nie chcę opowiadać tego, co już gdzieś indziej powiedziano; nie chcę jeszcze raz wyliczać zdarzeń, które niezawodnie wpływały na przesunięcie się dominanty w jego życiu, bo postanowiłem zakreślić tylko zasadniczą linię przemian w jego duszy, wypełniając według możliwości istniejące luki.

Istnieje duża luka między powstaniem a studiami monachijskimi. Opowiadano wprawdzie o inżynierii w Gandawie i o studiach malarskich w Paryżu, lecz nie przytoczono żadnego świadectwa. Niech nam wypełni tę lukę najpierw zaprzyjaźniony z Chmielowskim Sygietyński, który pisze o przyjacielu, że wstąpił po powstaniu do szkoły rysunkowej w Warszawie (M. Gierymski). Niech nam tę lukę zapełni jeszcze więcej świadectwo, jakie otrzymałem od 90-letniego przyjaciela Chmielowskiego z czasów paryskich, Walentego Jakóbiaka ze Lwowa. Trudno wprawdzie z tego świadectwa wywnioskować, jakie były te studia malarskie w Paryżu, ale przynajmniej tyle się z niego dowiadujemy, że na pewno były, że na pewno Chmielowski mieszkał u malarza niemieckiego, Goetza, w Quartier Latin. To wszystko nie zmienia w niczym linii rozwojowej, jaką tutaj podałem, a tylko uzupełnia dane biograficzne.

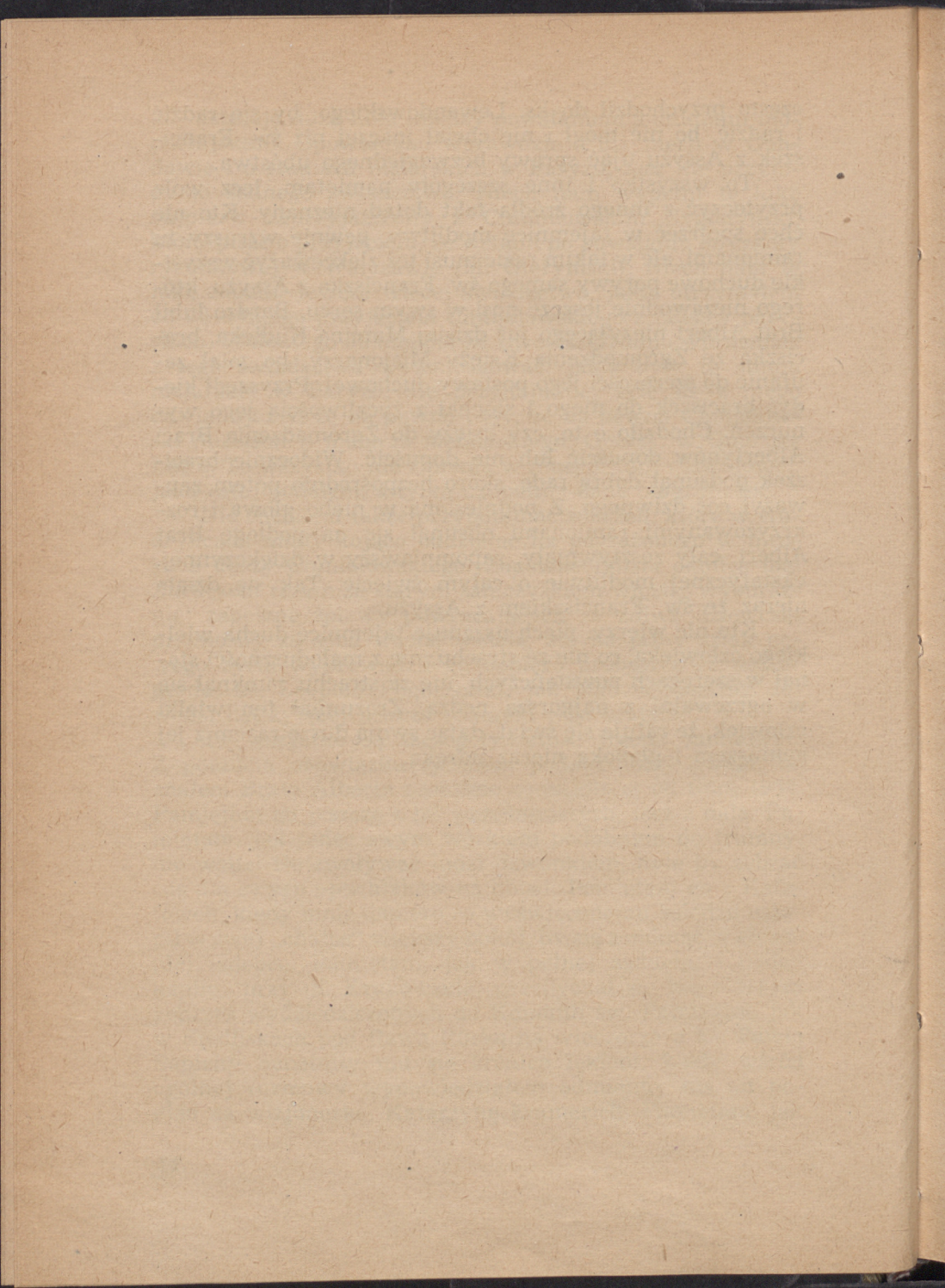
Nie chciałem także przypominać zdarzeń, które w Kudryńcach miały kojąco oddziaływać na pogrążonego w mrokach duszy Chmielowskiego. Zapewne falista okolica nad Zbruczem razem ze starym zamczyskiem więziły wyobraźnię; zapewne śpiewy powracających ze żniwa dziewcząt przynosiły ze sobą trochę wesela, ale na jasny szlak nowego życia wprowadził go dopiero proboszcz ze Szarogrodu, ks. Leopold Pogorzelski, jak tego ostatecznie dowodzi list żyjącej jeszcze bratanki tego prałata.

To wszystko są szczegóły, które trzeba zanotować. Z poczucia obowiązku spisałem podane tutaj uwagi, bo znałem Brata Alberta osobiście co najmniej od roku 1904. Pamiętam go jeszcze z lat wcześniejszych, lecz z dala. Pamiętam, jak jadąc swym wózkiem podobnym do trumny, nie wahał się zwoływać ludzi dzwonkiem, byle by zebrać coś dla swych opuchlaków na obiad. Pamiętam go z Kalatówek, kiedy mnie dopiero co wświęconemu księdzu ustąpił w swej „chatce“ większy pokój, by się zamknąć w szczupłej izdebce. Pamiętam, jak w pełnej zaduchu i nędzy kaplicy przy ul. Krakowskiej przepychał się ten olbrzym poprzez wydziedziczonych do Komunii św. Pamiętam, jak w Siedliskach pod Rawą Ruską na wieczorne u ks. Pawła Sapięhy napełniły mu się źrenice łękiem, kiedy wśród ogólnej rozmowy wypowiedziałem odmienny niż on pogląd na wizjonerkę, Katarzynę Emmerich. Pamiętam, jak

często przychodził do ks. Lewandowskiego, by się radzić i radzić, bo nie mógł i nie chciał inaczej niż św. Franciszek z Assyżu ująć sprawy bezwzględnego ubóstwa.

To wszystko i inne szczegóły pamiętam, lecz wolę przytoczyć z innego źródła fakt dotąd nieznany. Kto nie chce spojrzeć w tajemnicę modlitwy, pewnie wzruszy tu ramionami, ale w takim razie musi też zlekceważyć wszystkie duchowe porywy samego św. Franciszka z Assyżu, którego niezawodnie jeszcze nosi w swym sercu. Bardzo lubił Brat Albert nieżyjącego już dzisiaj Marcina Kudleka, braciśzka ze Zgromadzenia Księżv Misjonarzy, bo miał zaufanie do szczerości jego postawy duchowej. Przyszedł kiedyś braciśzek do niego i słuchał z życzliwością jego wy-nurzeń. Chodziło o to, czy księży do Zgromadzenia Braci Albertynów dopuścić lub nie dopuścić. Widocznie braciśzek podsunął dobrą radę, skoro bezpośrednio potem zau-ważył coś dziwnego. Z podniesioną w niebo głową i roz-krzyżowanymi ramionami obsunął się na podłogę Brat Albert, cały zesztyniał, zapomniawszy w dziękczynnej, ekstatycznej modlitwie o całym świecie. Tak się działo nieraz ze św. Franciszkiem z Assyżu.

Kto nie wierzy, niech uszanuje tajemnicę ducha wiel-kiego człowieka, co nie ze strachu, nie z małoduszności sta-nął w szeregach powstańczych, nie ze strachu zamknął się w ogrzewalni z najgorszą nędzą. Zrozumiał ten wielki człowiek, że ratuje się świat, dając swoją duszę razem z jej geniuszem i głęboką nieraz udręką.



CZĘŚĆ DRUGA

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN

1880

W. SETNA BOCCINCE URODZIN

SZKIC CHARAKTEROLOGICZNY

Nie może, nie powinna minąć bez echa setna rocznica urodzin tego wielkiego człowieka; nie powinna minąć bez echa zwłaszcza w Krakowie, gdyż tutaj pracował nad polską nędzą przez całe jedno pokolenie, tu powstały dwa jego zgromadzenia tercjarские, tu na jego pogrzeb szedł cały niemal Kraków.

* * *

Dzieło Brata Alberta nie skończyło się z jego śmiercią, bo dalej istniała nasza nędza; jego Zgromadzenia musiały otrzymać ostateczną prawno-kościelną regułę dla swego życia; nie skończyło się istnienie Brata Alberta nie tylko za grobem, lecz także w naszych duszach. By je zachować w naszej pamięci, pracowały i za jego życia i po jego śmierci rozum, serce i wyobraźnia, historia i legenda, a w ostatnich czasach odzywał się coraz silniej vox populi, głos wiernych, który utrzymywał, że odszedł od nas człowiek, którego najgłębszą tajemnicą była jego własna świętość, to też na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej powołał do życia Książe Kardynał Adam Sapięha osobną komisję dla przeprowadzenia wstępnych badań nad działalnością Brata Alberta, by otrzymane stąd wyniki przesłać do Rzymu i dostarczyć Stolicy Apostolskiej materiału do rozpoczęcia właściwego procesu beatyfikacyjnego. Zbierano materiały, zbierano listy Brata Alberta i wszelkie po nim pamiątki; wydawana przez Albertynów „Nasza Myśl“ drukowała na swych łamach wspomnienia przyjaciół i znajomych zmarłego, a SS. Albertynki prowadziły dodatkowo pracę pomocniczą. Tymczasem pracowały jeszcze ciągle rozum, wyobraźnia i serce, pracowała histo-

ria i legenda. Pisano coraz nowe życiorysy, ale tak, że w jednym przejawiała się cześć dla osoby zmarłego, w innych cześć dla prawdy, gdy tymczasem jedna i druga powinny się złączyć w jedno, by odtworzyć prawdziwe oblicze zmarłego. Serce i wyobraźnia przeszkadzały często rozumowi, a pamięć ludzka zawodziła, więc też nawet w drukowanym materiale „Naszej Myśli“ znajduje się sporo błędów i sporo przestawień chronologicznych. Najcenniejszy materiał, jaki posiadamy do pierwszego okresu życia Brata Alberta, listy do Łucjana Siemieńskiego, nie są datowane, a jeżeli w nich data się pojawia, to tylko jako miesiąc, jako dzień pewien tygodnia, a zawsze bez roku. Korzystano z listów, ale nie umiano się nimi posługiwać, nie uporządkowawszy ich wpierw chronologicznie. Staralem się wprowadzić w listy pewien porządek chronologiczny, ale to jeszcze nie wystarczy ani dla listów, ani dla innych materiałów. Tymczasem pracowały dalej legenda i historia, rozum, serce i wyobraźnia. Zaczęto interpretować niektóre fakty życia Brata Alberta, doprowadzając do zupełnego ich zniekształcenia. Bliższa mimo wszystko od Platona musi być prawda, a zwłaszcza kiedy się pisze w chwili, kiedy już rozpoczęła swe działania wstępne komisja miejscowa dla przygotowania terenu pod komisję papieską.

Okres pierwszy

GÓRUJE NATURA I SZTUKA

Dwa okresy wyodrębniają się bardzo wyraźnie w życiu tego niezwykłego człowieka, a pomiędzy nimi stała tajemnica, w którą może się zapuszczać myśl, ale cofa się od razu na jej brzegi, by przeprowadzić głębszą nad wszystkim refleksję. W pierwszym okresie pojawia się Adam Chmielowski artysta - malarz, w drugim Brat Albert z gromadą krakowskiej i dalszej polskiej biedy koło siebie. Adam Chmielowski ciągle szuka, jeździ po całej Polsce, jeździ od Petersburga aż do Paryża, do Monachium i do Wenecji; Brat Albert znalazł to, czego Chmielowski szukał

i dlatego przestał podróżować, osiadł przy krakowskiej ogrzewalni dla bezdomnych na całe ludzkie pokolenie. Legenda otoczyła swą tęczą kolorową obydwa okresy tego życia, sięgnęła nawet daleko wstecz, aż gdzieś do czasów św. Stanisława Szczepanowskiego.

1. Pochodzenie Brata Alberta

Wywodzą się Chmielowscy z Jastrzębców, którzy na Mazowszu siedzieli między innymi na Chmielowie. Utrzymało się w ich rodzie podanie, że co wiek, nawet co pokolenie zjawi się pośród nich jakiś dziwny człowiek. Jastrzębcy łączą się genealogicznie ze starszymi od siebie Boleścicami. Otóż Bolesta w roku 1172 zabił Wenera, biskupa płockiego. Podaniu ten fakt jakoś nie wystarczył, więc sięgnęło dalej i wyżej, sięgnęło do wieku XI, do konfliktu między św. Stanisławem a Bolesławem Śmiałym (Wł. Semkowicz). Osiedli na Mazowszu Jastrzębcy złączyli w sobie typ antropologiczny nordycki z armenoidalnym, wprowadzając w swe dziedzictwo biologiczne pewną dysharmonię, która według prof. Czekanowskiego wypowiada się między innymi w pojawieniu się nowotworów. Brat Albert wywodził się z Jastrzębców i posiadał pewną oznakę dysharmonii biologicznej, jaką notują antropologowie. Związły jego portret antropologiczny zostawił nam Antoni Piotrowski, jego przyjaciel z pracowni malarskiej w Warszawie: „Adam był to mężczyzna silnie zbudowany, brunet o nosie prostym i łagodnych niebieskich oczach... Zachowanie miał bardzo wytworne, czasem grymas jakiś skrzywił mu usta. Lat wtedy miał około 30-tu“. Portrety z lat późniejszych przedstawiają nam Brata Alberta z piękną, potężną czaszką i nosem o kształcie armenoidalnym. Czariny zarost i niebieskie oczy są wyrazem dysharmonii biologicznej, notowanym przez antropologów. Zostawmy to zrazu na boku i powiedzmy, że Brat Albert zmarł na nowotwór żołądkowy, co się zgadza z podaną poprzednio ogólną charakterystyką.

Byłby z nas niezadowolony św. Tomasz z Akwinu, gdybyśmy nic nie powiedzieli o konstytucji Brata Alberta, bo przecież w Sumie Teologicznej i gdzie indziej dość czę-

sto powraca do myśli o wielkiej roli, jaką odgrywa konstytucja w kształtowaniu się inteligencji i charakteru moralnego. Gdybyśmy chcieli mówić językiem Galena, tobyśmy powiedzieli, że u Adama Chmielowskiego przejawiał się temperament melancholijny; gdybyśmy natomiast chcieli się odezwać językiem Kretschmera i prof. Brzezickiego, oświadczylibyśmy się za typem schizotymicznym. Z konstytucją wiąże się pewne usposobienie uczuciowo-pożądcawcze, czyli posag, który człowiek musi wziąć na wewnętrzny swój warsztat, kiedy buduje własny charakter moralny. Do naturalnego posagu Brata Alberta należało jeszcze coś innego. On sam, był artystą-malarzem, ale jego młodszy brat Marian rzeźbił w drzewie, a córka brata Stanisława, Ewa Łunkiewiczowa była malarką i wielbicieleką swego stryja. Wskazawszy na posag naturalny, na dziedzictwo Adama Chmielowskiego, należałoby wskazać na współczynniki, które mu pomagały w jego pracy nad wykształceniem w sobie charakteru moralnego i wybitnego artysty.

2. Przyjaźń

Za taki współczynnik uważam na pierwszym miejscu przyjaźń. Św. Tomasz idzie za Arystotelesem, kiedy dowodzi, że istota przyjaźni polega przede wszystkim na komunikacji, na obcowaniu ze sobą dusz. Z zaprzyjaźnionej, otwartej duszy idą wszystkie jej dobra w drugą otwartą duszę z całkowitym zapomnieniem o sobie, byleby ją wzbogacić i do nowej rozbudzić pracy czy twórczości. Gdybyśmy odczytali dłuższy szereg biografii Świętych w Kościele katolickim, zauważylibyśmy, jak doniosłą rolę odegrała w ich życiu przyjaźń. Może gdzie indziej powiem, czym była przyjaźń w życiu św. Pawła; może tam powiem, jak pod wpływem przyjaźni wyrastały mu u ramion skrzydła, a kiedy przyjaciel od niego się oddalał, skrzydła mu opadały. Przyjaźni łaknie każdy człowiek, przyjaźni szukał Brat Albert i przyjaciół wszędzie i zawsze znajdował. Gdy znalazł nowych, nie tracił dawnych, a jedni i drudzy byli mu równie bliscy, równie drodzy.

Pierwszą szkołą przyjaźni, schola caritatis św. Bernarda, była dla Adama własna jego rodzina. Ojciec, Wojciech,

odumarł go bardzo wcześnie, bo już w r. 1853, ale jeszcze na sześć lat dalszych została mu matka. Urodził się wątłym dzieckiem, tak iż go ochrzczono z wody, a lekarze przepowiadali rychły zgon. Ale dziecko żyło, bo czuwała nad nim matka. Z pięcioletnim Adasiem pojechała 1851 roku do Mogiły, by go tam ofiarować Bogu u ołtarza przed cudownym ukrzyżowanym Panem Jezusem. Tam się modliła, kiedy jeszcze mieszkała w pobliskiej Igołomii a dziecko było zagrożone. Zmarł ojciec, borykała się sama z losem, wysłała Adasia do Petersburga, do szkoły kadetów, ale już po roku zatrzymała go w Warszawie, bo go chciała mieć przy sobie. Jak była pierwszą jego nauczycielką, tak chciała być jego pierwszą i ostatnią wychowawczynią. Zmarła w 38 roku życia, zostawiając w duszy najstarszego syna to, czego mu już nikt nie weźmie, głęboką wiarę i niezwykłą religijność. Zajęła się czterema sierotami ciotka Petronela z Chmielowskich Kobylańska, „kronika rodzinna“ od wielu pokoleń. Zapisała osieroconym cały swój mająteczek, ale nade wszystko dała im swoją duszę. Jak na to odpowiadał Adam Chmielowski dowodzi jego ilustrowany list do Krzyżanowskiej.

Poszedł Adam w siedemnastym roku życia do szkoły rolniczo-leśniczej w Puławach i znalazł się od razu w „siódemce“, która spiskowała i od razu zgłosiła się do powstania z chwilą jego wybuchu. W ciągu tułaczki powstańczej nieodstępny towarzyszem i przyjacielem był mu Franek Piotrowski. Po powstaniu zapisał się w 1865 roku do Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie się po raz pierwszy spotkał z innym powstańcem, Maksymilianem Gierymskim i już tutaj zawiązał się między nimi ten węzeł przyjaźni, jakiego nie rozerwą żadne losy. Tam także zbliżył się do pana Jakubiaka. Jakubiaka odnalazł w Paryżu, a kiedy wreszcie w roku 1869 pojawił się w Monachium, znalazł się w gronie ówczesnej Polonii i przeszedł do jej sztabu. W sztabie znalazł swego przyjaciela z Warszawy Maksymiliana Gierymskiego. Zaginął pamiętnik Gierymskiego, ale zostały z niego dłuższe cytaty w biografii Sygietyńskiego. Można tam znaleźć echa tej przyjaźni, która polegała na ciągłym obcowaniu dusz i była ze strony Adama Chmielowskiego silną jak śmierć, bo kiedy Gierymskiego zjadała gruźlica i dogorywał w Reichenhallu,

pojechał do niego Adam i pozostał przy nim aż do jego zgonu. Z Monachium pisywał niezwykle ciekawe listy do Łucjana Siemieńskiego, z którego rodziną się szczerze zaprzyjaźnił, robiąc z niej powierniczkę wszystkich swych zamiarów i trudności¹⁾. W Monachium także zawarł przyjaźń ze Stanisławem Witkiewiczem, która przetrwała wszystkie losy i wszystkie przemiany w życiu Chmielowskiego. Dziwnym jest to, że ani Gierymski ani Witkiewicz nie należeli do wierzących, a jednak Chmielowski ze swoją żywą religią w duszy potrafił w nich odnaleźć coś, co go z nimi wiązało i prowadziło do duchowego ze sobą obcowania. Jakie były tego wpływy, trudno o tym mówić, bo o wewnętrznych sprawach sędzi tylko Bóg. W Warszawie (1875—77) zamieszkał w pracowni Stanisława Witkiewicza, malując razem z nim, z Józefem Chełmońskim i Antonim Piotrowskim. Stracił w Reichenhallu jednego przyjaciela, a znalazł w Warszawie innego, Chełmońskiego. Zapoznał się wówczas także z Heleną Modrzejewską, a ostatnim echem jego czci dla tej wielkiej artystki jest list, jaki do niej napisał z nowicjatu OO. Jezuitów w Starej Wsi.

¹⁾ Ktokolwiek zainteresował się życiem A. Chmielowskiego, zauważył zapewne, że między pobytem jego w Paryżu a okresem studiów monachijskich znajduje się niewypełniona dotąd luka. Skąd wzięła się nagle przyjaźń między Chmielowskim a Łucjanem Siemieńskim i całą jego bliższą i dalszą rodziną, skąd się wzięła korespondencja monachijska ze Siemieńskim, skąd się wzięło stygendum Dzieduszyckiego z Pieniak na wyjazd do Monachium. By na te pytania odpowiedzieć musi się przyjąć, że Chmielowski po pobycie w Paryżu wyjechał do kraju do rodziny i zatrzymał się dłużej w Krakowie, zawierając tam przyjaźń z całą rodziną Siemieńskich. Trzeba się jednak zapytać, czy za tym postulatem przemówią jakieś fakty a przynajmniej niezauważone dotąd szczegóły w materiale biograficznym Chmielowskiego. Zdaje się i bardzo się zdaje, że tak.

Jedyną wskazówką jest rysunek piórkim na papierze, zaopatrzonej w notatkę „Wincenty Pol” — rysował Adam Chmielowski 1869—1870 w Krakowie (Dr Jerzy Sienkiewicz, Adam Chmielowski (Brat Albert), Warszawa 1939). Nie rysował oczywiście Chmielowski od r. 1869—70, a tylko autor notatki wahał się za wyrokować, o który dokładnie chodzi rok. W roku 1870 bawił Chmielowski w Monachium, więc może być tylko mowa o r. 1869. Wiemy także skąd inąd, że Wincenty Pol zaprzyjaźniony ze Siemieńskim przepędził ostatnie lata swego życia w Krakowie.

Drugą wskazówką stanowi szczegół podany w wywiadzie moim z p. Jakubiakiem, przyjacielem Chmielowskiego z Paryża.

Pojechał do Lwowa i tam znowu zamieszkał razem z Leonem Wyczółkowskim, razem z nim malował i obcował z głęboką, bogatą jego duszą. W swych notatkach nie znajduje Wyczółkowski dosyć słów na to, by wyrazić to wszystko, co czuł dla swego lwowskiego przyjaciela. Poszedł do nowicjatu OO. Jezuitów, poszedł w grubych mrokach duszy do swego brata Stanisława w Kudryńcach i tam w rodzinnej, jasnej atmosferze odnalazł światło, kiedy mu ponadto skądinąd podano pomocną dłoń. Przyjechał w r. 1884 do Krakowa i poszedł od razu do dwóch nowstańców z 1863 roku, do O. Rafała Kalinowskiego, Karmelity, byłego sybiraka, i do O. Nowakowskiego, Kapucyna. Zamieszkał u Kapucynów, ale serce ciągnęło go do O. Rafała przede wszystkim. Wreszcie zapadła decyzja. Nie wyrzekł się dawnych swych przyjaciół, ale zamknął się w ogrzewalni krakowskiej w roku 1888 z nowymi przyjaciółmi, z bezdomnymi, a potem założył dwa zgromadzenia, jedno Albertynów, a drugie Albertynek i miał obok siebie trzy rodziny, które miały być ze sobą odciążane węzłami serdecznej przyjaźni, miał obok siebie dwa zgromadzenia i wielką krakowską, a jeszcze większą polską biedę. Z tymi

Kiedy po wyjeździe swym do Włoch napisał Jakubiak na początku r. 1869 pod znany sobie adres mieszkania Goetza, otrzymał od tego odpowiedź, że Chmielowski wyjechał do Rosji i bardzo się o niego obawiał. Goetz na pewno wiedział, że Chmielowski wyjechał do kraju, a nie wprost do Monachium, dając nam przez to możliwość do wypełnienia luki w życiorysie Chmielowskiego.

Trzecia wskazówka znajduje się w ogłoszonych tutaj drukiem listach do Siemińskiego nr 1. Krytykuje bowiem w nich Chmielowski rodzaj malarstwa Matejki. Na uwagę zasługuje przede wszystkim list nr 1, gdzie Chmielowski dziękuje p. S. za wiadomości przesłane przez Soldenhofa, który w podróży do Monachium zatrzymał się u Siemińskiego w Krakowie. „Dużo mi opowiadał, czytamy tam, o Matejce, którego wielbi, jak każdy, co się zabierze do sztuki a z Krakowa przyjedzie; i ja też póki byłem w Krakowie, tom się mocno dziwił, czemu Pan Łucjan Siemiński i poeta i znawca, nie płacze z rozrzewnienia nad takim wściekłym Polakiem z podsiniałymi ponuro oczami, w ślicznym kontuszku albo delii. Teraz zmieniły mi się gusta. Widziałem fotografię z „Unią“. Chmielowski najwyraźniej mówi, że podziwiał kiedyś Matejkę w czasie pobytu swego w Krakowie. Można by się już o to tylko pytać, czy się zapisał do tamtejszej Szkoły Sztuk Pięknych, która się wtenczas mieściła jeszcze w Collegium minus, Wykluczonym to nie jest, ale dowodów na to mimo próby nie znalazłem.

trzema rodzinami obcował odtąd najczęściej duchowo i duszę swoją im oddawał, a one nawzajem dawały mu swoją. Kiedy przez rynek krakowski szedł kondukt pogrzebowy Brata Alberta, szła za orszakiem wielka rzesza krakowian, a na baczność stanęli pierwsi polscy żołnierze.

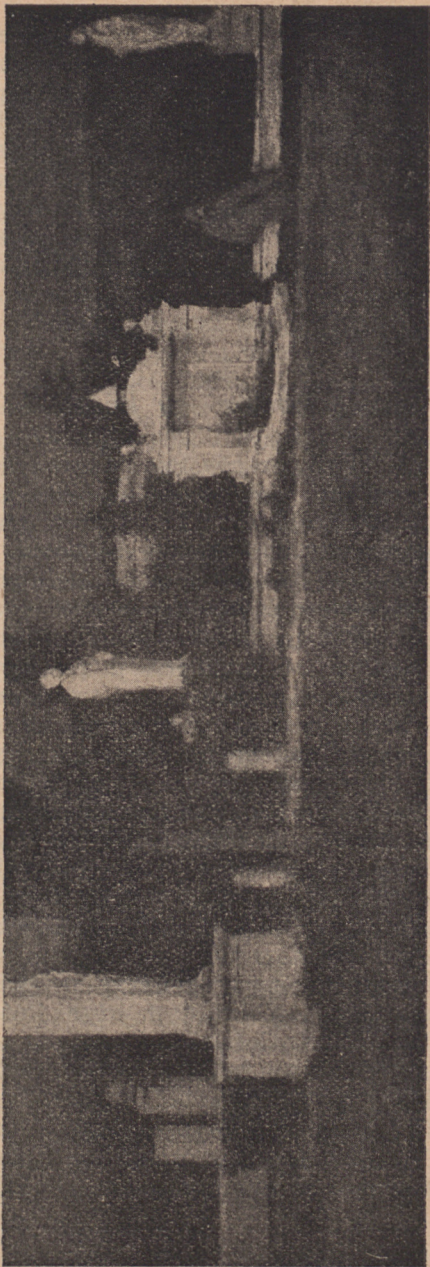
3. Sztuka

Drugim współczynnikiem kształcenia myśli i serca Brata Alberta była sztuka. Tęsknił do piękna. Kiedy w roku 1876 ogłosił w „Ateneum“ warszawskim swój artykuł „O istocie sztuki“, nie miał odwagi, by powiedzieć, że człowiek tworzy piękno naśladowując samego Boga, który także piękno tworzy zarówno w drobnej trawce, jak i w wielkich światach gwiazdzystych. Nie powiedział tego wyraźnie, a jednak powiedział. Powiedział także, że każdy człowiek tworzy piękno na swój sposób, a nie tylko artysta. Nieraz z przed swej chatki na Kalatówkach patrzył na turystów przechodzących w górę w kierunku Giewontu i odzywał się raz po raz: „jak ten człowiek pięknie idzie“. Widział Chmielowski, że wszyscy piękno tworzą i dlatego też on chciał tworzyć piękno z paletą i pędzlem w ręku. Dla tej sztuki głodował, cierpiał, tułał się od Warszawy do Paryża, do Monachium i znowu dalej po tyłu polskich wsiach, byleby dojrzeć piękno i piękno w obrazie uwiecznić. Przynosił ze sobą swój melancholijny temperament i, jak koledzy mówili, swe dziwne odczucie koloru w oczach, że i Gierzyński go podziwiał, chociaż widział, że gorzej rysuje. Był melancholijnym marzycielem i dlatego miał swój wewnętrzny świat, jakby wysniony i do niego raz po raz powracał. Chciał ilustrować bajki, rozczytywał się w Teokrycie, szedł ze swymi „michałkami“, za marzeniami, a potem kładł na płótno farby, jak nikt inny tego nie robił. Podziwiał Böcklina i głęboko go przeżywał. Był marzycielem i melancholikiem. Nie był nigdy zadowolonym z tego, co już zrobił, a nieraz własne swe dzieło niszczył. Uderzają ciemne tony, jakie wprowadzał do swych obrazów, do „Ogrodu miłości“, powstałym w Warszawie, kiedy to niemal równocześnie namalował „Pogrzeb samobójcy“, który wzbudził sensację. Antoni Piotrowski patrzył wówczas na pracę



We Włoszech

Chmielowskiego i napisał w swym wspomnieniu o nim, że dostawał nieraz handry, a wtedy niszczył to, co poprzednig zrobił. Zniszczył także „Pogrzeb samobójcy“, tak, iż pozostały po nim tylko dwa szkice. Dlaczego? Dwie wersje podaje o tym legenda. Maluje Mnicha na cmentarzu, gdzie znowu wszystko tonie w półmroku, a potem maluje o boku Wyczółkowskiego coś w jasnych kolorach, jak Fra Angelico i coś w swych tonach ciemnych. W jasnych maluje „Zjawienie się Pana Jezusa św. Marii Alacoque“, w ciemnych „Szarą godzinę“, „We Włoszech“ i „Ecce Homo“. Wziął ze sobą do nowicjatu dwa obrazy: ten o jasnych kolorach, „Zjawienie“, i ten o kolorach ciemnych, „Ecce Homo“. W jego własnej duszy zjawia się mroki i zostawi w Starej Wsi „Zjawienie“, ale „Ecce Homo“ wszędzie z nim powędruje, pójdzie z nim aż do krakowskiej ogrzewalni. Skoro w duszy zapaliło się znowu słońce, rozpoczęła się twórczość artystyczna może najbogatsza i w najszybszym tempie w całym jego życiu, dopóki wreszcie nie zamknie się w ogrzewalni. Jeszcze będzie malował, jako Brat Albert, ale już tylko na chleb dla bezdomnych, albo na to, by swym dwom rodzinom dać św. Franciszka, czy też Niepokalaną, a dla jednego i drugiego Matkę Boską Częstochowską. Tłumaczył się, że u sztalug trzeba długo stać, że trzeba czekać na dobrą godzinę, na szczęśliwą chwilę, a bezdomni czekać na niego nie mogą. Poszła więc paleta z pędzlami w ką, ale Brat Albert był artystą aż do końca. Według niego wszyscy ludzie tworzą piękno na swój sposób, on sam tworzył je teraz inaczej, tworzył je w sobie samym, przewycięzając dysharmonię biologiczną tak, iż łaska wzięła u niego górę nad wszelką naturą. Ewa Łunkiewiczowa jako jedynastoletnia dziewczynka, podczas pobytu matki w Krakowie, przychodziła częściej do Brata Alberta. Była nerwowa, nie mogła czasem z matką wytrzymać, a matka z nią, a wtedy szła do Brata Alberta, bo tam u niego z duszy jakoś wszystko odpływało i spokój wchodził. Jak pszczoły do miodu, tak ludzie Ignęli do Brata Alberta. Zapukał kiedyś Hubert Rostworowski do ogrzewalni, by na zawsze w niej się zamknąć z Bratem Albertem. Nie przyjął Albert takiej ofiary i wskazał mu zadanie gdzie indziej, miał pracować przez sztukę, przez piękne słowo dla sprawy bożej i ludzkiej. Kiedy mieszkał na Kalatówkach, odbywały się pielgrzymki



Szara godzina

do jego chatki. Szli tam artyści, uczeni, wierzący i niewierzący. Chodził tam przez pewien czas prof. Bauduin de Courtenay, ale po pewnym fakcie chodzić zaprzestał. Powtarzał Brat Albert, że trzeba być dla wszystkich dobrym jak chleb, bo chleb dla wszystkich leży na stole. Jak głodni do chleba, tak ludzie szli do Brata Alberta, by się podnosić, polepszać w kontakcie z jego duszą. Był artystą na inny już, nowy sposób. Przewyciężył w sobie dysharmonię biologiczną i pomagał do jej przewyciężenia u innych, u najwięcej opuszczonych, u bezdomnych. Także dla nich i przede wszystkim dla nich był dobry jak chleb.

4. Sztuka czy Bóg

Dlaczego tak ostro przeciwstawiać? Bo przeciwstawiali ludzie i na przyszłość przeciwstawiać będą. Ilekroć świat będzie myślał antropocentrycznie, tylekroć znajdzie nowe bożyszczą i nowe dla nich będzie budował ołtarze. Żył Adam Chmielowski w otoczeniu, gdzie nieraz sztukę umieszczano na najwyższym szczeblu hierarchii wartości. Wystarczy dzisiaj zajrzeć do zeszytów wydawanej u nas „Chimery“ lub „Życia“, by się przekonać o tym, że pytanie wyrastało z życia. Pytanie jeszcze dzisiaj trwa, jeszcze dzisiaj rozbrzmiewa i rośnie w swej sile w miarę jak urasta antropocentryzm. Adam Chmielowski miał wśród swych przyjaciół ludzi niewierzących, ale ich nie porzucił aż do ostatniej chwili ich życia. Niewierzącym był najbliższy mu w Monachium Maksymilian Gierymski. Szkoda, że zaginął jego dziennik, ale z cytat monografii Sygietyńskiego można dosyć jasno dojrzeć, jaka tam kołatała się dusza. „Czy mogę powiedzieć, pisał w zaginionym dzienniku, że nic moralnie nie jestem winien Adamowi Chmielowskiemu, że nie wpłynął on na wykształcenie się we mnie człowieka i artysty?... Czy byłbym bez niego zupełnie tym, czym jestem? Czy nie jemu to zawdzięczam wydobycie na wierzch z mego umysłu i serca pewnych strun, które nie dźwięczały? Czy byłbym się i w innym towarzystwie rozwinął na właściwej sobie drodze?... Nieszczęściem było (Chmielowskiego), że chciał łączyć w jedno teorię z praktyką, życie naginać do potrzeb poetycznych, że żądał od siebie więcej, niż natura

dała człowiekowi, niż mu dać mogła". Może dotąd nikt lepiej nie scharakteryzował Adama Chmielowskiego niż Gierymski w ostatnim swym zdaniu. Istotnie Chmielowski wymagał od siebie więcej, niż natura dała człowiekowi, nawet więcej, niż natura mu dać mogła. Chmielowski żył nie tylko z natury, lecz z Boga i łaski, wywierając przez to niezłomny czar na wszystkich swych kolegów, a zwłaszcza dlatego, że nikogo głęboką swą religijnością nie raził, nie kłuł i nie ranił. To była tajemnica jego powodzenia u bogatych natur artystycznych. Prosił o przyjęcie na Tercjarsza Karol Hubert Rostworowski. Brat Albert go nie przyjął, bo znał jego bogaty geniusz i wiedział, że potrzebny jest dla Polski jako budziiciel jej sumienia. Uratował nam Rostworowskiego. Lgnał do Chmielowskiego w Monachium nie tylko Gierymski lecz także Witkiewicz, a potem Chełmoński i Piotrowski, bo odczuwali, że t. zw. „nieszczęście“ Gierymskiego było największym dla niego szczęściem, rozlewając w koło siebie nieodparte uroki.

Kiedy się analizuje świadectwo Gierymskiego o Chmielowskim wspomina się zwykle, a raczej wyłącznie, dwa momenty, jako dwie wielkie wartości w duszy Adama: był wielkim kolorystą i był powstańcem, jak Gierymski. Miał w oku kolory i tym działał na Gierymskiego; niósł ze sobą tragedię powstania i tym jeszcze raz na niego oddziaływał. Nie myli się, kto tak mówi, ale nie sięga do głębi. Dusze Gierymskiego i Chmielowskiego były sobie pokrewne, bo pracowały prawdopodobnie w takiej samej konstytucji fizycznej: u obydwóch pojawia się typ introwersyjny, u obydwóch świat wewnętrzny odgrywa niesłychaną rolę, u obydwóch świat wewnętrzny musi się wyrazić na zewnątrz, musi się wypowiedzieć w sposób szczery w sztuce, gdyż inaczej malarz będzie stwarzał falsyfikaty. Pod tym kątem widzenia trzeba by najpierw scharakteryzować umysłowość Chmielowskiego na podstawie jego listów, jego rozprawki o sztuce, jego obrazów, by zauważyć, że już w Monachium pojawia się u niego w listach wyraz „ekspresja“, a w rozprawce o sztuce ekspresja duszy stanie się myślą centralną. Kto ma bogatą duszę i wyraża ją w sposób szczery na płótnie, mając opanowany pędzel i koloryt w oku, będzie stwarzał wielkie, rzetelne dzieła artystyczne. Tematy, a raczej materiały do tematów, a raczej marzenia idące ze

świata zewnętrznego muszą się wbić głęboko w pamięć i wniknąć w samo serce duszy, by tam wytworzyć taką dynamikę, że dusza jej powściągnąć nie potrafi i musi ją wyładować na zewnątrz, wypowiedzieć, na swój sposób wypowiedzieć w takim czy innym obrazie. Twórczość artystyczna według Chmielowskiego podobna jest do twórczego czynu samego Boga, bo cały wszechświat i każda jego cząstka wyraża echem i odblaskiem to, czym jest Bóg w sobie. Ujawszy raz w ten sposób pogląd na sztukę Adama Chmielowskiego na podstawie dokumentów, możemy przejść do dziennika Maksymiliana Gierymskiego, o ile nam się utrzymał w cytatach monografii Sygietyńskiego. Zobaczymy tam, jak artysta i dzieło tworzą jedność; zobaczymy, jak wrażenia ze świata zewnętrznego płyną w pamięć, idą w wyobraźnię, rozpalają się w sercu, a potem idą poprzez pędzel na płótna. Dlatego i przede wszystkim dlatego powiedział Gierymski, że wpłynął na niego Adam Chmielowski jako na artystę. A jak wpłynął na niego, jako na człowieka? Gierymski nazywał religię poezją, ale własna jego dusza łaknęła poezji i piękna i stąd czuł się szczęśliwym w towarzystwie tego człowieka, który wymagał od siebie więcej niż natura daje i dać może. Dalej oko ludzkie sięgnąć nie może, by wypatrzeć wpływy człowieka na człowieka, artysty na artystę.

Wypowiadać się może ujęcie sztuki przy zielonym biurku, może się wypowiadać w chwilach powodzenia ale bodaj, czy nie najwyraźniej wyraża się w chwilach zawodów i rozczarowania. Nie brakło tego w życiu Adama Chmielowskiego. Weźmy pod uwagę jedno z wielkich niepowodzeń Chmielowskiego w jego karierze artystycznej, oświecając przez to samo jeden z najciemniejszych punktów dla biografa w jego życiu. Zestawmy ze sobą trzy dokumenty. Pierwszym jest Świejkowskiego Pamiętnik Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie czytamy, że w roku 1874 wystawił Chmielowski w Krakowie swój obraz „Na pikiecie”. Drugim dokumentem są trzy obrazy z wystawy warszawskiej, które Jerzy Sienkiewicz podaje w swym katalogu pod nr 2, 3, 4. Pierwszy obraz zatytułowano w katalogu „Biwak powstańców w lesie”, a w rzeczy samej chodzi o obraz „Na pikiecie”. Nr 9, 10, 11 przedstawiają trzy portrety, jeden przedstawia Klemen-

tynę Chojecką, córkę Łucjana Siemieńskiego, drugi Janinę Chojecką, późniejszą Puzyninę, trzeci Wandę Chojecką, późniejszą Pietruską. Wszystkie trzy portrety powstały w Zarzeczcu koło Jarosławia u państwa Chojeckich, a niebardzo się myliła pani Pietruska oświadczając, że je namalowano koło roku 1873—74. Trzecim dokumentem jest list do Siemieńskiego bez daty i miejsca, ale datę i miejsce łatwo oznaczyć w związku z dwoma poprzednimi dokumentami, gdyż cała jego treść wiąże się z obrazem, który doznał niepowodzenia na wystawie w Krakowie. Była to „Pikieta“. Rozpoczyna Chmielowski list od tego, że się dowiedział od pani Klimy, a zatem od pani Klementyny Chojeckiej, o niepowodzeniu swego obrazu w Krakowie. W dalszym ciągu pojawiają się wiadomości o panu Chojeckim. List wyszedł zatem z Zarzeczca koło Jarosławia w roku 1874, kiedy wystawiono „Pikieta“ i w tym także roku powstały trzy portrety pań Chojeckich. Pan Woltyński (Adam Chmielowski jako malarz, Kraków 1938, s. 22—23) dwój obraz Chmielowskiego, kiedy osobno mówi o „Placówce“, i osobno o „Pikiecie“, pytając się o to, gdzieby się „Pikieta“ mogła znajdować. „Pikieta“ znajduje się u braci Albertynów przy ulicy Krakowskiej, a „Placówka“ nie znajduje się nigdzie, a raczej znajduje się znowu u braci Albertynów; bo się z „Pikieta“ utożsamia. Możemy zatem z jednej strony badać zachowany dotąd obraz, a z drugiej strony wniknąć w toczący się spór o pewien sposób ujęcia malarstwa i twórczości artystycznej. „Bardzo mi przykro, pisze Adam Chmielowski do Siemieńskiego, że panu się mój obraz nie podobał — ale sumienie moje nic mi nie wyrzuca, zrobiłem, co mogłem. Przyjąwszy raz zasadę z góry, że obraz z dziedziny fantazji należy bez modelu i bez natury malować; — nie mógł obraz inaczej wypaść jak wypadł, to jest bardzo szkicowo i bardzo mało plastycznie, — a o to niepewne wyglądanie starałem się nawet“.

„Bardzo jest dużo malarzy po świecie, których obrazy nikomu się nie podobają i uważane są słusznie albo mniej słusznie za podłe, albo niedołeżne — tak przez publiczność jak przez kompetentnych, ale nikomu nie przychodzi do myśli tym biednym ludziom do zarobku przeszkadzać i o względy publiczności się starać, zamykając przed nimi wystawy... Co do mnie osobiście, to niebardzo żądnym jestem

sławy, pieniędzy i powodzeń... Gdybym pierwszy raz wystawiał i nie był zaproszony, nie miałbym pretensji, ale nim będąc, mam jej trochę; nie godzi się zaprosiwszy kogoś na herbatę wypchnąć go za drzwi“.

Zatarg z Towarzystwem Sztuk Pięknych był ostry, bo ostatecznie Adam Chmielowski obraz swój wycofał. Znamiennym jest to, że Świejkowski notuje „Pikietę“ jako obraz wystawiony w roku 1874, ale „Czas“ zupełnie o tym nie wspomina, chociaż wymienia obrazy innych malarzy. Adam Chmielowski w tym wypadku nie ustąpił, bo mu chodziło o rodzaj malarstwa, który w osobliwy sposób ceni. Znowu trzeba tu pamiętać o ekspresji na zewnątrz tego, co się nosi w duszy; tak myślał Chmielowski i tak myślał Maksymilian Gierymski. Pisał już poprzednio z Monachium do Siemieńskiego, że mu przysyła rysunki Retla, bo jako ekspresja wydają mu się doskonałe. Tu należy także przypomnieć myśl Chmielowskiego: „piękno tkwi głównie w malarzu“ odezwał się kiedyś Chmielowski. Widzi np. jakiś motyw, jakiś skrawek krajobrazu, czy nawet drzewo lub co innego, — i to mu się podoba. Piękno tego motywu uderza w duszy malarza i przenika. Choćby chciał to piękno, co widzi i odczuwa wewnątrz, palcem na zewnątrz pokazywać drugiemu i opisywać je szczegółowo, to ten drugi zwykle tego nie będzie widział ani odczuwał. Ale gdy to odczute i widziane w swej duszy piękno przeniesie i ukaże na obrazie, wszyscy od razu je zobaczą i to samo odczują, co i malarz. Wczytać się w urywki z dziennika Gierymskiego, a spotkamy tam te same myśli i już nie będziemy wątpili, w czym Chmielowski wpłynął na swego najbliższego przyjaciela. Mieli podobne dusze i podobną postawę wobec przyrody i sztuki. Chmielowski wprost powtarzał, że malarz tak tworzy swe dzieło sztuki, jak go Pan Bóg samego stworzył. „Mówią, że styl to człowiek, pisze do Siemieńskiego, — nie wiem, o ile to prawda, ale że obraz i ten, co go robi, to jedno, to o tym jestem dowodnie przekonany: nikt by nie uwierzył, jak to dalece jest prawda, więc na to rady nie ma, — jakiego Bóg człowieka stworzył, takie i obrazy będzie robił“.

Wobec takiego stosunku do sztuki związek wewnętrzny między artystą a jego dziełem jest daleko żywszy i silniejszy. Jeżeli ktoś nie kocha Pana Boga nade wszystko,

to bliskim jest tego, że nade wszystko ukocha sztukę, upatrując w niej rodzaj bożyszczą. Odczuwał to bardzo żywo Chmielowski już w Monachium, kiedy począł malować obrazek do bajki o dobrym synu, co szedł po wodę życia do złotego drzewa za siedem gór i siedem lasów. Zdawał sobie sprawę z trudności w przedstawieniu malarskim całego zagadnienia tkwiącego w bajce, ale jego refleksja poszła dalej i głębiej, kiedy nagle się pyta: „Czy sztuce, służąc Bogu, też służyć można? Chrystus mówi, że dwom panom służyć nie można; choć sztuka nie mamona — ale też nie Bóg, bożyszczce prędeż. Ja myślę, że służyć sztuce, to zawsze wyjdzie na bałwochwalstwo, chyba jak Fra Angelico sztukę i talent i myśli Bogu ku chwale poświęcić i święte rzeczy malować, ale by trzeba na to, jak tamten siebie oczyścić i uświęcić i do klasztoru wstąpić, bo na świecie to bardzo trudno o natchnienie do tak szczytnych tematów“.

Pytanie „sztuka czy Bóg“ stanęło ostro w świadomości Chmielowskiego nawet w nowicjacie OO. Jezuitów, ale odpowiedział sobie na nie w sposób radykalny. „Sztuka i tylko sztuka, pisał do Heleny Modrzejewskiej, byle jej uśmiech albo cień uśmiechu, byle jedna róża z wianka bogini, bo z nią sława i dostatek i osobiste zadowolenie — mniejsza o resztę; gubi się w szalonej gonitwie rodzinę, moralność, ojczyznę, związek z Bogiem, gubi się wszystko, co dodatnie i święte... Wiele myślałem w życiu, kto jest ta królowa sztuka i przyszedłem do przekonania, że jest to tylko wymysł ludzkiej wyobraźni, a raczej straszne widmo, które nam rzeczywistego Boga zasłania. Sztuka to tylko wyraz i nic innego, dzieła tej t. zw. sztuki, są to zupełnie przyrodzone objawy w naszej duszy, są to nasze własne dzieła i mówiąc po prostu dobra jest rzecz, że je robimy, bo to naturalny sposób komunikacji i porozumienia się między nami. Ale jeżeli w tych dziełach kłaniamy się sobie..., w istocie rzeczy jest to tylko egoizmem zamaskowanym — ubóstwiać siebie samego“. Kiedy Chmielowski pisze, że sztuka jest wyrazem, nie chce się wypowiedzieć pogardliwie, lecz znowu ma na myśli ekspresję, bo i w dalszym ciągu wspomina, jak to sztuka jest środkiem komunikacji pomiędzy człowiekiem a człowiekiem. Nie obniża Chmielowski nawet w nowicjacie wartości sztuki,

ale, boi się o to, żeby jej faktycznie nie stawiano na ołtarzach na miejscu strąconego stamtąd Boga, albo raczej boi się o to, żeby artysta w swym egoizmie sam miejsca Boga zająć nie chciał. Że Chmielowski nie rozwiązał zagadnienia sztuki także dla siebie w sposób negatywny, dowodzi napisany nieco później list do Józefa Chełmońskiego, gdzie z radością oświadcza, że maluje i malować będzie dużo, a nawet lepiej aniżeli dotychczas. Rozwiązał dla siebie Chmielowski alternatywę w ten sposób, że sztuka jest drogą do Boga, ale nie Bogiem samym. Skoro wyjdzie z nowicjatu, skoro wyjdzie z mroków ducha, będzie w Kudryńcach, Zawału, w Balinie i gdzie indziej malował daleko więcej, aniżeli kiedykolwiek, a dopiero się zawaha, kiedy poczuje na sobie opończę zakonną i wszystkie obowiązki, jakie razem z nią na siebie przyjął. Jeszcze mieszkając u OO. Paulinów na Skałce blisko ogrzewalni, ma dla siebie osobny pokój jako pracownię, ale to długo nie potrwa, bo dopiero teraz w ostrej formie stanęła przed nim inna alternatywa: albo sztuka, albo służba ubogim. Jeżeli teraz weźmie w rękę pędzel, to tylko na to, żeby bezdomnym przysporzyć chleba, albo też z wewnętrznej, duchowej potrzeby znaleźć wyraz, ekspresję dla przeżycia mistycznego, dla wewnętrznego związku z Bożą męką. Kiedy ze Stanisławem Witkiewiczem dał się wciągnąć w rozmowę o sztuce, nagle urywał, wołając, jak świadczy malarz: „Precz z szatanem, to nie moja rzecz o tym mówić, lepiej ci przyniosę książeczkę o cudach, jakie się dokonują w Lourdes“. Jednak rozumiał, że Witkiewicz mógł inaczej postępować i słuchał z zadowoleniem, kiedy mu przyjaciel opowiadał, że musi napisać książkę o Kossaku, książkę o Matejce, zrobić ołtarz z Tatr, zbudować dla kościoła w Zakopanem ołtarz Matki Boskiej Różańcowej, dać projekty do witraży, namalować świętego Jana Chrzciciela, — słuchał tego wszystkiego i kończył wnioskiem: „Tyś także ewangelistą, głoś swoje“. On sam jednak, jak Witkiewicz, nie mógł już wydobywać swej duszy na płótno. Gdy usiłowano go inaczej przekonać, bronił się, jak mógł. „Państwo przecie wiedzą, mówił, że u malarzy to tak jest: jednego dnia idzie mu jak z płatka, sam obraz poniekąd powstaje, a drugiego ani rusz; stanie przed sztalugą i co ruszy pędzlem, to zaciera, obraz nic nie postępuje, choć on

przed nim stoi i stoi. A jakżebym ja wtedy mógł mówić do tych moich przy pracy?”.

5. Długie rekolekcje

Dojrzała myśl Adama Chmielowskiego. Dnia 24 września 1880 r. zadzwonił do furty domu OO. Jezuitów w Starej Wsi, by tam rozpocząć nowicjat pod kierunkiem wytrawnego mistrza, O. Baudissa. Z katalogu OO. Jezuitów można wyczytać nazwiska nowicjuszków z tego czasu, można wywnioskować, w jakie środowisko dostał się niemłody już malarz. W nowicjacie rozegrała się tajemnica między Adamem Chmielowskim a Panem Bogiem, tajemnica, którą trzeba uszanować i nazwać bożym doświadczeniem. Najlepiej zatrzymać się u brzegu tej tajemnicy i mniej od siebie mówić, a pozwolić, żeby przemówiły dokumenty.

Dokumenty mówią najpierw o wielkiej radości, jaka zalewała duszę nowicjusza. Znamy bowiem z tego czasu dwa listy Adama, jeden napisany do Heleny Modrzejewskiej, drugi do Józefa Chełmońskiego. Zasadniczy nastrój w obydwu listach jest ten sam, ale inny jest język do Modrzejewskiej, inny do Chełmońskiego. Do Modrzejewskiej pisze jako do osoby głęboko wierzącej, która rozumie jego krok stanowczy w życiu; pisze do niej jako do osoby, która nie tylko go zrozumie, ale wyczuje jego szczęście, bo ma w swej duszy jakby harfę ze złotymi strunami, dla których nie jest obcą żadna wysoka religijna nuta. Mówi jej wiele o sztuce, o jej zadaniu, ale nas uderza przede wszystkim fakt, że jej posyła książeczkę na pamiątkę, nie tłumacząc bliżej, dlaczego to robi, bo wiedział, że Modrzejewska zrozumie cel tego wszystkiego. Tę samą książeczkę posłał Józefowi Chełmońskiemu, dołączając drugi jej egzemplarz dla A. Sygietyńskiego. Chełmońskiemu tłumaczy, że z tej książeczki się dowie, dlaczego ludzie wstępują do zakonu i dlaczego on postąpił jak inni. Trudno było się dowiedzieć, jaka to była książeczka ale możliwym jest to, że wysłał egzemplarze Naśladowania Jezusa Chrystusa Tomasza a Kempis, bo tę perłę mistyki chrześcijańskiej otrzymują zazwyczaj w rękę młodzi nowicjusze i seminarzyści. Podbiła go treść tej książeczki, bo zanim wstąpił do nowicjatu,

wypowiedział się do bliskich niemal słowami Tomasza a Kempis. Chciał jednak Chęłmońskiemu jeszcze coś innego napisać, chciał go wstrząsnąć straszonym sądem bożym, jeżeli nie pójdzie do spowiedzi i nie będzie pilnował przykazań bożych. Zadziwia ton, w jakim przemawia do swego kolegi, ale chciał go na wstępie dla siebie zyskać i dlatego pisze, że mu posyła pamiątkę najdroższą, jaką posiada, obrazek Matki Boskiej, odziedziczony po zmarłej matce. Pragnie, żeby odtąd Chęłmoński przed tym obrazem modlił się za szczęście własne i swojej rodziny. Najwięcej nas interesuje pierwsze, zwarte post-scriptum: „Zacząłem nowicjat, czuję się bardzo szczęśliwy. Maluję i zapewne będę malował dużo i lepiej, aniżeli dotąd. Zdrowszy jestem“.

Z obydwu listów idzie na nas słońce z duszy Chmielowskiego, takie słońce, o jakim dotąd w żadnym chyba liście nie mówił. Czuje się szczęśliwym i maluje, spodziewając się, że będzie malował lepiej aniżeli dotąd. Doznał zatem nowicjusz nowych podniet, nie tylko do pracy wewnętrznej, lecz i do twórczości malarskiej. Kończył może rozpoczęte już we Lwowie „Objawienie się Jezusa św. Małgorzacie“. Jasny koloryt tego obrazu, koloryt i styl przypominający Fra Angelica byłyby wyrazem tego, co wówczas Adam Chmielowski w swej duszy przeżywał.

Ciemna chmura miała Chmielowskiemu zasłonić jasne dotąd słońce i przynieść ze sobą tajemnicę trudną do przeniknięcia. Niech znowu przemówią raczej dokumenty, a zamilknie przynajmniej na razie wszelka interpretacja. Czytano i pokazywano mi dwa dokumenty. Jednym była kopia listu O. Baudissa, mistrza nowicjatu, do superiora domu OO. Jezuitów we Lwowie; drugim kopia orzeczenia lekarskiego zakładu w Kulparkowie. Orzeczenie lekarskie było bardzo zwięzłe, a jego kopię sporządzono w r. 1937. Więcej światła na boże doświadczenie rzucał list O. Baudissa. Poprzez cały list odzywały się tony szacunku dla nowicjusza, w którego duszy zapadły jakieś gęste mroki, dochodząc do największego nasilenia w czasie medytacji rekolekcyjnej o śmierci. Opuścił Chmielowski nowicjat w Starej Wsi 5. kwietnia 1881 r., wyjeżdżając do domu OO. Jezuitów we Lwowie, by się poddać leczeniu.

Gdzie było, po ludzku sądząc, źródło tego doświadczenia? Trzeba niezawodnie odróżnić tło od faktu. Tłem bę-

dzie i typ antropologiczny i związana z nim dyspozycja schizotypiczna, właściwa przecież ludziom zdrowym. Przejdźmy z tła do faktów, do opowiadań. Mówi się o skrupałach i silniejszym wstrząsie. O wstrząsie opowiadał mi ks. Lewandowski i jeden z najpoważniejszych i najstarszych Albertynów. Sam Albertyn cierpiał na bezsenność i na polecenie lekarza prosił Brata Alberta o pozwolenie palenia papierosów w niewielkiej ilości dopóki się nie odzwyczai. Na to Brat Albert odpowiedział: niech brat pali, bo z nerwami trudno walczyć. Dodał, że i on w nowicjacie w Starej Wsi z nerwami chciał walczyć, ale mu się nie udało. Obiecał Panu Bogu, że się wyrzeknie bezwzględnie palenia tytoniu, a jednak go kiedyś skusiło. Zobaczywszy niespodzianie niedopałek podniósł go gorączkowo i niemal w jednej chwili w siebie wchłonął. A wtenczas odezwał się silny wyrzut: „Coś ty zrobił? To ty tak dotrzymujesz obietnicy Panu Bogu?“ Uraz poszedł głęboko w duszę i trudno mu go było zneutralizować. Nadeszły długie rekolekcje i w pierwszym tygodniu doszedł w medytacji o śmierci do chwili, kiedy zagaściły się mroki. Nastąpiło wielkie doświadczenie boże i leczenie we Lwowie.

Wiadomość o tym doszła do jego krewnych i przyjaciół. Dowiedział się o tym Chełmoński i ostro zareagował; dowiedział się o tym brat chorego Stanisław i zabrał go ze Lwowa do swego domu w Kudryńcach nad Zbruczem, ale go przez to samo nie uleczył.

Niech znowu przemówią trzy świadectwa. Jedno pochodzi od krewnego, Witolda Chmielowskiego, który wówczas jako kilkoletni chłopak bawił w Kudryńcach. Po wielu latach potrafił sobie odtworzyć następujące wspomnienie: „Pamiętam na rogu domu zawsześmy widzieli pana już szpakowatego w niezmiernie szarym płaszczu, który godzinami siedział na stołku malarskim, podpierając się pod ramieniem grubą laską i mając na kolanach rozłożoną księgę, którą czytał nie odrywając oczu. Uderzało nas to, że nie reagował nigdy na żaden ruch przed domem, jakby nie widział, co się dzieje dokoła niego. Ta jego powaga, skupienie głębokie, taką nas napawały ostrożnością, względnością i niepokojem, że gdyśmy przebiegali stroną, gdzie siadywał, odbywaliśmy to jak najciszej, nie pozwalając sobie najmniejszych żarcików. Obijało mi się wtedy o uszy,

że to jest brat Chmielowskich, Adam, malarz; przyjechał z Paryża, chory na melancholię“.

Drugim dokumentem jest wspomnienie siostry M. Teresy Małgorzaty, Karmelitanki Bosej we Lwowie, córki Łucjana Siemieńskiego. Ze wspomnienia trzeba tu wypisać następujące zdania. „Pogrążony w smutku, całymi dniami siedział w swoim pokoiku milczący, przygnębiony, nie przyjmując pokarmu ani napoju, zanurzony w straszonym cierpieniu wewnętrznym. Jak długo trwał ten stan, nie wiem, ale wszelkie środki wyprowadzenia go z tej apatii były daremne: nie odważał się przystąpić do Sakramentów św., nie ruszał się z domu, ani nawet nie śmiał przestąpić progu kościoła miejscowego“. Kto trochę teoretycznie i trochę z życia zna takie wypadki, potrafi z ludzka odtworzyć sobie związane z tym tło.

Do tych dwóch świadectw trzeba dodać głos samego Brata Alberta po upływie wielu lat. Zapytany kiedyś przez ks. Lewandowskiego o stan duszy z dni doświadczenia, odpowiedział: „Byłem przytomny, nie postradałem zmysłów, ale przechodziłem okropne męki i skrupuły i katusze najstraszniejsze“. Nie ma racji, żeby ten stan duszy bliżej tu tłumaczyć, bo go zrozumie tylko ten, kto z podobnym człowiekiem osobiście się spotkał.

Wielkie doświadczenie boże miało się skończyć w sierpniu 1881 roku. Pojechałem kiedyś sam do Kudryniec nad Zbrucz, żeby się przypatrzeć okolicy i poznać warunki, w jakich mieszkał nasz chory. Widziałem piętrzący się fałisty teren, który się podnosił od Zbrucza w górę, przecięty jakby jasną wstęgą drogą prowadzącą na Kamieniec. Z terenu wznoszą się mury starego zamczyska, pobudzając duszę do marzeń. Według opowiadania Adam Chmielowski spoglądał w dzień sierpniowy 1881 roku z balkonu swego pokoiku na okolicę zalaną słońcem. Widział, jak żęncy wracali ze żniwa z wieńcami i pieśniami. Wtedy to miały i w duszy chorego zapalić się pierwsze jasne promienie. Mroki wewnętrzne miały jednak spłynąć kiedy indziej. Niech znowu przemówi jako dokument wspomnienie siostry Karmelitanki: „Proboszcz tej wioski przyjechał w odwiedziny do pana Stanisława Chmielowskiego i podczas gdy pan Adam pogrążony w zwykłej zadumie znajdował się w sąsiednim pokoju, proboszcz wraz z gospodarzem do-

mu rozmawiał długo o miłosierdziu bożym. Zdaje się, iż rozmowę prowadzili umyślnie, by pan Adam mógł ją dosłyszeć. W każdym razie był to pierwszy promyk łaski, przenikający głęboko ciemności skołatanej jego duszy. Po odjeździe ks. proboszcza ...Adam wychodząc z odrętwienia poprosił, by mu osiodłać konia i mimo zapadającej nocy popędził na probostwo. O ile pamiętam, nie prędko powrócił, ale to wiem, że powrócił jakby innym człowiekiem. U stóp kapłana w kornej spowiedzi odzyskał utracony od tak dawna spokój i pogodę ducha. To opowiadanie słyszałam z ust samego pana Stanisława Chmielowskiego“.

Z ust postulatora, ks. Stefana Króla słyszałem, że chodziło o późniejszego prałata ks. Pogorzelskiego. W związku z tym pozostaje ustęp z listu do bratowej, gdzie Brat Albert już jako tercjarz w ogrzewalni krakowskiej prosi, ażeby odwiedzić księdza prałata i przeprosić, że mu nie posłał żadnych wiadomości o sobie, a przecież ten człowiek był dla niego tak dobry, jak nikt inny na świecie.

Długie były rekolekcje Adama Chmielowskiego; trwały od kwietnia aż do sierpnia 1881 roku, ale skończyły się szczęśliwie; dotąd był Adam Chmielowski, a odtąd żyć będzie ktoś inny. U tego samego księdza znalazł kiedyś w biblioteczkę związłą regułę tercjarzy Trzeciego Zakonu św. Franciszka, a wówczas jeszcze jaśniej rozpałiło się słońce w jego duszy, wskazując mu drogę, na którą wnijdzie na to, żeby się już nigdy nie cofnąć. Jeszcze u brata w Kudryńcach rozpocznie się jego drugi nowicjat, nowicjat pracy nad rozkrzewieniem trzeciego zakonu św. Franciszka z Assyżu. Znowu się czuł szczęśliwym, znowu zaczął malować i to naprawdę więcej, więcej niż kiedykolwiek: odnawiał obrazy w wielkich ołtarzach i malował na tematy świeckie, bo mu się rozradowała dusza, znalazłszy raz swoje powołanie. Musiał jednak z konieczności skończyć wstępny nowicjat i znalazł się w Krakowie 1884 roku.

Myliłby się, toby sądził, że Adam Chmielowski miał jakąkolwiek urazę do OO. Jezuitów wyszedłszy z mroków swej duszy. Nie, zachował dla nich wielką sympatię i przyjaźń, a uczucie to było wzajemne. Kto by jeszcze chciał wątpić, tego przekonają fakty. Faktem jest to, że przyjechawszy do Krakowa w 1884 r., poprosił od razu O. Pydynkowskiego, Jezuitę, by został kierownikiem jego su-

mienia i współpracował z nim w redakcji „Przewodnika”. Faktem jest to, że kiedy otwarł ogrzewalnię, poprosił Jezuitę, O. Eberhardta, o rekolekcje dla bezdomnych. Faktem jest to, że często zachodził do O. Mariana Morawskiego, ówczesnego redaktora „Przeglądu Powszechnego”, żeby się zorientować we współczesnych prądach myślowych, bo na czytanie, jak i na malowanie nie miał czasu. Tak bardzo zainteresował swą ogrzewalnią wielkiego filozofa i teologa w sukni jezuickiej, że ten mu się ofiarował z rekolekcjami dla bezdomnych; powiedział je, ale bezdomni ich nie zrozumieli i dopiero Brat Albert musiał nauki „po dziadowsku” zebranych tłumaczyć. Faktem jeszcze jest to, że oddał O. Pydynkowskiemu dwu braci do pomocy, kiedy wyruszał na pracę misyjną.

Wdzięcznym był Brat Albert OO. Jezuitom za dowody sympatii i troski w nowicjacie; jeszcze wdzięczniejszym był ks. Pogorzelskiemu za to, że go z mroków duszy wprowadził. A jednak jakoś o tym zapomniał, jakoś zaniedbał i wcale do niego z Krakowa się nie odezwał. Nie mógł sobie tego przebaczyć i już w habicie tercjarskim pisał z ogrzewalni do swej bratowej w Kudryńcach: „Pani Marychna musi znać bardzo dobrze księdza prałata. Jeżeli będziecie kiedy w Szarogrodzie, proszę was bardzo usilnie, żebyście złożyli mu wizytę od siebie, ale i ode mnie. Ten święty prałat był tak dobry i łaskawy dla mnie, jak nikt więcej być nie może. Za przyjazdem tu do Krakowa wpadłem w natłok spraw tak mnie pochłaniających, że się zaniedbałem w listach i nie napisałem ks. prałatowi wiadomości o sobie, jak koniecznie trzeba było. Potem się łudziłem, że tam pojedę w tamte strony, a tak ze wstydu mojego niedbalstwa nie napisałem nic dotąd, ale już się ośmielię reperować tę moją podłotę”.

Okres drugi

GÓRUJE ŁASKA NAD NATURĄ

Rozpoczął się drugi okres w życiu Adama Chmielowskiego z chwilą, kiedy wyszedł z mroków ducha i rozpoczął jakby nowy nowicjat, pracując organizacyjnie wśród tercjarzy franciszkańskich. Ani się spodziewał, że przygo-

towuje się do wielkiej akcji na przyszłość. Jeżeli dotychczas w jego życiu wybijały się na pierwszy plan natura, konstytucja i twórczość artystyczna, to odtąd zacznie mówić łaska nad przyrodą, nad typem antropologicznym, tak, iż będzie znikał coraz więcej artysta, Adam Chmielowski, a będzie rósł Brat Albert. Jeszcze w swej wstępnej pracy organizacyjnej rozkochał się w postaci św. Franciszka Serafickiego, rozkochał się w tym wszystkim, co pokochał ten wielki Święty, ale nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, co się wówczas działo na szerokim świecie.

1. Pierwszy tercjarz polski

Skoro tylko znalazł się w Krakowie, dowiedział się od razu u OO. Kapucynów, że papież Leon XIII wydał encyklikę w siedemsetną rocznicę urodzin Poverella w przepięknej klasycznej łacinie, gdzie odzywały się serdeczne akcenty osobiste, bo przecież ten wielki papież już od wielu lat, niemal rok rocznie, jako tercjarz odbywa pielgrzymki do Alwernii i Assyżu. Jego franciszkańska encyklika **Auspicato** z 1882 roku była zapowiedzią słynnej jego encykliki **Rerum Novarum**, bo tu i tam odezwała się nuta społeczna, by rozbudzić świat przez wielką ideę sprawiedliwości społecznej. Pisarze świeccy i duchowni wskazywali na rozmaite wartości duchowe w życiu wielkiego Świętego, ale papież Leon XIII z wielkim naciskiem wskazał na walory społeczne, które się mieszczą i w samej duszy św. Franciszka i w potężnej jego organizacji trzeciego zakonu tercjarzy. Miał jeszcze później zreformować dotychczasową regułę tercjarzską, miał ją udostępnić dla szerokich rzesz, ale pierwsza jego encyklika franciszkańska poczęła już działać, bo w Paryżu wychodzi **Manuale tertii ordinis** O. Hilarego, Kapucyna, którego pierwsze wydanie wprost rozchwymano w 30.000 egzemplarzy.

Drgnął pod wpływem tego spokojny, jak zazwyczaj Kraków, drgnął, bo się tam znalazł Adam Chmielowski. Rozpoczął od razu pielgrzymki od Kapucynów do Jezuitów, od Jezuitów do Kapucynów, byle tylko zdobyć współpracowników dla przerwki dzieła O. Hilarego dla polskich tercjarzy. Zdobył wreszcie dla współpracy O. Hieronima,

Kapucyna i O. Pydyńkowskiego, Jezuitę. Praca trwała do-
syć długo, bo „Przewodnik do reguły Trzeciego Zakonu“
wyszedł w Krakowie dopiero 1888 roku, ale książka była
dostosowana do potrzeb polskiego społeczeństwa.

Adam Chmielowski pracował przez te cztery lata, jak-
by na dwie ręce, a raczej obiema naraz pisał i organizował.
Od OO. Kapucynów przeniósł się na ulicę Basztową, z uli-
cy Basztowej poszedł na Kazimierz do rozświetlonej przez
niego na całą Polskę ogrzewalni. Już był wziął na siebie
habit tercjarza w kaplicy Loretańskiej u Kapucynów. —
Wziął na siebie habit popielaty, taki sam, jaki się jeszcze
dotąd pokazuje w Assyżu, jako relikwię po św. Franciszku,
ale kiedy mu habit wypomniano, kiedy za nim wołano:
szary kapucyn, szary kapucyn, dyskretnie się usunął, ale
poszedł w roku 1887 do kardynała Dunajewskiego, składa-
jąc w jego ręce śluby na to, by już odtąd jako Brat Albert
na zawsze i niepodzielnie oddać się bezdomnym w Krako-
wie, a potem we wszystkich domach zgromadzenia rozsia-
nych po całej Polsce. W tym samym roku, w którym wy-
szedł jego „Przewodnik do reguły Trzeciego Zakonu“, zo-
rganizował swych współpracowników w nowe zgromadzenie
albertynów, a w kilka lat potem drugie zgromadzenie,
albertynek.

Zanim wreszcie założył nową swą rodzinę, wiele się
naturał, wiele doznał zawodów, ale wszystko zwyciężył, bo
był pewnym, że się znajduje na dobrej drodze. Znalazł się
wreszcie tam, gdzie jakieś 10 lat temu poszedł z rautu „pod
Baranami“, by doznać głębokiego wstrząsu na widok bez-
dennej nędzy polskiej, w krakowskiej ogrzewalni. Nie
szczędził siebie, kiedy się zamknął przy ulicy Basztowej
z przygodnie zebranymi bezdomnymi. Raz mieszkała tam
gromada chłopaków, których wyrzucono już ze wszystkich
zakładów, mieszkała tam gromada ze słynnym Szymkiem
i Wickiem na czele, którym już nikt nie ufał, a on im
wbrew wszelkiej obmowie zaufał całkowicie, oddając im
klucze swego mieszkania i dozór nad gospodarstwem.
Przyszli inni, starsi, tacy, którzy się nazywali sybirakami,
dopiero taki „sybirak“ okradł go ze wszystkich pieniędzy,
jakie miał od swej rodziny ze sprzedaży domu warszaw-
skiego i zniszczył mu protezę, by uniemożliwić pościg za
sobą. Mimo namów nie zwrócił się do policji, nie bolał nad

utrata grosza, a tylko martwił się tym, jak urządzi ogrzewalnię, a jeszcze więcej martwił się stanem sumienia swego krzywdziciela. Starał się u prezydenta miasta o to, by mu oddano w opiekę ogrzewalnię, ale podniosły się sprzeciwy ze strony takiej, która powinna była raczej z tego się serdecznie ucieszyć, podniosły się sprzeciwy w radzie miejskiej, ale Brat Albert nie ustąpił. Poszedł na posiedzenie rady i słyszał, jak głos po głosie odzywał się przeciw, aż wreszcie poderwał się jakiś Żyd w chałacie, Birnbaum, wołając w rozdygotaniu: „Wyście, panowie, powinni temu człowiekowi ręce za to całować, co chce dla miasta zrobić“. Już się nie podniósł żaden sprzeciw, a kiedy głosowano, uchwała zapadła jednomyślnie. Nie była to jedyna trudność, bo nędza nie jest szkołą wysokiej moralności. Oddzielono osobno kobiety i mężczyzn, a wtedy podniósł się okrzyk gniewu ze strony ludzkiej nędzy. Posypały się obelgi na Brata Alberta, a kamienie na obydwie ogrzewalnie. Jak przebaczył Brat Albert temu, co go okradł przy Basztowej, tak przebaczył teraz tym, którzy z dna swojej nędzy nie wiedzieli, co czynili, ale niebawem zobaczyli, że w Krakowie nie było drugiego człowieka, który by ich tak kochał, jak ten Brat Albert. Jadł z nimi i głodował z nimi, nie pytał o ich przeszłość, o ich upadki, ale starał się dla nich o chleb, o dach nad głową i wreszcie o pracę. Kiedy jakieś dwa lata przedtem zajrzał do ogrzewalni z panami z konferencji św. Wincentego, by rozdać między nich zakupione w mieście bułki i kiełbaski, podniósł się groźny pomruk, iż niebawem goście lokal opuścili. Teraz Brat Albert stał się jednym z nich, o przeszłość nie pytał, jadał z tego samego kotła, a bratu Andrzejowi kazał wieczorami na skrzypkach grać, by gorycz z duszy spływała. Nie przychodził do nich jak pan z bułką i kiełbaską, ale został z nimi w zgrzebnej opończy i wyciągał za nich i dla nich rękę po grosz. Przez całe jedno pokolenie mieszkał w ogrzewalni i ruszał się z Krakowa już tylko na to, ażeby wyjeżdżać do innych polskich miast, by dla takiej samej pracować nędzy. To też polska nędza uznała go za swego i kiedy zmarł w pierwsze święto Bożego Narodzenia 1916 roku, poszedł za jego trumną w pochodzie cały Kraków, cały ten z góry i ten z dołu. Podziwiał go ten z góry, ale ten z dołu go kochał; poszli za nim bezdomni, „opuchlaki“ i żydowscy chałaciarze, uważając go za swego.

Nazwano go Pierwszym Tercjarzem Polski, bo chyba nikt inny ani w dawnej ani w nowej Polsce nie pokazał w własnej swej osobie, w własnej duszy i na własnej skórze, czym był kiedyś św. Franciszek z Assyżu.

2. Trzy drogi do Boga

Ukochał św. Franciszek Chrystusa, jako rzadko kto i jak rzadko kto wcielił w swe życie z niesłychaną prostotą i dosłownością całą treść Ewangelii. Ukochał św. Franciszka Brat Albert jak rzadko kto i jak rzadko kto poszedł za nim z prostą i szczerą swą duszą, wcielając w swoje życie wszystkie jego słowa, a przez jego słowa treść tych samych Ewangelii. Trzeba by wziąć w rękę testament św. Franciszka i żywot jego napisany przez Tomasza Celano i Legendę św. Bonawentury i jeszcze piękną książkę wielkiego Franciszkanina i rektora uniwersytetu katolickiego w Mediolanie, A. Gemelliego p. n. „Le Message de Saint Francois d'Assise au monde moderne“, Paris 1935, trzeba by to wszystko przeczytać i przeżyć, pojechać do Assyżu i pójść śladami Poverella, a potem wrócić do Krakowa i pójść do schroniska dla bezdomnych na Kazimierzu, pójść do pokoju, gdzie zmarł Brat Albert i przypatrzeć się ubóstwu, jakie mu towarzyszyło aż do końca życia, pójść do kaplicy, kiedy ją wypełnia nędza krakowska i zapytać się po tym wszystkim, czy był w Polsce kiedykolwiek człowiek, który poszedł za św. Franciszkiem w ten sposób, co Brat Albert. Trudno się rozpraszać w szczegóły i dlatego pójdziemy na schemat, biorąc go z perły mistyki średnio-wiecznej, z dziełka św. Bonawentury o pochodzie ducha do Boga, *Itinerarium mentis in Deum*. Trzy drogi otwierają się tam do Boga dla każdego człowieka: jedna prowadzi poprzez świat zewnętrzny, *infra nos*, druga przez własne nasze wnętrze, *intra nos*, trzecia wreszcie ponad nami, poprzez Boga samego, *supra nos*. Wszystkimi tymi drogami chodził św. Franciszek do Pana Boga i myślą i sercem i czynami swoimi.

Szedł Brat Albert do Pana Boga poprzez świat zewnętrzny, poprzez przyrodę. Szedł do Niego tak, jak sam św. Franciszek, gdyż i on swym okiem malarza widział przyro-

dę jak rzadko kto i dlatego jak rzadko kto umiał za św. Franciszkiem śpiewać Bogu hymn do słońca, pomimo wszelkich udreń życia. Inny był stosunek św. Franciszka do przyrody, inny św. Jana od Krzyża i św. Teresy. Nie tutaj na to miejsce, żeby się nad tym rozwodzić. Ale wystarczy przypomnieć wyrażenia św. Franciszka „brat i siostra“, kiedy się odezwał do jakiegokolwiek części przyrody, żeby od razu różnicę uchwycić. Brat chodził do Pana Boga tą samą drogą patrząc ze czcią i zachwytem i z twórczą duszą w sobie na otaczający świat, dostrzegając, że wszystko i wszyscy tworzą piękno, śpiewając na swój sposób hymn do słońca. Szedł do Pana Boga Brat Albert poprzez świat zewnętrzny jeszcze inaczej, ale pozwolimy mu najpierw zejść za św. Bonawenturą do własnego wnętrza, **infra nos**. Św. Bonawentura wskazuje w człowieku na podobieństwo Boże, które się w duszy ludzkiej jakby w zwierciadle odbija. Jednak zwierciadło jest martwym i zimnym, a dopiero nabierze życia w człowieku, kiedy go dotknie tchnienie Chrystusa Ukrzyżowanego, bo wówczas rozplamieni się dusza wszystkimi darami wziętymi z krzyża i zapłonie nową, Chrystusową miłością, która ożywi sobą cały wewnętrzny świat myśli i uczuć i pożądań, cnót nabytych i wlnych, by to wszystko podnieść, wysoko podnieść, by w tym sanktuarium ludzkim mógł zamieszkać Bóg. To wszystko dzieje się u św. Bonawentury na to, żeby człowiek został porwany na drogę trzecią i znalazł się w żywym kontakcie z Bogiem w zachwycie, **excessus mentis**, i poza zachwytem. Kiedy św. Bonawentura pisał swe dziełko, miał przed sobą najwyraźniej postać św. Franciszka z Assyżu, bo sam o tym na wstępie wspomina. A za św. Franciszkiem szedł, z łaski Bożej, szedł Brat Albert, jak rzadko kto i stąd też jak rzadko kto za św. Franciszkiem ukochał Chrystusa w podwójnej Jego postaci dziecięctwa i rozkrzyżowania na Golgocie. Ponieważ tak szedł przez własne swe wnętrze, dochodził aż do trzeciej drogi, **supra nos**.

Z tego trzeba sobie zdać sprawę, że u Brata Alberta życie Boże płonęło jak wielkie ognisko, przepalając sobą całą duszę i nadając wszystkim czynom jakieś piętno franciszkańskie. Nie kto inny tylko św. Franciszek był dla niego na ziemi pierwszym wzorem; przecież sam wziął

na siebie jego popielatą a potem brązową oponce; przecież napisał „Przewodnik dla Tercjarzy“, stworzył nową, podwójną rodzinę franciszkańską, kazał czytać wśród posiłku żywoty św. Franciszka, a kiedy mu już ich zabrakło w polskich przekładach, wtedy wprowadził w lekturę obowiązkową „Kroniki Trzech Zakonów“, postanowionych od św. Ojca Patriarchy Franciszka (Kraków 1610), a to wszystko robił na to, żeby iść dosłownie za swym wzorem, w samo serce polskiej biedy.

Kto osobiście przeżywa życie mistyczne w zjednoczeniu z Bogiem, ten się nie krępuje żadną literą, ale w każdej szuka ducha, by się nim zasilić, siebie i innych oświecić. W niedzielę o godzinie wpół do dziesiątej przychodził do zebranych braci, przynosząc ze sobą przynajmniej jedną z książek: „Naśladowanie Jezusa Chrystusa“, „Wnijście na Górę Karmelu“ św. Jana od Krzyża, wreszcie jedno z dzieł bł. Henryka Suza. „Naśladowanie Jezusa Chrystusa“ Tomasa a Kempis rozradowało mu kiedyś widocznie duszę w nowicjacie OO. Jezuitów, skoro po egzemplarzu posłał Helenie Modrzejewskiej, Józefowi Chełmońskiemu i Sygietyńskiemu. Ośmielono się powiedzieć, że „Naśladowanie“ nie wyszło z rąk mistyka; a tymczasem kto mógł napisać czwartą księgę tej książeczki, kto mógł napisać ten dialog między duszą a Chrystusem, jeżeli nie ten, kto Chrystusa w sobie przeżywał. Przynosił ze sobą dla braci św. Jana od Krzyża, by im wyjaśniać głębokie jego myśli i wtajemniczać w noc zmysłów i w noc ducha, ale tylko na to, by pokazać, jak po nocy rozpala się w duszy wielki dzień radości. Miał w Czernej przyjaciela, O. Rafała Kalinowskiego, Karmelitę, miał w lwowskim klasztorze dobrze sobie znajomą córkę Łucjana Siemieńskiego, Karmelitankę, Teresę Małgorzatę, przełożył przepiękny drobiazg św. Jana od Krzyża „Ostrożności“, by nimi kierowali się jego bracia i siostry. A kiedy przyszła na kogoś noc, noc zmysłów lub ducha, przypominał w listach (Siostrze B.), że się spełnia tajemnica tak głęboko wyjaśniana przez św. Jana od Krzyża. Kto sam przeżywał stany mistyczne, nie pytał się o to, czy się to działo na modłę wskazaną przez św. Jana od Krzyża, czy na modłę podaną przez św. Bonawenturę, gdyż związek osobisty z Bogiem rozsadza wszelką formę nakreśloną piórkiem przez człowieka. Przynosił ze sobą



Św. Franciszek

do zebranych braci także dzieła bł. Henryka Suza wypożyczone od ówczesnego kierownika duchowego kleryków z seminarium krakowskiego, późniejszego biskupa, ks. Komara. Nie dbał o to Brat Albert, czy bierze w rękę książkę Dominikanina, Karmelity, Franciszkanina lub wychowanka z grupy w Deventerze, bo chodziło przecież o ducha, a nie o literę, a duch poprzez śluby franciszkańskie należał do Chrystusa.

Dopiero teraz z drugiej i trzeciej drogi wrócimy na drogę pierwszą, gdzie św. Franciszek chodził do Pana Boga poprzez świat zewnętrzny, a w świecie zewnętrznym poprzez ogzewalnię bezdomnych i poprzez wszystkie przytułki uliczne i nieuliczne polskiej nędzy. Był przygotowany od wewnątrz na to, by się zdobyć na heroiczne szaleństwo. Szaleństwem nazywano św. Franciszka, kiedy patrzano na jego zaślubiny z Panią Biedą. Buntowali się niektórzy jego bracia, ale on nie odstąpił od raz powziętego ideału, bo słyszał w duszy w czasie Mszy św. u św. Damiana, jak kapłan czytał z Ewangelii o Chrystusie, co wysyłał apostołów na pracę, upominając ich, żeby nie brali ze sobą ani złota, ani srebra, ani tajstry, ani laski i nie myśleli o jakiejś tunicy w rezerwie (św. Mat. X, 9-10). O ten tekst toczył się nieraz spór między św. Franciszkiem a jego braćmi, o ten tekst i o testament św. Franciszka toczył się nieraz spór między Bratem Albertem a jego doradcami i przyjaciółmi. Brat Albert odwoływał się zawsze do św. Franciszka jako do swego adwokata i aż do końca życia nikomu nie ustąpił, powtarzając „ani domu, ani miejsca, ani żadnej rzeczy“. Dawano mu wiele dla jego zgromadzeń, ale niczego na własność nie przyjął. Jego przyjaciel Władysław Zamoyski poszedł z nim kiedyś na Kalatówkach na wysoki regiel, gdzie dzisiaj stoi drewniany dom Albertynów i zakreślając szerokim łukiem ramienia ponad swymi lasami powiedział: „Bierz, ile chcesz“. Brat Albert na własność nie wziął nic. Stały na Kalatówkach domy sióstr i braci, ale nie jako ich własność. Rozumiał i czuł Brat Albert, że nie może iść do ogzewalni, do ludzkiej nędzy, jako właściciel takiego lub innego domu, jako obszarnek, jako możny tego świata i stąd uporczywie powtarzał „ani domu, ani miejsca, ani żadnej rzeczy“. Miłość Boga chce być wolną, wolną nawet od własności, która

czasem do siebie przykuwa. Jak św. Franciszek, tak i Brat Albert widział nadchodzącą falę komunizmu i sam w „Przewodniku“ powiedział, że naprawdę możliwy jest komunizm w rodzinie zakonnej; a jednak chciał, żeby i w jego zakonnej rodzinie nie było własności, bo jeszcze istniała ogrzewalnia, istniała nędza na ulicy i w norach, do której się trzeba było zbliżyć mając biedę w sobie i na sobie, a nie żadne bogactwo. „Ani domu, ani miejsca, ani żadnej rzeczy“ — odpowiadał na wszelkie pokusy. Kochał obydwie swe rodziny, lecz był nieugiętym i twardym, kiedy chodziło o ubóstwo. Pytał go jeden z braci, czy mógłby sobie wstawić złote zęby. Napisał mu natychmiast: „Złote zęby noszą tylko bogaci ludzie, ale chodzić w nędznym samodziśle, boso i opasywać się powrozem, a w gębie nosić złoto jest to bezwstyd i brak wszelkiej delikatności“. Zgromił w Sokalu siostry za to, że magistrat polakierował im podłogi w ich pokojach. Twardo powtarzał braciom i siostram: „Wy tylko dlatego istniejecie, ponieważ istnieją ubodzy, gdyby nie było ubogich, toby i was nie było potrzebna“. Wszelkie ofiary uważał za własność ubogich i nikomu odstąpić ich nie chciał. Wybuchła pierwsza wojna światowa. Przyszli do niego austriaccy urzędnicy po złoto. Miał 30 koron, dał 10, ale reszty nie dał, bo to był grosz ubogich. Spozrzegł się kiedyś, że ekonom domu, brat Tomasz, dostał większą sumę i coś tam w kasie porządkuje. Brat Tomasz wyznał mi w 1937 roku, że mu się jakoś spodobały złote dziesięciokoronówki, a jeszcze więcej ich grubsze bliźniaczki, dwudziestokoronówki. Ułożył więc na spodzie jedne i drugie, nakrywając je papierami. Miały budować siostry i przyszedł do niego Brat Albert z zapytaniem: co tam brat ma w kasie? Zrobiło się bratu trochę gorąco, dał papiery, ale Brat Albert pyta dalej: co tam ma brat jeszcze pod spodem? Dał dziesięciokoronówki, ale musiał dać i cięższe bliźniaczki aż do ostatniej sztuki. Było za co wybudować. Bał się Brat Albert od początku, żeby dotykaniu metalu nie rozbudziło u jego braci chęci posiadania. Kiedy budowano szosę do Morskiego Oka, tłukli kamienie także jego bracia i on z nimi tłukł, ale prosił firmę, żeby nie dawała pieniędzy a tylko załatwiała sama wszelkie zakupy w składach zakopiańskich dla zgromadzenia. Dostali bracia z Kalatówek worek mąki z Zakopanego.

Nie pozwolił całości przywieźć do braci, ale polecił brać częściami ze składu, by nie robić zapasów. Chciał, żeby bracia i siostry żyli z dnia na dzień z Bożej Opatrzności. Szaleńcem nazywano kiedyś św. Franciszka z Assyżu; szaleńcem nazywano także Brata Alberta za życia i po śmierci. Po śmierci myślano nad tym, jakby sprawę prawnie unormować, ale on sam aż do ostatniego tchnienia powtarzał: ani domu, ani miejsca, ani żadnej rzeczy. Konał, chory na raka w żołądku. Kiedy był nieprzytomny, doktor Wysocki polecił go przenieść z drewnianej pryczy na łóżko. Gdy się przebudził, zaczął wołać z przerażeniem: coście wy ze mną zrobili? coście wy zrobili? Wołał tak długo, dopóki go w agonii nie przeniesiono na twardą pryczę. Umierał jak św. Franciszek z Assyżu na twardej desce idąc za Chrystusem Ukrzyżowanym.

Kto w ten sposób z biedą na sobie i z biedą w sobie wchodził do bezdomnych w ogrzewalni, budził ufność i serdeczne przywiązanie, bo wiadano, że z miłości do Boga i dla bezdomnego wziął tę biedę na siebie i w siebie.

Na całą Polskę znane jest zdanie Brata Alberta, które już bardzo wcześniej zrodziło się w jego duszy: „Powinno się być dobrym jak chleb. Powinno się być jak chleb, który dla wszystkich leży na stole, z którego każdy może kęs dla siebie ukroić, nakarmić się, jeśli się jest głodnym“. Był Brat Albert jeszcze Adamem Chmielowskim, kiedy w jednym ze swych listów powiedział o swych ciotkach w Berlinie, że są dobre jak chleb. Nie wiem, czy to wyrażenie nie zrodziło się jeszcze w innej jakiejś duszy, ale jeżeli tak, to i ona jak Brat Albert była dobra jak chleb. Dla Brata Alberta nie był to pusty frazes, gdyż chleb był dla niego symbolem samego życia. Ilekroć chciał komuś zrobić przyjemność, zanosił mu bochenek żytniego chleba, wypieczonego świeżo przez siostry. Kiedy na Boże Narodzenie lub na Wielkanoc szedł do ks. kardynała Puzyny z życzeniami, przynosił mu zawsze bochenek chleba; ilekroć odwiedzał w Zakopanem swego przyjaciela Stanisława Witkiewicza, przynosił ze sobą świeży, pachnący, żytni chleb. Na widok biedaka zmarnowanego, który po raz pierwszy, wchodził do ogrzewalni czy do przytułku sióstr, odzywał się: „Dajcie mu chleba“. Dajcie mu chleba, bochenek chleba, odzywał się nawet wtenczas, kiedy nie wie-

dziano jak się wywdzięczyć lekarzowi za jego usługi. Z biegiem czasu sam Brat Albert stał się dla Boga i ludzi dobrym jak chleb, tak iż wszyscy z niego brali.

Brali z niego wierzący i niewierzący, katolicy i Żydzi. Jego gorąca miłość ożywiła wiarę w jego duszy, doprowadzając do tego, że Ignęli do niego i libertyni i ci, którzy mieli w sobie tajemnicę życia mistycznego. Jeszcze w Monachium Maksymilian Gierymski otwierał swą duszę przed Adamem Chmielowskim, chociaż sam nie wierzył. Pielgrzymował na Kalatówki Baudouin de Courtenay, bo podziwiał, jak przez miłość bożą człowiek mógł się stać dobrym jak chleb.

Chleba coraz więcej ubywało, ubywało sił Bratu Albertowi. Czuł, że nowotwór w nim pracuje ale się nie skarżył i trzymał w tajemnicy swe cierpienia, dopóki nie zapukała siostra śmierć w drzwi biednego jego mieszkania przy ulicy Krakowskiej. Nie było to jego mieszkanie ale własność magistracka, bo do końca życia powtarzał: „ani domu, ani miejsca“. Miał jedną tylko własność, tę, która potrafi zastąpić każdą inną, a własnością tą był Bóg.

W drugim okresie życia Brata Alberta zniknęła nam zupełnie natura, zniknął typ antropologiczny i związane z nim zdolności, bo nad wszystkim górowała łaska i organizm nadprzyrodzony. Typ antropologiczny odezwał się dopiero w chorobie ostatniej, bo według Czekanowskiego rak pojawia się często tam, gdzie się spotykają ze sobą typ nordycki i armenoidalny w tej samej osobie. Jednak choroba i śmierć otoczyły się taką aureolą nadprzyrodzoności, że znika nam z oczu to wszystko, co się poza tymi światłami kryje.

3. Dwa rodzaje kontemplacji wlanej

Pod koniec trzeba nam w naszą rozprawkę wprowadzić nieco cięższej uczoności i schematyzowanie na to, by ostatniego, martwego schematu uniknąć. Powiedziano, że w życiu mistycznym zjawia się w pewnej fazie kontemplacja wлана, która może przyjąć podwójną postać, bo albo nie przesuwają się jakoby poza siebie, jak się to często dzieje u przedstawicieli mistyki karmelitańskiej, albo też w świe-

tle darów mądrości i rady doprowadza do tego, że się widzi w swych wydziedziczonych braciach, w bezdomnych i sierotach cierpiące członki Chrystusa ukrzyżowanego, chociaż już w stanie uwielbienia; tę drugą postać przyjęła kontemplacja np. u św. Wincentego a Paulo, który wypowiedział złotą, niezapomnianą nigdy myśl, że trzeba kochać Boga ale od tej miłości powinny się umęczyć ramiona i nogi i zapócić czoło. Zdzierają się siły fizyczne tego Świętego w pracy dla nieszczęśliwych. Sięgnijmy do jednej jeszcze uczoności. Rektor uniwersytetu mediolańskiego, Franciszkanin Gemelli, pisze w mistrzowski sposób o akcji franciszkańskiej dowodząc, jak wypływa z miłości i przechodzi poprzez wnętrza ludzkiej duszy. Akcja św. Franciszka z Assyżu wypromieniowywała się z jego duszy jak z gorącego ogniska: w jej płomieniach spalały się siły fizyczne Poverella, bo tak chciał i tak u niego musiało być. Wziął śluby z Panią Biedą na to, żeby się nie oszczędzać, żeby zdobyć wewnętrzną wolność i pójść na całego za biednym i ukrzyżowanym Chrystusem. Jeżeli zwrócimy uwagę i na fakt, że Brat Albert żelazną swą protezą obstukał bruki Krakowa i innych miast polskich na to, by ratować naszą nędzę, zrozumiemy, że szedł przede wszystkim drogą franciszkańską i niedaleko był od św. Wincentego, którego zbolały ramiona i nogi od pracy dla opuszczonych. To pewna, że nie gasła ani na chwilę, o ile można sądzić, wlana kontemplacja u tego pierwszego tercjarza Polski ale tego tercjarza bolał kikut nad protezą od ciągłego chodzenia po urzędach i za jałmużną dla polskiej nędzy. Budował Brat Albert samotne domki dla braci i sióstr w Zakopanem, w Monasterku i gdzie indziej; chciał je budować jeszcze dalej, np. blisko Rawy Ruskiej, wśród olbrzymich tamtejszych lasów ale cel tych eremów był podwójny. Jednym celem była możliwość odprawiania rekolekcji w samotności, a drugim leczenie braci i sióstr, którzy musieli twardo pracować w schroniskach i przytułkach. Nie wyjeżdżały obydwie zgromadzenia do eremów, żeby tam stałe przebywać, lecz żeby się skupić wobec Boga, odzyskać siły fizyczne i znowu wrócić do twardej pracy wśród opuszczonych.

Zastał kiedyś Bernardyn, O. Bogdalski, Brata Alberta przy lichym bardzo posiłku razem z braćmi i zauważył,

że długo nie wytrzymają, jeżeli nie zmienią rodzaju odżywiania. Na to Brat Albert odpowiedział: Mój ojciec, inaczej być nie może, bo gdybyśmy jadali co innego, aniżeli nasi bezdomni, przestaliby wierzyć temu, co mówimy, i zaczęliby przypuszczać, że spekulujemy na ich biedzie, by sobie samym dogodzić. Opowiadał mi ś. p. brat Tomasz, że przyszedł do ogrzewalni w czasie posiłku kiedyś p. Dudek, właściciel młyna w Prądniku i wyraził zdziwienie, że bracia muszą poprzestać na zupce. Otrzymał od Brata Alberta odpowiedź, że piekarz odmówił chleba, bo nie było czym zapłacić. Posłał więc p. Dudek po chleb za złotego i bracia doraźnie zaspokoiли swój głód. Czasem ten lub inny brat z goryczy zaszemrał. Zaszemrał kiedyś brat za magistrat skarżąc się na to, że nie dotrzymuje umowy i zasiłków nie wypłaca. Wysłuchał tego w spokoju Brat Albert ale poważnie na to odpowiedział: „Bracie, nie magistrat nas prosił o to, żebyśmy pracowali w ogrzewalni ale myśmy magistrat prosili, żeby nam zechciał zezwolić w ogrzewalni pracować, tak jak brat, my mówić nie możemy“. Było czasem bardzo twardo i bardzo głodno wśród braci. Niektórzy opuszczali szeregi, bo się bali, że w przyszłości czeka ich nędza. Brat Albert jednak systemu nie zmienił i jadał z braćmi przez pewien czas na podłodze tę samą lichą strawę, co biedni. Kiedyś już niczego nie było w spiżarni, ale Brat Albert był spokojny. Zadzwonił ktoś do bramy. Przyszła Stanisławowa Tarnowska, wręczając Bratu bilet tysiąca koron otrzymany od kogoś na cele ogrzewalni. Uśmiechnął się Brat Albert, podziękował i wyznał, że na to czekał. Marnował się Brat Albert i marnowali się bracia w spalającej ich służbie dla bezdomnych. Ale też bezdomni nigdy nie podejrzewali, że spekulują na ich biedzie. Twarda praca i twarde warunki życia skłaniały Brata Alberta do tego, że czas wyznaczony specjalnie na modlitwy nie był bardzo długi. Odmawiali bracia dwanaście paciery tercjarskich i przepędzali pół godziny na rozmyślaniu, po czym słuchali Mszy św. Resztę dnia spędzali na pracy aż do późnego wieczora. Twarde były ich dłonie, jak twardym było ich życie. Bolały ich jak św. Wincentego nogi i ramiona od miłości Boga. Wszystko szło z gorzącej miłości w duszy ale szło w ręce i nogi i zapocone czoła.

Miał w sobie Brat Albert bogate życie mistyczne ale życie to wchodziło mu jak św. Wincentemu w całą jego istotę psychofizyczną tak, iż bolały ramiona i nogi i pociło się czoło. Nic też dziwnego, że odkrył w sobie powinowactwo swej duszy nie tylko z tym, czym był i co działał św. Franciszek, nie tylko z tym, czym był św. Jan od Krzyża lecz i z tym, czym był i co działał św. Wincenty. Nie jest to w jego życiu przypadkowym, że znalazłszy się w 1884 r. na terenie Krakowa, poszedł także do ks. Siemaszki, który za wzorem św. Wincentego gromadził osieroconych chłopców w swym zakładzie przy ulicy Długiej. Nie było to przypadkowym, że się zapisał do Konferencji panów i pod hasłem św. Wincentego odwiedzał zapomnianych biedaków w ich mieszkaniach. Nie było to wreszcie przypadkowym, że na wiele lat życia obrał sobie jako kierownika swego sumienia ks. Czesława Lewandowskiego ze Zgromadzenia ks. Misjonarzy. Pamiętam, jak często przychodził do ks. Lewandowskiego na Stradom ze swym „Przewodnikiem Trzeciego Zakonu“ w rękę, albo z jakimś żywotem św. Franciszka, by się upewnić w obronie swej ukochanej idei, według której jego zgromadzenia nie powinny mieć ani miejsca, ani domu, ani żadnej innej rzeczy, bo tak myślał patriarcha zakonu. Pamiętam, jak się rozczytywał w żywocie św. Wincentego i powoływał się na jego przykład, kiedy mu zarzucano, że jeszcze nie sformułował ani reguły, ani konstytucji dla swych zgromadzeń. Wymówką jego było to, że także św. Wincenty przez wiele lat żył i pracował ze swymi zgromadzeniami, zanim im regułę ustalił i napisał.

Nie schodził Brat Albert z drogi franciszkańskiej, kiedy się wpatrywał w działalność św. Wincentego, bo i św. Franciszek wypowiedział znamienne zdanie: **tantum scit homo, quantum operatur**, tyle wie człowiek, ile zdziałał. Chciano z tych słów wysnuć jakiś nowy typ myślenia także wśród Franciszkanów, chciano ze św. Franciszka zrobić prekursora pragmatyzmu nowoczesnego, a tymczasem w zacytowanym zdaniu złączyła się głęboko mistyka z wybitną działalnością na zewnątrz. Jako malarz głosił Adam Chmielowski, że w wielkiej sztuce wyraża się głęboka i bogata dusza artysty. Jak u Maksymiliana Gieryskiego, tak i u Chmielowskiego dusza artysty i je-

go dzieło tworzyły niezwykłą jedność. Jak kiedyś było u Chmielowskiego, tak teraz było u Brata Alberta, bo rodzaj jego życia mistycznego wyrażał się na zewnątrz. Szedł śladami św. Franciszka w swej żywej czci i rozkochaniu w męce Pańskiej, a jego skrajne ujęcie ubóstwa zakonnego i praca dla bezdomnych były wyrazem tego życia i rozmiłowania. Spośród jego modlitw zasługuje na uwagę najpierw to dwuzdaniowe ślubowanie: „Panie Jezu, dla Twej miłości gotów jestem na krzyż i na śmierć. W Tobie położyłem ufność moją, nie daj mnie na wieczne pohańbienie“. Co jeszcze teraz malował na nowo lub kończył, pozostaje w bezpośrednim lub pośrednim związku z męką Pańską. Już w roku 1880 zaczął malować we Lwowie **Ecce Homo**, ale zaledwie skończył głowę i zarysował tło. Obraz towarzyszył mu do nowicjatu jezuickiego, towarzyszył mu w mrokach jego duszy, towarzyszył mu już na terenie krakowskim, kiedy pracował przy Basztowej i w ogrzewalni. Wykończył wreszcie obraz ale mu go ks. metropolita Szeptycki niemal gwałtem wyprosił. Rozstał się z nim pod naciskiem ale została modlitwa, która powstała niezawodnie wśród wpatrywania się w święte oblicze, wykwitłe na malowanym przez Alberta płótnie. „Królu Niebios — modlił się Brat Albert — Królu, cierniem ukoronowany, ubiczowany, w purpurę odziany, Królu Niebios, znieważony i oplwany. Bądź Królem i Panem naszym tu i na wieki. Amen“. Miał jeszcze na strychu jeden obraz, który bardzo cenił. Chłopcy ze schroniska na Zwierzyńcu chcieli zagrać jasełka i podmówili braci, żeby im dostarczyli materiałów pod kulisy. Jeden z braci przypomniał sobie, że tam jest coś na strychu zamalowanego i zapomnianego. Zniesiono i pokostem pociągnięto, by dobrze błyszczało. Spozrzegł to Brat Albert i zrazu głęboko się zasmucił; jednak niebawem się rozpogodził i kiwając głową z uśmiechem i pobłażaniem powiedział coś od naiwności pod adresem braciszka. Zapokostowano obraz, przedstawiający „Powrót z Golgoty“, z chustą św. Weroniki na czele pochodu. Dzisiaj trudno się w obrazie zorientować, bo razem z pokostem zdjęto większość barwnych pigmentów. Nie pogniewał się Brat Albert, bo przecież się modlił: Dla Twej miłości gotów jestem na krzyż i na śmierć.

W szkole krzyża nauczył się Brat Albert heroicznie

myśleć i działać; ze szkoły krzyża wyrosło jego umiłowanie ubóstwa i ofiara życia dla bezdomnych. Znamy rok 1888 jako datę wydania „Przewodnika“ i narodzin Zgromadzenia Albertynów. Radością wypełniła się po brzegi dusza Brata Alberta, że wreszcie zaczął się urzeczywistniać jego ideał życiowy, wypracowany wśród rozmyślań i własnej krzyżowej drogi. Z tego roku pochodzi znamiona jego winieta: „**Laus Deo, semper laus**“ w albumie Konstantego Przeździeckiego z Warszawy. Jest to jakby godło franciszkańsko-albertyńskie na resztę życia. Po lewej stronie u góry widnieje opończa z powrózkiem i krzyżykiem, po prawej obraz Matki Bożej na podobieństwo Częstochowskiej, a obok kropielniczka, różaniec, gromnica i wiązka „palmowych“ różg jako rama. Pod wszystkim znajduje się entuzjastyczny hymn: **Laus Deo, semper laus**. Z łacińskiego oryginału wyszedł polski przekład na końcu „Przewodnika“, przekład powtarzany przez braci i siostry na końcu wszelkich modlitw. Dla Brata Alberta był to okrzyk zwycięstwa wypieszczonego przez niego ideału ubóstwa nad wszelkimi przeszkodami. Zostało i jemu i dwom jego zgromadzeniom na własność tylko to, co było na winiecie razem z modlitwą: „Bogu chwała, wiekuista niech będzie Bogu chwała, cześć Marii, uwielbienie Świętym Pańskim, pokój żyjącym, zdrowie chorym, wieczne odpoczywanie zmarłym, dla grzeszników pokuta prawdziwa, dla sprawiedliwych w dobrem wytrwanie, dla żeglujących na morzu spokój, dla podróżujących pomyślna droga. Niech nas z Synem Swoim błogosławi Najświętsza Panna. Amen“. — To był pierwszy, symboliczny wyraz jego franciszkańskiego kultu dla męki Pańskiej, dla zakonnego ubóstwa i dla ofiarnego rozmiłowania w pracy dla bezdomnych. Drugim i ostatnim symbolem była śmierć Brata Alberta na twardej desce, bo na twardej desce podłogi jak na twardym krzyżu zmarł także św. Franciszek, patriarcha zakonu.

4. Nowy świat

Mówiąc o Bracie Albercie, można go zbliżać do św. Franciszka, do św. Jana od Krzyża i do św. Wincentego. Ale obok tego należy podkreślić to, co w nim było ory-

ginalne jako wyraz jego własnej miłości Boga. Wpa-
trzywszy się głębiej w życie tego sługi Bożego, musi się
przyznać, że przeczuwał zbliżającą się nową epokę w dzie-
jach ludzkich i pracował w wielkiej mierze już dla no-
wego świata. By to udowodnić, trzeba sięgnąć do świa-
dectw tych, którzy byli powiernikami jego myśli. Nie-
którzy z nich już odeszli ale zostało jeszcze kilka osób, zo-
stało kilku braci i siostr. Na razie skupi się nasza myśl
na jednym dokumencie i na dwóch domach. Dokumentem
jest rozmowa Brata Alberta z ks. Gnatowskim, znanym
niegdyś literatem. Z dwóch domów jednym jest szroni-
sko przy ul. Krakowskiej jako spadkobierca po dawnej
ogrzewalni, drugim drewniane zabudowanie wraz z kaplicą
na Kalatówkach przy drodze na Giewont.

Dokument zachował się dotąd w opisach z kartek wy-
ciętych z nierozpoznanego jeszcze druku. Zjawił się praw-
dopodobnie w roku 1899 ks. prałat Gnatowski w Wer-
chracie pod Rawą Ruską, gdzie wśród lasów znajdował się
dom dla braci, tzw. Monastyrzek, a w odległym o kilka ki-
lometrów Prusiu dom dla siostr. Domy były ubożuchne,
a najbliższy kościół znajdował się w Horyńcu, oddalonym
o dwie mile. Ubóstwo, odległy kościół i praca stały się
punktem wyjścia dla kilku myśli poruszanych w rozmow-
wie. Pytano o program, o plan, więc na ten tor musiała
zejść rozmowa, chociaż Brat Albert przyznawał się tylko
do pewnych myśli przewodnich i do przewidywania na
przyszłość, a nie przyznawał się do programu. Zamiast
streszczać, tłumaczyć, będziemy cytowali słowa Brata
Alberta.

Dowiadujemy się najpierw, jaką była myśl przewod-
nia w zakładaniu takich pustelni, jak Werchrata, Prusie
lub Kalatówki k. Zakopanego. „Potrzebujemy — odezwał
się Brat Albert — ludzi zahartowanych wyjątkowo i fi-
zycznie i moralnie. Dlatego ich nowicjów musi być bardzo
twardy i surowy, aby wcześniej cofnęły się miększe na-
tury i słabsze dusze; dlatego i odpoczynek jest dla pra-
cujących w mieście niezbędny od czasu do czasu ale oczy-
wiście taki, który by nie osłabił zakonnego ducha. To jest
myśl przewodnia, którą mieliśmy, osiedlając się w Wer-
chracie i Prusiech przed 7 laty, a obecnie w Zakopanem“
(r. 1898/9).

Druga myśl przewodnia wyszła na jaw, kiedy zauważono, że do kościoła chodzi się w niedziele i święta pieszo, choć są konie w domu. „O to właśnie chodzi, usłyszał ks. Gnatowski, żeby życie braci było twarde. Dlatego tworząc osadę, nie szukaliśmy w pobliżu kościoła, ale przeciwnie, woleliśmy być od niego dalej, aby spełnienie obowiązków religijnych połączone było z pewną ofiarą i aby bracia i siostry przyzwyczajali się obywać bez codziennej Mszy św. O cóż bowiem chodzi? O spełnienie reguły św. Franciszka w pierwotnej surowości i o służenie bliźniemu tam, gdzie nikt inny, lepiej do tego od nas uzdolniony, nie przychodzi mu z pomocą. Dla spełnienia reguły zachowujemy ubóstwo w całej sile i nie tylko nie mamy nic indywidualnie ale nie chcemy nic własnego posiadać jako zgromadzenie. Mieszkamy w Krakowie i we Lwowie w domach, będących własnością gminy i nic w nich nie mamy i nie chcemy mieć własnego prócz habitu i różańca“.

Poznawszy obydwie myśli przewodnie, przyznamy zapewne, że dwa nowe zgromadzenia tercjarzkie powstały nie dla życia kontemplacyjnego, skoro nawet udział we Mszy św. niedzielnej miał być taki, żeby od niego zabolaty nogi. Zrozumie się także, dlaczego założyciel powiedział do swych braci: „Jeżeliby cię zawołano do biedaka, idź natychmiast do niego, choćbyś był w świętym zachwyceniu, gdyż opuścisz Chrystusa dla Chrystusa“. Zrozumie się, dlaczego przestrzegano ubóstwa w pierwotnej jego surowości. Zrozumie się, dlaczego w pewnych latach zgromadzenia tylko brat ekonom dotykał się osobście pieniędzy i tylko on kupował bilety kolejowe, by je wręczyć tym, którzy mieli udać się w podróż. Niejeden zdumiony nowicjusz pytał więc: A co będzie, kiedy się w drodze coś stanie, kiedy będę musiał gdziekolwiek wysiąść i za coś przenocować? Będzie to, odpowiadano mu wtedy, że brat pójdzie do pierwszego z brzegu domu czy chaty i poprosi o robotę, by w ten sposób zapracować na nocleg i dalszą jazdę. Poznawszy drugą myśl kierowniczą, zrozumiemy także, dlaczego na początku niemal „Przewodnika dla Tercjarzy“ powiedziano, że prawdziwy komunizm utrzyma się tylko w zakonach i w zgodzie z myślą Kościoła. Dla Brata Alberta nie było to cześć słowo lecz za-

sada życia, wydobyta z Ewangelii i z pierwotnej reguły św. Franciszka. Jeżeli ktoś ma na własność tylko habit i różaniec; jeżeli widzi, że nawet jego zgromadzenie na własność nic posiadać nie może, nie będzie na pewno kapitalizował. Zwyciężył kiedyś św. Franciszek ruchy komunistyczne przez to, że dobrowolnie wyrzekł się własności i dla siebie i dla swego zakonu. Powstał na tym tle przewlekły spór między Fraticellami a Reformistami. Wiedział o tym bardzo dobrze Brat Albert ale przeszłość nie zamykała mu oczu na przyszłość, bo śledził pilnie to, co się działo w Rosji i co się przygotowywało na jutro życia. Jako malarz był impresjonistą, miał fenomenalną wrażliwość na kontrasty i tonację koloru ale ponadto podkreślał potrzebę emocjonalnego naboju, by obraz nie był martwym, by do przedstawionych na nim dostojników suto ubranych nie można zawołać: Po czemu sukienko w barwnym kontuszu lub delii. Dla niego był kiedyś najważniejszym czynnikiem w malarstwie uczuciowy ładunek, jaki otrzymywała impresja w duszy twórcy, by znaleźć na zewnątrz swój wyraz, ekspresję. Teraz poczuł Brat Albert wielki nabój miłości Boga i wyczuł, że wszelki radykalizm społeczny przewycięży się tylko wtenczas, kiedy nabój miłości Bożej wyrazi się na zewnątrz przez twardą pracę i bezwzględne ubóstwo.

Nie chciał Brat Albert mówić o planie lecz wspominał o możliwości na przyszłość. „My, dowodził dalej, nie potrzebujemy nic zgoła, zarabiamy na całe utrzymanie sami... Bracia pracowali by z ludem na polu, dając mu przykład sumiennoci, pobożności. By się to stać mogło, trzeba, żeby sami nauczyli się tak żyć, jak najuboższy chłop, to jeść, co on, zespolić się zupełnie z tym ludem“. Nie był to plan lecz gorące życzenie Brata Alberta, by przez bezinteresowną twardą pracę zdobyć dla Chrystusa szerokie warstwy ludu pracującego. Był pełen otuchy na przyszłość i ufał bezgranicznie Opatrzności. „Pracując wszyscy ręcznie, tłumaczył, wszyscy łatwo możemy się wyżywić i dlatego mógłbym przyjąć tysiące nowicjuszków, gdyby się zgłosili. Nie troszczę się o ich utrzymanie. Robotę zawsze znajdę dla wszystkich i tak samo będą dobrymi terejarzami, kopiając ziemię i wyplatając krzesła, jak ucząc katechizmu. To, co nam dano do roboty, wzię-

liśmy; więc noclegi dla wólczegów we Lwowie i Krakowie, więc szpital we Lwowie, więc opuszczone dzieci. Samo przyszło i samo z pomocą Bożą idzie. Rada Miejska we Lwowie czy Krakowie każe nam ustąpić, zrobimy to od razu, bez żalu, pewni, że znajdzie się inna robota dla drugich“.

Z takimi myślami kierowniczymi w głowie i sercu patrzył Brat Albert spokojnie w zbliżający się nowy świat, przygotowując na jego spotkanie ludzi, którzy byli przygotowani na to, żeby ich z miłości Boga zabolaly wszystkie gnaty w wyczerpującej, fizycznej pracy. Toteż był ostrożny w przyjmowaniu nowicjuszy. Kiedy lubiany przez niego Jacek Malczewski wyraził chęć wzięcia na siebie jego habitu, powiedział mu z pobłażliwym uśmiechem: „Ty, Jacku, jesteś zawsze estetą i marzysz o tym, jak by ci było do twarzy z habitem tercjarzskim w trumnie“. Zgłosił się do niego Hubert Rostworowski ale go nie przyjął, bo rozumiał, że droga tego człowieka powinna iść w innym kierunku, że ten człowiek da gdzie indziej bogatszą ekspresję swej duszy, aniżeli w brązowym, zakonnym worku. Zgłaszał się do tercjarzy N. ale przyjętym nie został, bo i jego droga życia miała go poprowadzić do innego rodzaju twórczej pracy. Nie obraził się lecz w odwet za odmowę, nazwał w swej książce Brata Alberta „Najpiękniejszym człowiekiem mego pokolenia“.

Piękne, bardzo piękne słówka, odezwie się w nas sceptyk, dodając swe uzasadnione „ale“ — ale jak to tam było w rzeczywistości. Ta rzeczywistość ze strony najbardziej autentycznej zjawi się przed nami na podstawie zeznań braci, których bolały kiedyś ręce i ramiona z pracy fizycznej dla miłości Boga. Brat Albert uważał dom na Kalatówkach koło Zakopanego za stację doświadczalną dla swych Zgromadzeń. Na dwa zawody ruszyli bracia na Kalatówki dla budowy stacji doświadczalnej. Pierwsza wyprawa wyszła właśnie z Monastyrku pod Werchratą, gdzie się już była zorganizowała pierwsza chronologicznie pustelnia. Wiemy już, jakie idee pracowały u jej kolebki, a tylko trzeba dodać, że w Zakopanem działa się wszystko tak samo, z tą tylko różnicą, że skała poszła mocno wszerek. Wyprawę pierwszej szóstki prowadził ulubiony przez założyciela Brat Witalis, do wszystkiego chętny i dla każ-

dego niezwykle uprzejmy. Zabrano ze sobą krosienka introligatorskie i szewski warsztat, by się wreszcie umieścić na Szymanówce blisko starego szpitala dr. Franca, gdzie o wczesnej godzinie rano służyli bracia do Mszy św. Po nabożeństwie już o godz. 5 szli do dr. Franca po chleb, by potem wyruszyć na całodzienną pracę na Kalatówki. Zjawił się bowiem także Brat Albert, by omówić z Wł. Zamoyskim sprawę budowy domu. Zamoyski chciał wszystko dać, na własność dać, a Brat Albert niczego nie chciał wziąć, powtarzając wiecznie swój refren: ani miejsca, ani domu, ani żadnej rzeczy. Wreszcie się porozumieli i Brat Albert wyrąbał na jodle krzyż, by oznaczyć dokładnie miejsce pod budowę domu. Rozpoczęła się wstępna praca, zahuczwały siekiery i jodły jodłom, świerki świerkom podawały jęklliwe swe żale.

W kwietniu 1898 roku zjawiła się w Zakopanem druga szóstka, by dopełnić apostołskiej dwunastki. Jadąc z wózkiem do Zakopanego zatrzymała się na noc w Myślenicach u ks. proboszcza Płaziaka. Poznał ich gospodarz plebański, były kanafasz u OO. Bernardynów w Krakowie i powtarzał żartobliwie, że u Albertynów istnieje tylko jedna reguła:

**nisko siadać, mało jadać;
wiele robić, mało gadać.**

Po takim poczęstunku wybrali się w dalszą podróż i zatrzymali się w Zakopanem w willi Stablewskiej blisko dworca aż do czasu, kiedy by się pojawili goście. Zima była przewlekła, sięgnęła głęboko w miesiąc maj i dała się braciom we znaki. Pomagał dr Chramiec i pomagali górale. Dr Chramiec polecił służbie, żeby wszystko dawali braciom darmo, o cokolwiek by poprosili, a już bez prośby dawano im rano codzienny chleb. Ale braciom nie było w głowie żyć ze szlachetnie ofiarowanej jałmużny. Wybrali się teraz już w dwunastkę na Kalatówki, by odszukać wyrąbany znak i zabrać się już do budowy stacji doświadczalnej. Trzeba było znieść łagodne zbocza pagórka i zgromadzić kamień pod fundamenta. Brat Ludwik pochodzący z Litwy opowiadał, jak się to na Litwie buduje, jak się kładzie u spodu obrane z kory okrągłe drzewo, a dopiero potem żłobi się bele po jednej ich stronie,

izby okrakiem siadały szczelnie jedna na drugą. Spodobało się to Bratu Starszemu i powiedział: „To niech brat buduje po litewsku“. Zahuczwały znowu siekiery i jęklawie odpowiadały jodły i smereki. Zbudowano barak 12 m. długi o jednym oknie, wybudowano kamienny piec na zewnątrz i urządzono się, jak rzeczywistość i ubóstwo na to pozwalały. Kładziono się do spoczynku na podłodze, biorąc jeden koc pod siebie a drugi na siebie z poduszką ze sieczki pod głową. Tak spali wszyscy i nie narzekali, bo tak spał także ich założyciel, Brat Albert. To wszystko mało może nas wzruszy, ale zwróci na siebie baczniejszą uwagę może coś innego. Bracia nie tylko tłukli kilofami w potężne krzyżale ale szli na szosę, która się budowała między Zakopanem a Morskim Okiem, szli ze swymi kilofami i łopatami, pracując na równi z góralami. Budowała się ścieżka z Morskiego Oka do Czarnego Stawu. Znowu tam zjawiły się brązowe habity, znowu tam kładli stopnie z wielkich głązów Albertyni z apostołskiej dwunastki. Szczególnie przyjemną była praca przy budowie szosy do Morskiego Oka, bo tam razem z braćmi tłukł Brat Albert i późniejszy jego następca Brat Wincenty. Nie koniec na tym: budował się hotel Stamary i znowu ku zdziwieniu publiczności pojawiły się tam brązowe habity. Z Kąkolewki niedaleko było do papierni, więc i do papierni chodzili na robotę bracia z dwunastki. Przestrzegano św. ubóstwa. Brat Albert nie pozwalał brać pieniędzy lecz kazał firmom składać gotówkę w spółdzielni pod kierunkiem Krzeptowskiego. Tam im wydawano codziennie artykuły spożywcze, bo nie wolno było robić zapasów na przyszłość. Kiedy już trzeba było koniecznie wziąć w garść jakiś grosz, to był od tego brat Biesiekierski. Czuł wtedy całą groźbę swego położenia i wysuwał rekaw tak, żeby pieniądze dłoni nie dotykał. Śmiano się, śmiano ale braci pokochano, uważając ich za swoich. Nam tu jednak chodzi o coś innego, chodzi nam o to, że Bracia Albertyni kochali Pana Boga tak, iż przez tę pracowitą miłość bolały ich wszystkie gnaty. To była wielka nowość Brata Alberta, to była ta myśl, która miała zbliżyć habit do bluzy robotniczej. A jeszcze jedno uderzało wszystkich, uderzało to, że bracia nie mogli kapitalizować, bo wolno im było mieć na własność tylko habit i różaniec.

Na tej samej podstawie opierało się życie w krakowskiej ogrzewalni. Wziąć do ręki tekst umowy między gminą miasta Krakowa a Bratem Albertem z dnia 1 listopada 1888 roku, a zobaczy się, że wszelka troska o ogrzewalnię spadła na braci. Oni nie tylko mieli dniem i nocą przebywać w niej, jak we własnym mieszkaniu lecz mieli także „według możliwości wyszukiwać prace dla ubogich, którzy do pracy są zdolni“; oni mieli kwestować, zbierać żywność i odzież, kupić konie i wóz dla zbiórek na mieście, zbudować kuchnię, przeprowadzać remonty i odpowiadać za zdrowie ubogich. Gmina ze swej strony oddawała ogrzewalnię jako teren pracy i udzielała zezwolenia na kwesty. Umowa zawierała wyraźne zastrzeżenie: „Brat Albert rzeka się imieniem własnym i swoich towarzyszy wszelkiego wynagrodzenia ze strony gminy Miasta Krakowa za swoje czynności i nie ma prawa żądać od gminy pod jakimkolwiek tytułem“.

Brat Albert czuł się w ogrzewalni, jak ryba w wodzie właśnie dlatego, że nie miał żadnej własności, że mu nic nie wypłacano, a miał wkoło siebie polską biedę, a na swej głowie i barkach wszystkie wobec niej obowiązki. Dopełniła się miara szczęścia u Brata Alberta z chwilą, kiedy się porozumiał ze specjalistą i otworzył w schronisku warsztat wyplatania krzesel. Cieszył się, że brązowy habit jego braci znalazł się obok bluzy z więziennego płótna przy tym samym warsztacie pracy.

Bolały kości od pracy fizycznej i bolała nieraz głowa z troski o pieniądź. Tu pomagało mu jego nieograniczone zaufanie w Opatrzność Bożą. Poznaliśmy już poprzednio jeden jego objaw z referatu Stanisławowej Tarnowskiej. Znamy teraz dwa inne jeszcze fakty. O jednym opowiada nam Maria Witkiewiczówna w swych wspomnieniach. Było kiedyś w ogrzewalni bardzo źle. Brat gospodarz oświadczył, że chyba trzeba będzie zamknąć schronisko i rozpuścić bezdomnych, bo nie ma grosza dla warsztatu i nie ma z czego obiadu przygotować. Zmartwił się Brat Starszy, powiedział kilka słów zachęty i pogрузzył się w modlitwie. W kilka godzin później otrzymał bilet od nieznaney osoby, która zatrzymała się w przejeździe w hotelu i prosiła do siebie, bo nazajutrz miała odjechać. Okazało się, że to była Rosjanka, która miała wielki kult dla

św. Franciszka i słyszała zagranicą o Bracie Albercie. Dowiedziawszy się w toku rozmowy, że schronisko nie rozporządza żadnymi funduszami wręczyła Bratu paczkę banknotów na cele dobroczynne.

Drugi fakt opowiedział mi Brat Anioł. Także we Lwowie dla schroniska nadeszła chwila równie krytyczna, kiedy tam był Brat Albert na wizytacji. Dowiedziawszy się o tym, poszedł na modlitwę do kościoła OO. Jezuitów. Po pewnym czasie jakaś pani weszła do ławki bezpośrednio przed nim i trąciła go kapeluszem w głowę. Odwróciwszy się, by przeprosić, poznała go, wyszła za nim z kościoła i wygarnęła dla niego ze swej torebki całą gotówkę. Była to księżna S. spod Przemyśla.

Bolały Brata Alberta nogi i ramiona i głowa z miłości Boga ale się czuł szczęśliwym, widząc, jak i bracia jego w codziennym trudzie służyli Bogu i bliźnim, nie cofając się przed żadną pracą. Spełniała się myśl przewodnia, jaka się zrodziła w jego sercu i głowie dla całego zgromadzenia. Nie zdawał sobie może wtenczas sprawy z tego, że przez ten sposób ukochania Boga w pracy, przez umęczenie rąk i nóg nie tylko naśladuje św. Franciszka lecz stwarza coś nowego, idzie na spotkanie nowego świata, tego, który się dopiero dzisiaj buduje. Dwa nowe polskie zgromadzenia, jedno trzeciego zakonu założone przez Alberta, a drugie — Szarych Urszulanek wyczuły przez swoich założycieli, że nadchodzi nowy okres w dziejach ludzkich, gdzie trzeba będzie kochać Pana Boga tak, iż z tego kochania zabolą ramiona i nogi i głowa: szary i brązowy habit zakonny znajdzie się znowu obok robotniczej bluzy.

Miał za sobą Brat Albert dziesięć lat pracy w ogrzewalni i schronisku, kiedy w Monastyrku gościł ks. Gnatowskiego; wspominał więc o tym, jak wygląda bezdomny, kiedy po raz pierwszy wstępuje do ogrzewalni, a jak się przedstawia, kiedy ją w końcu opuszcza. „Włóczegów, objaśniał ks. Gnatowskiemu, włóczegów, których do nas przyprowadza nędza, głód lub przysyła policja, myjemy, karmimy, łatamy ich łachmany, uczymy pacierza i prawd Bożych, uczymy też pracy. Niejeden, wyszedłszy od nas, zamiast dalej włóczyć się, pić, kraść, bierze się do roboty i staje się porządnym człowiekiem“. Potakujemy głową, czytając drugą część tego zwięzłego sprawozdania, więc

też rozpoczniemy od niej, by przejść następnie do jego części pierwszej. Cieszymy się z Bratem Albertem, że z jego ogrzewalni wychodził bezdomny w innej postawie ducha aniżeli ta, w której się po raz pierwszy w niej zjawia. Jaka była kierownicza myśl w pracy nad bezdomnymi w ogrzewalni i schronisku? Jaka jest w ogóle zasadnicza myśl chrześcijańska o stosunku do biednych, do nędzarzy? Siegnijmy po odpowiedź do tego, który zabrał w tej sprawie głos półtora tysiąca lat temu, bo nas to przekona o tym, jaką była najdawniejsza nasza tradycja. Brat Albert tradycję tę wcielał w życie, zadziwiając tym cały ówczesny i dzisiejszy Kraków. Objaśniając Ewangelię św. Jana, odzywa się św. Augustyn: „Ułamiesz chleba dla biednego, dobrze, ale jeszcze by było lepiej, gdyby biednego wcale nie było, gdyby nie było żadnego takiego, którego-bys musiał obdarować. Ubierasz tych, którzy nie mają odzieży, dobrze, lecz byłoby jeszcze lepiej, gdyby wszyscy posiadali odzież i gdyby nie trzeba z konieczności kogokolwiek ubierać. Dbaj o to, żeby nędzarze wcale nie istnieli i żebyś przez to doprowadził do końca swą działalność, natchnioną przez miłosierdzie. Może myślisz, że przez to zgaśnie płomień miłości, płomień caritas? Dосkonalszą jest nasza miłość, gdy kochamy człowieka szczęśliwego, człowieka, którego niczym obdarzyć nie można, bo go kochamy miłością czystsza i szersza. Kiedy się bowiem biednemu coś ofiaruje, może się tam wkraść chęć, żeby nim zawładnąć i dla siebie go zjednać... Musimy mieć wolę, żeby się stał równym nam samym. Dbaj o to, żebyście obydwaj podlegali tylko Temu, któremu nic darować nie możecie“. Domaga się więc św. Augustyn, żeby miłość równała ludzi, gdyż tylko w ten sposób może się zamienić na szczerą, życzliwą przyjaźń. Słowa św. Augustyna są wymowną interpretacją drugiej części zwięzłego sprawozdania Brata Alberta. Zachłyszawszy się pięknem myśli św. Augustyna mógłby ktoś stracić orientację rzeczywistości, głosząc, że należy się wyrzec wszelkiego miłosierdzia, wyrzec jałmużnictwa, bo ludzie są równi, a jeżeli nimi nie są, to trzeba na to znaleźć środek. Rzeczywistość pozostaje jednak rzeczywistością i odzywa się do nas strasznym nieraz głosem faktycznej a nie urojonej nędzy. Zanim się dojdzie do szczęśliwej równości, zanim

się znajdzie skuteczny środek na nędzę, trzeba coś z dzisiejszym nędzarzem zrobić i w ten lub inny sposób do niego podejść.

Przejdźmy do pierwszej części sprawozdania Brata Alberta. Co najpierw robił Brat Albert z bezdomnym, który po raz pierwszy zjawiał się na progu ogrzewalni, z bezdomnym, który się włóczył, pił, kradł a teraz jest głodnym i chodzi w łachmanach. „Dajcie mu chleba“, wołał najpierw Brat Albert, bo wiedział czym jest głód, męczący organizm człowieka. Sam szanował chleb i do chleba porównywał dobrego człowieka, do chleba porównał może po raz pierwszy jako młody malarz w Warszawie matkę swego przyjaciela, Stanisława, gdy się odezwał: „Pani Witkiewiczowa jest dobra jak chleb“. On sam w ogrzewalni był już dobry jak chleb i dlatego zobaczywszy na jej progu po raz pierwszy nowego bezdomnego, wołał najpierw: „Dajcie mu chleba“. Nakarmiwszy nędzarza, prowadzono go do łaźni i łątano jego łachmany lub ubierano w ubranie z zakupionego po więźniach samodziału. Po tym wszystkim prowadzono go do warsztatu, by obudzić w nim dobrego człowieka. A wypominki tego, że się włóczył, pił i kradł? Wypominków wcale nie było a tylko przypomniano mu pacierz i Boże przykazania. Ponieważ nie było wypominków, wychodził bezdomny ze schroniska jako „porządny człowiek“.

Weźmy w rękę dwa jeszcze dokumenty, żeby się przypatrzeć metodzie pracy w ogrzewalni: jednym jest sprawozdanie z roku 1890, a więc dwa lata po objęciu opieki nad bezdomnymi. Pisał je sam Br. Albert, więc nic dziwnego, że do sumy zestawień wkłada się także serdeczny ton. Okazuje się, że Magistrat szedł dalej, aniżeli umowa, bo kupił konia i wóz, kupił naczynia do kuchni i inne drobiazgi a nawet dał kilkaset złotych zapomogi rocznej dla opędzania kosztów. Sprawozdanie mówi o wielkiej uprzejmości władz miejskich. Nas interesuje przede wszystkim jedno, to mianowicie, jaki był wzajemny stosunek bezdomnych i Brata. Br. Albert podkreśla silnie, że wskutek bezdennej nędzy biedni mają swoje wady ale mają także wielkie zalety ludu polskiego, dodaje, że daleko więcej można u nich działać przez dobre słowo lub miskę strawy, aniżeli przez kary i nagany. Zadowolony

jest Br. Albert, że owoce pracy w ogrzewalni już się uwi-
 łościzniły w sprawozdaniach policyjnych. Liczba bowiem
 spraw zanotowanych przez Policję wynosiła w Krakowie:

	Za pljaństwo	Włóczęgostwo	oddanych przez po- licję sądom
z lat 1885, 86, 87, 88	1780	2039	5728
Z roku 1889	1448	1370	4841
Umnieszenie	332	669	887

Z radością zanotowano te cyfry, bo mówiły o wyż-
 szości metody zaufania nad ostrym rygorem i karą; z ra-
 dością także zanotowano, że w porze zimowej gromadziło
 się dziennie w ogrzewalni 150 do 210 osób i wydano ogó-
 łem koło 50.000 śniadań, obiadów i kolacyj; z radością
 dodawano, że pani Wołodkiewiczowa ofiarowała dwa war-
 sztaty tkackie i że będzie można pomyśleć o organizacji
 pracy.

Przejdźmy do drugiego dokumentu, do książki mel-
 dunkowej, jaką prowadzono w schronisku przy ul. Kra-
 kowskiej Nr 47 (dziś 43). Byłaby ona niezmiernie cennym
 źródłem dla socjologa, gdyby była prowadzona bardzo
 szczegółowo i bez przerwy, bo by się z niej dowiedział,
 z jakich elementów składała się ta fala ludzka, która co-
 dzień przepływała przez ogrzewalnię i schronisko. W sa-
 mej rzeczy wartość książki nie jest tak duża, ponieważ
 pozycje zanotowane nie obejmują widocznie wszystkich
 mieszkańców. Stało się to niezawodnie dlatego, że bez-
 domni ciągle się zmieniali i braciszek byłby musiał cho-
 dzić codzień do Policji dla wymeldowania części, która
 odpłynęła, chociaż dopiero wczoraj czy onegdaj ją zapi-
 sano. Tego było za wiele zarówno dla Policji, jak i dla
 braci. Książka przestaje być źródłem badań dla socjologa,
 lecz jest mimo wszystko pożądanym dokumentem dla hi-
 storyka. Dowiadujemy się z niej, że bracia razem ze
 swym założycielem przenieśli się z ogrzewalni do schro-
 niska przy ul. Krakowskiej 16 stycznia 1893 r.; dowiadu-
 ujemy się także nazwisk tej grupy braci, która wówczas
 otaczała br. Alberta, a wreszcie znajdujemy w zapiskach
 to, co świadczy o duchu, jaki w schronisku panował. Bra-
 my ogrzewalni i schroniska były otwarte dla wszystkich
 bez względu na narodowość i wyznanie. Nie trzeba oczy-

wiście wymieniać Polaków, lecz trzeba zapisać Żydów, Anglików i Rosjan. Spośród Żydów zapisali się z miejsca Abraham K. bez podania wieku, a potem Izrael B. lat 15, Izaak M. lat 16, ślusarz, Abraham S. lat 21, nauczyciel, Samuel S. lat 18, subiekt. Anglię reprezentował w pierwszej transzy Tomasz Choat, lat 50, nauczyciel, Rosję Piotr Bałachnin, lat 24, wyrobnik; Ukraińców Adam Keruczenko, lat 25. Niemniej zatrzymuje naszą uwagę zawód bezdomnych. Największa mizéria panowała widocznie wśród nauczycielstwa, gdyż raz po raz figuruje w rubryce zawodu nauczyciel. Poza tym zjawiali się przede wszystkim rzemieślnicy różnego typu i wyrobnicy, dniówkarze. Nie wykluczano więc nikogo, przyjmowano każdą nędzę.

Książka meldunkowa nauczy nas jeszcze jednego. Wyczyta się z niej wiek tych braci, którzy przy ul. Krakowskiej otoczyli Brata Alberta jako pierwsza jego gwardia. Byli to wszystko ludzie między 20 a 30 rokiem życia. Młode i proste ich serca przyprowadziły ich najczęściej spod naszych Tatr, by spróbowali spinaczki na szczyty doskonałości w służbie dla polskiej nędzy. Rozeszła się już widocznie wieść, że tam, w papierni na Kalatówkach, pracują jacyś bracia zakonni, że tam, na drodze do Morskiego rozbijają kilofami krzyżale, że tam nawet sam ich Założyciel poszedł do pracy z kilofem w rękę, że między Morskim Okiem a Czarnym Stawem kładli kamienie znowu oni. To się spodobało i ruszono z pomocą.

— Od ognia zapala się ogień, od serca serce. Zapalały się serca nie tylko na Podhalu lecz i w samym Krakowie. Wśród starszych zapaleńców znalazł się towarzysz Chmielowski z powstania i kolega jego ze szkoły rysunków w Warszawie, malarz Benedyktowicz, ten, który stracił na polu boju obydwie ręce, a jednak w zawziętej swej pasji nie odstąpił od raz powziętego zamiaru, przywiązywał sobie pędzle do pozostałych kikutów i malował nie najgorzej. On stracił ręce a jego ukochany towarzysz, Chmielowski, stracił nogę i teraz wybijał żelazną rurą miasto dawnej protezy po bruku krakowskim, by znaleźć chleb i dach dla bezdomnych. Postanowił pomagać. Postanowili pomagać temu dziwnemu człowiekowi w ziemie opończy dwaj chłopci, posłowie do sejmu, Ptak i Wójcik, rozumiejąc, że gotuje się jakiś nowy świat. Zrozu-

miała Brata Alberta przede wszystkim pewna grupa młodzieży, rozumiała go niemal w komplecie Wyższa Szkoła Przemysłowa, jakby zaczątek politechniki. Byli to ludzie biedni, żyli niemal wszyscy ze skromnych stypendiów, czuli na własnej skórze, co to znaczy życie twarde i dlatego ławą szli z pomocą Bratu Albertowi, urządzali wieczornice, szli na zbiórkę. Dzisiaj już wymarli albo blisko stoją grobu. Nie będę mówił o żywych, ale wspomnę o niedawno zmarłym dyrektorze Solwayu w Borku Fałęckim, inżynierze Romano, bo i on należał do entuzjastów Wyższej Szkoły Przemysłowej, która szła Albertowi na pomoc, łamiąc lody krakowskiej obojętności.

Kroniki, książki meldunkowe, sprawozdania, trzeba ożywić przez wywiad i żywe informacje. Spośród wielu zanotuję tylko jeden fakt dla zobrazowania, jaki panował duch w ogrzewalni. Regulamin nakazywał ostro, żeby po godzinie 9-tej nikogo z zewnątrz nie wpuszczać. Powagę tego przepisu podkopywano z zewnątrz i wewnątrz. Podkopywali ją z zewnątrz maruderzy, którzy w stanie pijanym dobijali się do bramy. Od wewnątrz podkopywał tę powagę ktoś inny. Urządzono się tak, że dniem i nocą był w ogrzewalni zawsze jeden z braci. Czuł się bezpiecznym przepis, kiedy miał dyżur ktoś inny, a nie sam Br. Albert, bo kiedy maruder dobijał się w jego obecności, drzwi mimo zakazu się otwierały. Dostał się do ogrzewalni półprzytomny maruder, który stracił resztę przytomności w cieple i zaduchu natłoczonej izby i rozpoczął z miejsca awantury. By innym nie przeszkadzać, zaciągnął nieszczęśliwca do kuchni, ale i stamtąd jeszcze dochodziły na sale drażniące głosy. Zabrał go więc do węglarki, ale tam znów zaczął się lękać, że mu pijaczyna skostnieje albo zachoruje. Począł go więc ogrzewać i nakrywać tym, co się znalazło pod ręką. Pod tak czułą opieką maruder się uspokoił, wyspał i dostał rano zamiast wymówki kubek gorącej herbaty.

Już w sprawozdaniu z 1890 r. jest mowa o opiece nad kobietami w innej dla nich ogrzewalni. Br. Albert miał tam tylko ogólny nadzór, ale w duszy nosił pragnienie, żeby tam coś zorganizować. Myślał, myślał, ale przyszło samo. Zjawiły się u niego dwie podlasianki, które były na Wawelu w czasie procesji Bożego Ciała i zobaczyły tam

garstkę Albertynów w brązowych habitach. Modliły się już u Bernardynek o natchnienie, bo chciały się koniecznie dostać do jakiegoś zakonu. Wyszły z kościółka i natrafiły na kogoś, który je komuś innemu polecił i tak poszło dalszym kręgiem aż na Wawel, a z Wawelu do Br. Alberta. Ucieszył się, widząc w tym wskazówkę Opatrzności. Zachęcił i polecił, żeby poczekać i gdzieś się umieścić. Umieszczono się przy ul. Smoleńskiej, ale wkrótce mieszała tam już cała siódemka podlasierek. To już wystarczało Br. Albertowi. Poszedł do kardynała ks. Dunajewskiego, o wszystkim opowiedział i znowu czekał. Tymczasem siódemka podlasierek przy Smoleńskiej założyła sobie warsztat pracy, zaczęła się orientować w stanie ogrzewalni dla kobiet, a Br. Albert dalej nadzorował i porozumiewał się z Ks. Kardynałem. Skończyło się wreszcie na tym, że 15 stycznia 1891 r. cała siódemka z matką Lubańską na czele otrzymała habitę z ręki Kardynała Dunajewskiego w jego własnej kaplicy. Na Kazimierzu wszczął się ruch.

By się zorientować w ówczesnej sytuacji, trzeba by dzisiaj być na Wolnicy, by w niej jako z punktu wyjścia rozpocząć spacer, któryby dopomógł do wymierzenia terenu, na którym wszczął się niepokój. Trzeba by z Wolnicy przejść ulicą Skawińską aż do jej końca, przesunąć się na Piekarską, dojść do Skałki, a potem już potrudzić się nad Wisłę i iść wzdłuż jej brzegu aż do mostu Piłsudskiego, by znowu dostać się na Wolnicę. Po drodze zauważyło się szpital Bonifratrów, potem Dom Pracy Sióstr Miłosierdzia, a wreszcie Skałkę, na której osiedli Eremici św. Pawła. Do tej dzielnicy dostawał się czasem O. Badeni, Jezuita, by badać najgorszy kąt nędzy krakowskiej i napisać o tym do „Przeglądu Powszechnego“. Artykuły takie nie budziły żadnego echa w dzielnicy zakreślonej przez nas spacer. Pojawił się tam jednak Br. Albert i wstawił kij w mrowisko, więc jak w mrowisku zakipiało. Chorzy mogą jeszcze cięższej zachorować, wołali jedni; ludzie starsi, pomęczeni, oka nie zmróżą, dodawali inni. Wszczęła się opozycja, bo się bano większych jeszcze krzyków po nocach. Spalił się jeden dom, była gorzelnia, bo nie podobały się tamtejsze porządki. Zabrano się następnie do długiej parterówki wydzierzawionej przy

ul. Skawińskiej przez Magistrat od Szemberga na schronisko pod kierunkiem Albertynek. Dawniej kotłowało się wszystko razem, mężczyźni i kobiety, a teraz miało być inaczej, miał nastąpić porządek. Część ulicy, biedne dziewczęta, schroniła się u Sióstr przy Skawińskiej. „Zdobyc!” — padło hasło z innej strony ulicy. Od wewnątrz założono sztaby na okienice i bramę wchodową, ale zorganizowany napad zabrał się do murów już mocno nadwątlonych. Wszczął się zgiełk na całą dzielnicę. U góry na Skałce u OO. Paulinów słyszał Br. Albert, jak tam na dole, na Skawińskiej pod schroniskiem kobiet huczy wszystko jak w wulkanie i bardzo się zatroskał. Przyszedł nad ranem, by zbadać pobojowisko. Trzy izby były mocno nadwerężone, a oparła się natarciu tylko jedna, największa. Chwała Bogu powiedział sobie Br. Albert, że nie gorzej. To była jedna strona trudnego położenia. Istniała jeszcze inna. Dosyć już było takich niepokojów ludziom przyzwyczajonym do ciszy. Na Skałce żył w klasztorze były przeor, zacny staruszek, który chciał żyć w zaciszu jak eremita, a tymczasem aktualny przeor niebacznie zgodził się na to, że zgiełkliwe miasto jakby przed forpocztym, przez ogrzewalnię dostało się na teren pauliński. Prezydent Szlachtowski pobudował tam ogrzewalnię, bo mu nie wystarczały rozpalane zimą na rozkaz poprzednika, Dietla, ogniska w różnych punktach miasta, by przy nich mogli ogrzewać się bezdomni. Teraz wyniknął z tego powodu ciężki kryzys. Bezdomni nie byli aniołami i domagali się już po 9-tej krzykami, by ich do środka puszczono. W samym klasztorze zamieszkał Br. Albert z kilku towarzyszami. Ze Skawińskiej szły zgiełki aż pod stopy klasztoru na Skałce. Były przeor pauliński miał prawo do spoczynku, więc zaczął się skarżyć i drażnić, prosił usilnie, by z tym wszystkim skończyć. Oparła się sprawa o Księcia Kardynała Dunajewskiego. Poszedł sam na Skałkę i stanął przed byłym przeorem jasny jak święty z obrazka z aureolą srebrnych włosów na głowie. Uśmierzyła się burza przez jedno spokojne słowo Kardynała Protektora: to ja wszystko zrobiłem, bo o wszystkim od Brata Alberta wiedziałem.

Chodziły Siostry po kweście i otrzymywały na schronisko datki różnego rodzaju. Jedni dawali grosz, inni

odzież, inni jedzenie, a inni odzywali się z irytacją: wariat, plaga, zakon najgorszego gatunku. Z jednym i drugim wracały Siostry do schroniska i opowiadały o przygodach swemu założycielowi. Na złe wieści odpowiadał uśmiechem, dodając: „Nie wiedzą, że jestem gorszy, aniżeli mówią“. Z takim człowiekiem walki nikt nie wygra. On tymczasem pracował nad urobieniem wewnętrznym Sióstr. Tłumaczył im jak braciom tekst „Wnijścia na Karmel“ św. Jana od Krzyża, objaśniał „Naśladowanie Jezusa Chrystusa“ i pisma błogosławionego Henryka Suzona; kazał zrazu odmawiać dwanaście pacierzy, a potem polecał medytacje z „Roku Chrystusowego“; polecał na rekolekcje Belecjusza i Ćwiczenia św. Ignacego w opracowaniu Crassetta, zakreślając osobiście w tekście to, co uważał za niepotrzebne. Nie było konstytucji, ale były „Ostrożności“ św. Jana od Krzyża, które sam w języku polskim ogłosił; powtarzał, że nie mają reguł ale mają „Ostrożności“ i te im powinny tymczasem zamiast reguł wystarczyć. Rozumiał, że kto dla ludzkiej nędzy pracuje i z brudem się styka, musi być silny i czysty od wewnątrz. Braciom tłumaczył, że sam musi mieć silne ramiona i dobrze pływać, kto chce ratować tonącego. Siostry pouczał, że powinny być od wewnątrz Karmelitankami bez zewnętrznej kraty i klauzury. Kiedy tłumaczył św. Jana od Krzyża było znać, że sam mistyczne stany przeżywał. Kiedyś wśród tłumaczenia jakby zaniemówił, poczerwieniał. Siostry czekały w milczeniu. Spostrzegł się, zrozumiał, co się stało i uniewinniał się mówiąc: „Ja nie mogłem inaczej“.

Tłumaczono Albertynkom św. Jana od Krzyża, ale w schronisku i w innych domach warkotały wrzeczona, klekotały tkackie warsztaty, przędły się włókna, tkwały się samodziały na habity, robiono chodniki, pleciono krzesła jak u braci, imano się wszystkiego, by zarobić na chleb. Ideą naczelną i hasłem była praca, praca dla biednych w ubóstwie osobistym i zakonnym. Oszczędzał założyciel Siostry, kiedy chodziło o pracę ciężką, o dźwiganie ciężarów, ale znalazł dla nich twarde słowo, kiedy która z nich uchybiła przeciwko ubóstwu. Z biletami kolejowymi było zrazu jak u braci, bo dostawały na drogę zakupione bilety, lecz nie otrzymywały ani grosza na drogę

poza paczką jedzenia. Pojechały kiedyś we dwójkę do Prusia pod Werchratą. W drodze jedna z nich wytrzymała poza wagon chustką razem z okruszynami potrzebne bilety. Było wiele trudności na stacji w Jarosławiu, gdzie trzeba się było przesiadać w stronę Sokala. Jakoś temu się zaradziło, ale duch ubóstwa musiał zostać nieknięty.

Rozpoczął Br. Albert od życia, od praktyki, działał i wydawał polecenia z miejsca tak, jak tego wymagały okoliczności. Był podobny do architekta w zarodku, do murarza, który w pracy swojej ma tylko jedno kierownicze narzędzie, ma pion i do niego raz po raz sięga. Porywał Br. Alberta ogień bożej miłości, zdobywał się na oryginalność w swoich pomysłach, miał w sobie coś bezpośredniego, trafnego dla opanowania każdej konkretnej sytuacji, miał w sobie pion, duchowy pion, którym się kierował we wszystkich trudnościach i zawikłaniach. Był znowu w tym podobny do św. Franciszka z Assyżu, który budził zdziwienie swym ogniem i oryginalnością. Br. Albert jak św. Franciszek z Assyżu nie zostawił konstytucji, nie stał się architektem, który oblicza matematycznie siłę oporu i ciśnienia, on tylko miał w sobie ogień boży, bezpośrednio reakcji na ludzką nędzę, zwykował ciągle od wewnątrz w stronę heroizmu, ale miał w sobie też ten niewytłumaczony pion, który mu nie pozwalał nigdy na wykojenie. Gdzie sam nie rozstrzygał, tam zwracał się po rozstrzygnięcia do władzy duchowej.

Gładko się o tym wszystkim pisze, ale praca w schronisku łatwą nie była. Spodobał się kiedyś Adamowi Chmielowskiemu przez swą prostotę habit kamedulski, więc wprowadził jego krój razem z drewnianą zatyczką w habit dla swych zgromadzeń, ale zmienił jego barwę i materiał. Zmienił barwę białą na ziemistą, bo bracia i siostry ocierali się o nędzę, która łatwo może zostawić komuś plamę na jego ubraniu; zmienił sukno na samodział, bo nie chciał, żeby lepszy materiał raził oczy i dotyk biedaka. W kontakcie z największą biedą w ogrzewalni nieraz dostały się na habit Brata wszy jako wyraz bezradnej nędzy. Zauważono to kiedyś w Zakopanem na towarzyskim zebraniu w salonie pani Dębowskiej, a wtedy Br. Albert z uśmiechem się odezwał: „To moje perełki“.

Perełki kiedyś bardzo mu dokuczyły i powaliły na łożo. Było to w pierwszych latach pracy w ogrzewalni, kiedy u jego boku byli tylko trzech bracia, Józef, Antoni i Kazimierz. Brat Albert zapadł na tyfus o tak ostrym przebiegu, że gorączka ciągle zwyżkowała ponad 40°. Lekarze i przyjaciele namawiali, żeby się dał przenieść do szpitala. „Co ja zrobię bez moich nędzarzy, co nędzarze zrobią beze mnie — powiedział chory — jeśli taka wola boża, to niech już umrę w ogrzewalni wśród swoich“. Wola boża była jednak inna, była ta, żeby Br. Albert w Krakowie i w całej Polsce nauczył ludzi, jak się buduje nowy świat, jak się buduje aż do zmęczenia ramion i nóg i głowy, jak go się kocha aż do zrównania z bliźnim, aż do przeobrażenia bezdomnego człowieka, w pożytecznego obywatela.

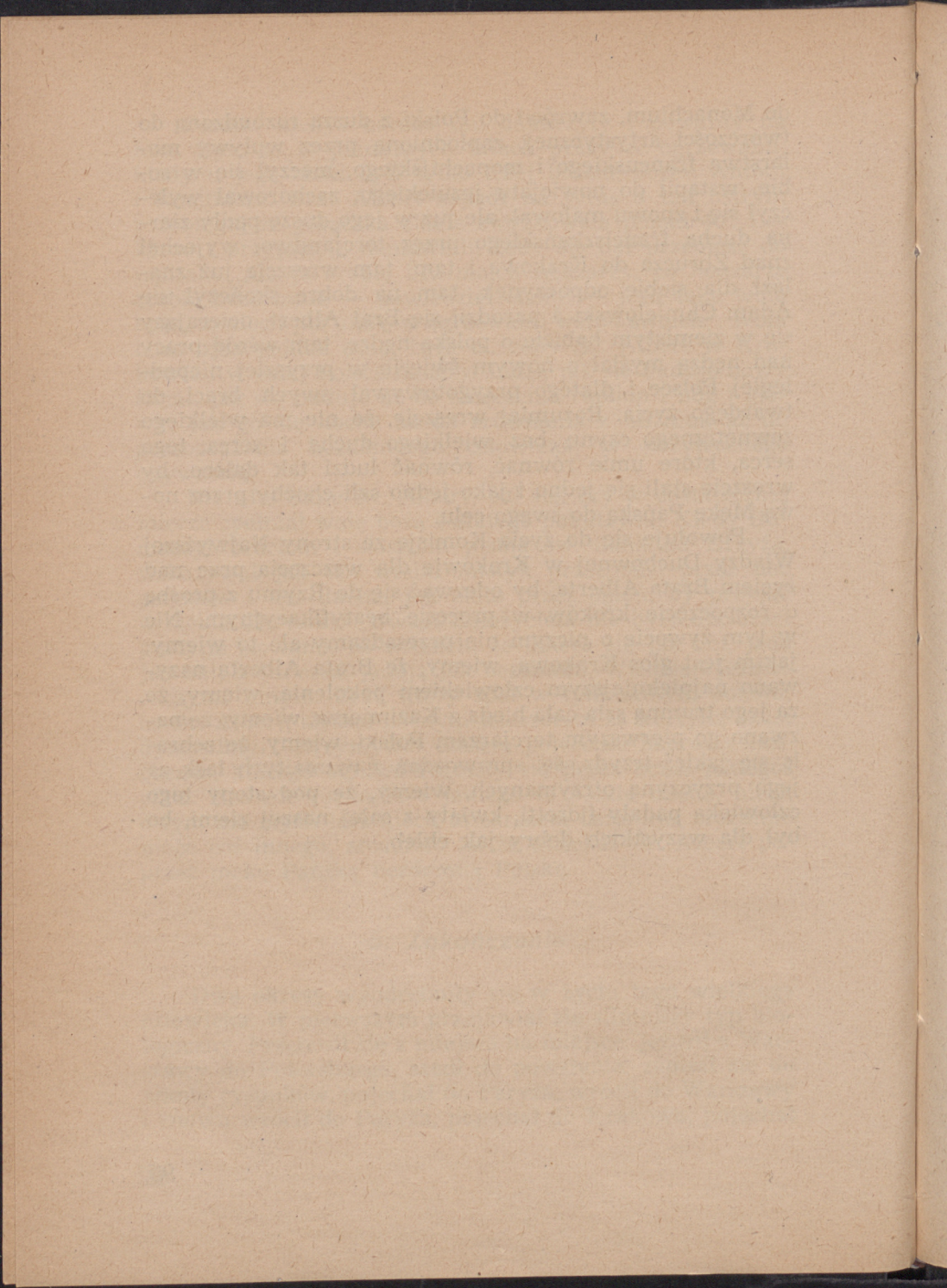
Nie ufał sobie Br. Albert; bał się, czy w dostatecznej mierze spełniał wolę bożą i dlatego pokutował. Kiedy tłumaczył braciom i siostram pisma św. Jana od Krzyża, wskazywał jak ten wielki mistyk przechodzi przez noc zmysłów i noc ducha, jak złoto przez ogień, by przyjąć w siebie Chrystusa. Uwagi Założyciela nie były dla braci pustymi słowami, bo widzieli, że ubiera się jak oni, jada jak oni, a oni sami jadają jak bezdomni. Wiedzieli jeszcze o czymś innym. Brat, który spał w tym samym pokoju, co Br. Albert, słyszał późnym wieczorem za kurtyną świst dyscypliny i otrzymywał czasem polecenie naprawy łańcuszka, którego ogniwa rozeszły się przez ucisk jakiegoś ciała. Kto nie rozumie, z jakiego to poszło ducha, niech o tym nie myśli lecz niech to zarazem uszanuje; zrozumie może coś innego, zrozumie to, że ukochał Br. Albert po przez mękę Pańską bezdomną Polskę.

5. Zakończenie

Dwa okresy wyodrębniły się w życiu tego wielkiego człowieka. W pierwszym przejawiał się silniejszy typ biologiczny. Przenosił się z miejsca na miejsce, jeździł z Warszawy do Petersburga, szedł do powstania, zapisał się do szkoły rysunków, pojechał do Paryża, wrócił do Warszawy i znowu wrócił do Paryża, pojechał do Krakowa, pojechał

do Monachium, zawrócił do Polski z duszą rozbudzoną do twórczości artystycznej, zapłodnioną przez wpływy malarstwa francuskiego i monachijskiego, męczył się w sobie, wstąpił do nowicjatu jezuickiego, zachorował wyleczył się i znowu malował, ale już w jego duszę padły ziarna ducha franciszkańskiego przez tercjarstwo, wyjechał znad Zbrucza do Krakowa i tam, tam wreszcie już znalazł dla siebie odpoczynek, tam na dobre skończył się Adam Chmielowski a narodził się Brat Albert, ocierający się w ziemistym habicie o polską nędzę, tam wśród pracy nad nędzą myślał o nowym świecie w przyszłej niepodległej Polsce i dlatego przygotowywał swych braci do twardego życia. Rozumiał wreszcie, że nie ma wielkiego zewnętrznego czynu bez wielkiego ducha i serca, tego serca, które umie równać, równać ludzi tak dalece, by wreszcie stali się jedno i jako jedno szli choćby przez nową Mękę Pańską do swego celu.

Powołuje się do życia Komisję ze strony Najwyższej Władzy Duchownej w Krakowie dla wszczęcia prac nad życiem Brata Alberta, by odezwać się do Rzymu z prośbą o rozpoczęcie kroków w procesie beatyfikacyjnym. Nic w tym żywocie o niczym nie przesądzamy ale to wiemy, jakim jest głos Krakowa, wiemy, że Brata Alberta nazywano najpiękniejszym człowiekiem pokolenia, wiemy, że za jego trumną szła cała bieda z Kazimierza, wiemy, że nazywano go pierwszym tercjarzem Polski, wiemy, że zebrało się jakieś trzydzieści sprawozdań z rozmaitych łask za jego przyczyną otrzymanych, wiemy, że pod stopy tego człowieka padały fioretti, kwiaty z całej naszej ziemi, bo był dla wszystkich dobry jak chleb.



SCHEMATY BIOGRAFICZNE

zamiast przypisków

Ktokolwiek chce zarysować profil charakterologiczny jakiejś postaci historycznej, jakiegoś Świętego, musi wprowadzić w ruch pewne zdarzenia i daty ale nie ma wszystkiego w świadomości na pierwszym planie tak, jak malarz ma wszystkie potrzebne pigmenty, kiedy maluje jakiś portret. Charakterolog a nawet historyk, portretując na swój sposób jakąś postać, jest równocześnie artystą i uczonym; jest uczonym najpierw, jest artystą w trakcie pisania, presuponując już wyniki poprzednio przeprowadzone badań naukowych. Jako artysta ma tylko małą część potrzebnego sobie materiału, swoich pigmentów na powierzchni palety a daleko większa ich część znajduje się pod paletą, by w danym momencie przejść w świadomość, przejść na front palety jako potrzebny materiał. W samej nawet świadomości pewien materiał znajduje się na samym froncie a inny na drugim, na trzecim planie, czekając na swoją kolej. Charakterolog i historyk jako portrecista mają w czasie swej aktualnej pracy na drugim i dalszym planie pewne schematy biograficzne, które w każdej chwili mogą się uzupełnić spod świadomości szczegółami z przebadanego naukowo materiału. Wskażę na tym miejscu, jakie schematy biograficzne towarzyszyły mi na drugim planie mej świadomości, kiedy tworzyłem portret charakterologiczny Brata Alberta. Wyczuwałem każdej chwili, że mogę sięgnąć aktualnie do całego schematu, że go mogę wysunąć na pierwszy plan w mej świadomości, że mogę ze schematu przejść w szczegóły, które mogą być potrzebne i dla mnie i dla moich następców. Zanim zasiadłem do portretu, starałem się naukowo

przepracować przez dostępny mi materiał, niektóre trudności rozwiązać lub luki wypełnić. Gdybym był chciał wszystkie schematy, a za schematami związany z nimi materiał, szczegółowo wprowadzić w portret, powikłały by mi się jego linie. Trzeba w portrecie pominąć niektóre szczegóły na to, by zarysowały się silnie kontury i cechy charakterystyczne. Trzeba jednak dodać, że każde po- ciągnięcie piórem u historyka czy charakterologa w czasie kształtowania jakiejś postaci dokonuje się pod wpływem mniej lub więcej uświadomionym a nawet wcale nieuświadomionym tego wszystkiego, co się wie, gdyż inaczej nie używałoby się właściwych pigmentów, zdarzeń, wykrytych dyspozycyją a stwarzałyby się fikcje, które by nic rzeczywistości nie odpowiadały.

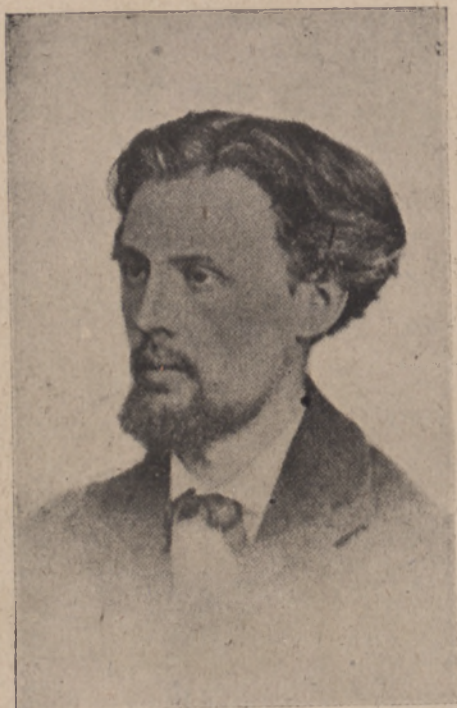
I. Fotografie i portrety Adama Chmielowskiego, Brata Alberta. Umieszczam tu kolejno pięć fotografii Brata Alberta z różnych lat jego życia, by przemówiły do Czytelnika tak, jak przemówiły do mnie, kiedy rysowałem portret, mając ustawicznie na jakimś dalszym planie świadomości także ten pierwszy schemat biograficzny obecnym potencjalnie. Wszystkie fotografie w jakiś sposób powinny się były odbić w podanym poprzednio zarysie. Każdy może naocznie zwrócić uwagę na różnice, jakie pomiędzy nimi zachodzą; może wnioskować o tym, jakie uczucia, jakie dyspozycje odzywały się w duszy fotografowanego w różnych okresach jego życia. Mimo odległości wieku pierwsza fotografia z lat studenckich najwięcej się zbliża do fotografii Brata Alberta z ostatnich lat życia, bo tu i tam najwięcej pogody i słońca wypromienia się na oblicze. Najmniej tego pierwiastka a najwięcej niepokoju zjawia się w fotografii trzeciej po przebytej chorobie.

Fotografia malarza z czasów monachijskich — i fotografia tercjarza z czasów podolskich zajmują miejsce pośrednie, zbliżając się do fotografii pierwszej i ostatniej.

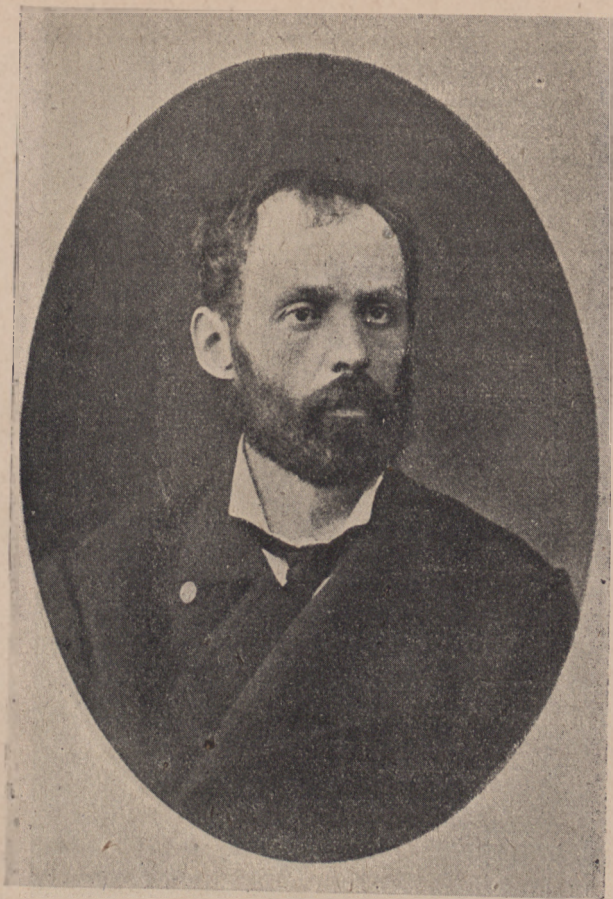
Fotografie uzupełniają się przez portrety. Fotografii drugą z lat monachijskich uzupełnia portret Aleksandra Gierymskiego z tego samego czasu. Portret Maszyńskiego i portret Antoniego Piotrowskiego z pierwszych lat tercjarstwa oraz portret Wyczółkowskiego z późniejszych lat,



Student



Malarz



Po chorobie



Tercjarz



Brat Albert

składają się razem na ten sam wyraz duszy, jaki dostrzegamy w fotografii piątej.

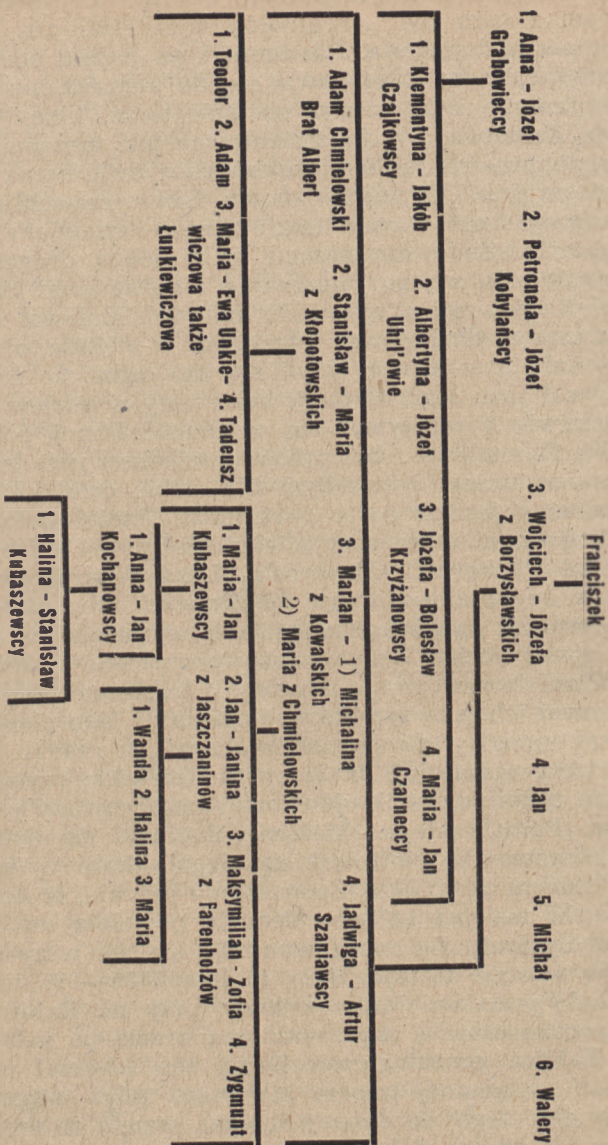
Kto latami oglądał średniowieczne rękopisy od wewnątrz i od zewnątrz, kto na okładkach chciwym okiem szukał najdrobniejszej notatki i śladów jej śladu, będzie także pilnie czytał to wszystko, co się znajduje na odwrocie jakiejś fotografii. Mamy najpierw fotografię znaną nam już jako pierwszą fotografię z firmą warszawską Bayera na odwrocie; na odwrocie także zapisano ołówkiem: 1867. Mamy w rękę inną jeszcze fotografię, tę, która przedstawia trzech młodych ludzi razem ze starszym panem; dwóch młodych siedzi, a trzeci z profesorem po prawej stoi. Siedzi w środku Adam, schowawszy prawą nogę za nogi wysuniętego nieco naprzód kolegi. Na odwrocie zapisano czarnym ołówkiem: maturzyści z 1867 — x. Jan Świącicki. Jan Świącicki byłby więc profesorem a wśród trzech maturzystów znajduje się Adam Chmielowski. Otrzymujemy więc niezbite świadectwo, że Adam przemiłował się ze Szkoły Rysunków do gimnazjum realnego, by zakończyć prawidłowo studia świadectwa dojrzałości. Poza datą kryje się dla charakterologa coś ważniejszego i głębszego. Nie skończył Adam ani gimnazjum, ani instytutu puławskiego a w Paryżu przekonał się, że tam niczego zdobyć nie można bez urzędowego świadectwa i dlatego zaglądał do szkoły w Batignoles. Postanowił więc wprowadzić w swe studia pewien ład i choć go to wiele kosztowało zabrał się na nowo do studiów według programu gimnazjum realnego. Nie żyli już wtenczas rodzice a ciocia Petronela napewno radą swoją w tym wypadku mało mogła zaważyć. To były powstaniec z amputowaną nogą zdecydował sam, że trzeba wprowadzić porządek w swe studia, by nie mieć trudności na przyszłość. Trzeba było do tego inicjatywy i męskiej postawy ducha. Dopiero teraz mógł ruszyć po raz drugi za granicę, mógł pojechać do Paryża i Gandawy, skoro świadectwo dojrzałości otwierało mu dostęp dla wszelkich uczelni. Dłużej jednak przebywał w Paryżu niż w Gandawie, jak świadczy opowiadanie Jakóbiaka, bo się znowu w nim obudziło to zainteresowanie, które go w Warszawie poprowadziło do Szkoły Rysunków. Więcej jednak patrzył na dzieła nowej sztuki francuskiej, aniżeli sam pracował pędzlem, chociaż Ja-

kóbiak widział u niego rozpoczęte obrazy. Przypuśćmy że jednym z nich był „oryginalny szkic“ czy też była prosta kopia Meissonier'a. Rozumnie i po męsku postąpił w Warszawie, kiedy zdecydował się na dokończenie studiów; roztropnie i po męsku postąpił teraz, kiedy wyjedzie do Krakowa, by się zorientować jak tam malują, a potem, po naradzie ze Siemińskim, zdecyduje się na studia monachijskie. Czytajmy znowu Listy monachijskie, a zobaczymy tam znowu tego samego człowieka, co w Warszawie. Znał tam niemal tylko jedną drogę, tę, która prowadziła z jego mieszkania do Akademii Sztuk Pięknych i z powrotem: rysował i malował, malował i rysował, a czasem dyskutował z kolegami o pięknie, o Platonie, o Kancie, o sztuce. Myli się kto sądzi, że Adam Chmielowski jako student tonął bez reszty w rozlewnym marzycielstwie i rozpływał się w nieokreślonej pobożności. Nie, Chmielowski był przede wszystkim rzetelnym, tęgim pracownikiem i twardym dla siebie człowiekiem.

Pomówmy jeszcze coś o portretach Chmielowskiego. Malowali go sami tylko przyjaciele: Aleksander Gierymski, Antoni Piotrowski, Maszyński, Leon Wyczółkowski. Maluje się kogoś albo dlatego, że zamówił, albo dlatego, że zainteresował swą oryginalnością w wyrazie, albo dlatego, że go się kocha. Wszyscy trzej przyjaciele malowali Adama Chmielowskiego dla drugiego i trzeciego motywu: zainteresował ich jako typ antropologiczny i jako niezwykle charakter, a był przez nich kochany jak rzadko kto. Inne portrety opisał już dr Jerzy Sienkiewicz; reprodukujemy tu tylko portrecik ołówkowy, zaszkicowany przez Antoniego Piotrowskiego. Możemy skądinąd się dowiedzieć, jak bystre oko Piotrowskiego sięgało do duszy człowieka, z którym się spotkał. Zaznaczymy jedynie, że Adam Chmielowski ma już za sobą decyzję powziętą na całe życie i energicznie i z mocą wpatruje się we wszystko, co mu się w ręce dostaje. Były to lata 1885—88, kiedy zachodził do pracowni Malczewskiego przy ul. Batorego, by tam porozmawiać z zaprzyjaźnioną bracią po palecie.

II. Tablica genealogiczna. Drugi ten schemat uzupełnia nam w pewnej mierze pierwszy, gdyż sięgamy w nim w głąb tego, co dana jednostka wzięta ze swych przodków na drodze dziedziczenia. Na tę stronę rzeczy,

TABLICA GENEALOGICZNA



na konstytucję a w dalszym planie nawet na typ antropologiczny zwraca już uwagę św. Tomasz z Akwinu w swojej Summie teologicznej, dowodząc, że i życie intelektualne i rozwój sprawności moralnych czyli cnót w wielkiej mierze od tego współczynnika zależy. Tradycyjne biografie Świętych nigdy zresztą o genealogii o rodzicach i dalszych przodkach nie zapominają. Tablica nasza nie jest zupełna, pomijając niemal zupełnie kądziel a uwzględniając miecz, ponieważ w danej chwili brakło materiału. Tablica ta pomoże także biografowi do zorientowania się w korespondencji Brata Alberta z rodziną i w zrozumieniu listów różnych członków rodziny, bez względu na adresata.

W obrębie rodu Jastrzębców znajdują się różne gałęzie Chmielowskich. Biorę tu pod uwagę tylko tę gałąź, z którą się Brat Albert bezpośrednio łączy. Wychodzę z Franciszka Chmielowskiego, który bierze udział w elekcji Stanisława Augusta i żyje w ziemi płockiej.

Z tablicą tą przed oczyma możemy zauważyć, że zdolności artystyczne pojawiły się przynajmniej w młodszej generacji — widocznie pod wpływem nowych warunków życia. Brat Adama, Marian, był również w Monachium i pracował w drzeworytnictwie; córka Stanisława, drugiego brata, ożenionego z Kłopotowską, z wykształceniem malarskim z Paryża, także malowała i znana jest jako Mewa Łunkiewiczowa, która przechowała szereg rysunków i obrazów Brata Alberta. F. Woltyński wspomina nadto o Marii Chmielowskiej jako o malarce. Nie potrafię w tej chwili związać ją z tablicą genealogiczną, lecz prawdopodobnie łączy się ona z nazwiskiem Mariana Chmielowskiego, który miał kilkoro dzieci.

III. Schemat chronologiczny zdarzeń. Czynnikiem czasowy jest istotnym dla historyka i charakterologa, gdyż jeden i drugi portretuje swą postać w czasie; różnią się przez to od malarza. Błędy chronologiczne fałszują rysy w wytworzonym portrecie. Pamięć ludzka zawodzi, o ile chodzi o wspomnienia z dawnych lat. To też nic dziwnego, że we wspomnieniach, drukowanych w „Naszej Myśli“ i w „Głosie Brata Alberta“, pojawiają się niejednokrotnie znaczne przesunięcia dat. Przesunięcia te pojawiają się tak-

że w oznaczaniu obrazów przez ich właścicieli tak, iż trzeba je kontrolować przez niewątpliwe dane chronologiczne. Dla własnych celów i dla kontrolnej orientacji ustaliłem następujący schemat chronologiczny z życia Brata Alberta.

- R. 1846. 20. sierpnia ur. Adam Chmielowski jako pierworodny syn Wojciecha i Józefy z Borzysławskich — Chmielowskich; ochrzczony z wody.
1847. 17. czerwca dopełniono ceremonii chrztu św. w kościele Panny Marii w Warszawie i wydano metrykę.
1851. 15. września ofiarowany w pielgrzymce Panu Bogu w Mogile przed cudownym P. Jezusem przez matkę tercjarkę III-go Zakonu.
1853. 25. sierpnia umiera ojciec w 42 r. życia.
1857. wysłany przez matkę do szkoły kadeckiej w Petersburgu pod wpływem szwagra, Jana Kłodnickiego, sędziego apelacyjnego, który pojawia się w metryce jako ojciec chrzestny Adama.
1858. wraca do Warszawy i zapisuje się do gimnazjum.
1859. 29. sierpnia umiera matka w 38 r. życia; opiekę nad sierotami obejmuje ciotka Petronela. Zob. tabl. genealogiczną.
1862. wstępuje do szkoły rolniczo - leśnej w Puławach.
1863. pojawia się z puławską „siódmką“ w oddziale powstańczym.

Trzy razy przeżywał w powstaniu styczniowym klęskę, raz pod Słupczą, kiedy rozbito ochotniczy oddział Frankowskiego przez niedołęstwo Zdanowicza i padł kwiat młodzieży puławskiej; drugi raz pod Grochowiskami, gdzie nastąpił pogrom Langiewicza, trzeci raz pod Mełchowem, kiedy uległ przewadze przeciwnika uwielbiany przez wszystkich pułkownik Zygmunt Chmieliński. Nie zraził się za-

- dną klęską. Po Słupczy poszedł do Langiewicza i bił się pod jego komendą pod Rakowem, Słupianogą, pod Staszowem i Małogoszczą, pod Pieskową Skałą i Chroberzem. Dostał się do twierdzy w Ołomuńcu, ale z niej zbiegł szczęśliwie razem z Frankowskim i wstąpił znowu do oddziału Chmielińskiego, by się bić aż do nieszczęśliwego końca. Sam stracił w bitwie mełchowskiej pod Trojaczyną nogę, kiedy mu granat strzaskał stopę, tak iż trzeba było nogę amputować. Amputowano ją w nocy a Adam sam trzymał przy tym zapaloną świecę.
1864. w maju znajduje się w Paryżu, lecz nogę częściowo amputowaną i dostaje protezę; zachodzi do szkoły w Batignolles.
1865. w lipcu znajduje się w Warszawie, wstępuje do Szkoły Rysunków, spotykając się tam z towarzyszami powstania M. Gierymskim i Benedyktowiczem. Z roku tego według zapiski ołówkowej pochodzi fotografia jako studenta, zrobiona u Bayera w Warszawie; wtenczas zdawał egzamin dojrzałości.
1867. wyjeżdża do Paryża, mieszka według Jakóbiaka w Quartier Latin u niemieckiego malarza Goetza i maluje; wyjeżdża na pewien czas do Gandawy, lecz pobyt tam był zbyt krótki, by mógł zyskać dyplom inżyniera.
1869. wyjeżdża co najmniej na kilka miesięcy do Krakowa, ocierając się o Akademię Sztuk Pięknych i nawiązując przyjaźń z rodziną Łucjana Siemieńskiego. W jesieni tego roku wyjeżdża do Monachium, gdzie się zapisuje do Akademii Sztuk Pięknych i dostaje się do „sztabu“ polskich malarzy, gdzie generałami byli Brandt i Siemiradzki, a m. in. Maks Gierymski i Stanisław Witkiewicz członkami. Kolegami jego są w dalszym ciągu Aleksander Gierymski, Maszyński, Józef Chełmoński, Lipiński, Redlich, Soldenhof, Kurella i in.

1874. wyjechawszy z Monachium przebywa dłuższy czas w Zarzeczcu pod Jarosławiem u Chojec-
kich, gdzie maluje portrety i rozpoczyna te-
maty z powstania styczniowego.
- 1875—1877 przebywa w Warszawie, gdzie maluje naj-
pierw w Hotelu Europejskim ze St. Witkie-
wiczem, J. Chełmońskim i A. Piotrowskim
a potem już tylko z Piotrowskim na placu
św. Aleksandra.
- 1877—1880 przebywa kolejnie w Krakowie, w Chorostko-
wie u Wilhelma Siemieńskiego, prawdopo-
dobnie już nad Zbruczem po jednej i drugiej
jego stronie, wyjeżdża do Wenecji na kilka
miesiący, wraca do Lwowa, maluje z Leonem
Wyczółkowskim, myśli o swej przyszłości, od-
prawia rekolekcje u OO. Jezuitów w Tarno-
polu, jeszcze powraca do Lwowa, by malować
z Wyczółkowskim, aż wreszcie decyduje się
na stanowczy krok.
1880. 24. września wstępuje do nowicjatu OO. Jezuitów
w Starej Wsi, kiedy na czele prowincji pol-
skiej stał O. Michał Mycielski.
1881. 5. kwietnia opuszcza nowicjat i leczy się we
Lwowie a potem w Kudryńcach u swego brata
Stanisława. W sierpniu tego roku wraca do
zdrowia.
- 1881—1884 maluje wiele i rozwija pracę tercjar-
ską: Kudryńce, Zawale, Żwaniec.
- 1884 w październiku przyjeżdża do Krakowa, za-
mieszkuje u OO. Kapucynów, gdzie razem
z Jezuitą, O. Pydynkowskim, opracowuje „Prze-
wodnik dla Tercjarzy“, gromadzi bezdomnych
przy ul. Basztowej i Długiej u p. Bochenkowej,
zapisuje się do Konferencji Panów św. Win-
centego a Paulo a potem przenosi bezdomnych
do oficyny domu Ludwika Dębickiego na We-
necji; mieszka u prof. Łepkowskiego przy ul.
Straszewskiego.
- 1887 O. Stefan, Kapucyn, wkłada mu habit tercjar-
ski III-go Zakonu (szary) w kaplicy loretań-
skiej.

- 1888, 25. sierpnia składa śluby w ręce ks. kardynała Dunajewskiego, uważając ten dzień za datę powstania zgromadzenia Albertynów. W tym samym roku wydaje „Przewodnik dla Tercjarzy“, obejmuje ogrzewalnię przy ul. Piekarskiej na podstawie umowy z Gminą m. Krakowa z dnia 1. XI. t. r.
- 1891, 15. stycznia powstaje zgromadzenie Sióstr Albertynek. Pierwszą Siostrą Starszą jest S. Teresa, drugą S. Bernardyna.
- 1892 powstaje dom w Zakopanem na Kalatówkach. Bracia przenoszą się potem na regiel, a w pierwszym domu przy kaplicy umieszczają się Siostry Albertynki.
- 1892, 27. września na wniosek Dr Jordana, Rada Miejska uchwaliła zakupić realność przy ul. Krakowskiej 47 (dziś 43) i przy ul. Skawińskiej 1. 4 od p. Ludwiki Helclowej na Schronisko dla Brata Alberta — za cenę 25.000 zł. a.
- 1893, 6. stycznia według księgi meldunkowej przenoszą się Bracia do nowego pomieszczenia przy ul. Krakowskiej.
- 1916 w pierwsze święto Bożego Narodzenia umiera Brat Albert.
- 1926 zostały zatwierdzone Konstytucje obydwóch Zgromadzeń, uzgodnionych z nowym kodeksem prawa kościelnego. Przed wybuchem drugiej wojny światowej Albertyni mieli 15 domów, Albertynki 46. Wojna poczyniła wielkie szczyrby.

Na podstawie wywiadu Brata Piotra z Antonim Piotrowskim w sierpniu 1922 r. dodaję do ogólnego schematu szczegółowe dane, niezapisane dotąd przez nikogo. Adam Chmielowski chodził do gimnazjum realnego Pankiewicza przy ul. Rymarskiej w Warszawie. W styczniu 1863 oddział Frankowskiego zostaje rozbity pod Kazimierzem; część przeszła przez Wisłę. O szczegółach można się dowiedzieć ze wspomnień pod tyt. „Franek“, napisanych przez Piotrowskiego. — Pod Świętym Krzyżem podzielili się powstańcy na trzy oddziały, a Brat Albert z Frankiem Pio-

trowskim dostał się do Langiewicza pod dowództwem Prądowskiego; rozbici zostali pod Grochowiskami, skąd dostali się do Igławy i Ołomuńca. Antoni Piotrowski wymienia najwyraźniej Trojaczynę jako miejsce, gdzie Adam Chmielowski został zraniony przez granat.

IV. Katalog chronologiczny prac Brata Alberta

A. Obrazy i rysunki

Próbowano kilkakrotnie podać przegląd obrazów Adama Chmielowskiego. Najpierw zestawił Świeykowski obrazy, które się pojawiły na wystawach krakowskich (pamiętnik Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych, Kraków 1905 — katalog). Jednak od razu dwie pierwsze pozycje okazały się błędnymi, jak się to okaże w przedmowie do listów A. Ch. do Ł. Siemieńskiego. W porządku chronologicznym starał się ułożyć dzieła A. Ch. — F. Wołyński w książce p. n. Adam Chmielowski (Brat Albert), jako malarz. Największą zasługą tej publikacji jest to, że na jej końcu znalazło się 51 tablic z reprodukcjami prac A. Ch. W chronologii zdarzają się tam częste pomyłki i przedstawienia. F. Wołyński korzystał już z katalogu zbiorowej wystawy dzieł A. Ch. w Krakowie 1838 r. Wielką wartość orientacyjną posiada katalog z wystawy warszawskiej dzieł Adama Chmielowskiego opracowany przez Dr. Jerzego Sienkiewicza p. t. Adam Chmielowski (Brat Albert) 1846—1916. Zestawił on mniej więcej w porządku chronologicznym 31 obrazów, 25 akwarel i szkiców rysunkowych, dodając do tego trzy gabloty fotografii i drobiazków. Do każdego dzieła dołączył zwięzły jego opis, bibliografię i właściciela. Na końcu podał spis portretów A. Ch. i 19 tablic. Katalog Dr. Sienkiewicza ułatwia w znacznym stopniu dalszą pracę każdemu badaczowi przez zwięzłe informacje o obrazach z podaniem źródeł. W niniejszym schemacie będę uwzględniał katalog Dr. Jerzego Sienkiewicza, cytując go w skrócie: K. J. S. Nie chcąc powtarzać informacji ustalonych, będę odsyłał po nie do K. J. S., a dodam uzupełnienia lub poprawki tylko tam, gdzie to będzie konieczne.

Zbiory prac Brata Alberta według stanu posiadania przed drugą wojną światową skupili: Albertyni, Kraków,

ul. Krakowska 43, Albertynki, Kraków, Prądnik Czerwony, ul. Woronicza 10, Maria Ewa Łunkiewiczowa, Adam Chmielowski w Lipniku, Muzeum Narodowe w Warszawie i Krakowie. Innych właścicieli wymienia K. J. S.

I. Przed Monachium 1865 — 1869.

1. Po pojedynku; ol na pł., nalepiony na karton, 17×14, sygn. A. Chmielowski. Wł. p. Róża Lipecka, Kraków, ul. Kordeckiego 3, m. 11.
2. Wincenty Pol — rys. Adam Chmielowski (Brat Albert) 1869 — 1870 w Krakowie. Reszta w K. J. S.

Wielkie znaczenie posiada obrazek „Po pojedynku“ dlatego, że jest pierwszym ze wszystkich dzieł A. Ch. Mówiono dotąd o pracy malarskiej A. Ch. w czasie pobytu w Paryżu, polegając na informacjach Jakóbiaka, ale nie znano żadnej pracy z tego okresu. Badacza musiał zaskoczyć fakt, że A. Ch. zapisał się już w r. 1865 do szkoły rysunków w Warszawie, malował w Paryżu, a potem wszystkim nie zostało żadnego śladu. Musiało zaskoczyć i to, że A. Ch. przybywszy do Monachium, wszedł od razu do „sztabu“, uchodził za teoretyka sztuki i wpłynął przez swe poglądy na M. Gierymskiego i St. Witkiewicza. Ta druga okoliczność domagała się wyjaśnienia przez jakieś fakty. Fakt ten ujawnił się obecnie przez wymieniony na pierwszym miejscu obrazek. Jest to bardzo mało, ale jest faktem i każe nam przypuścić, że A. Ch. więcej w Paryżu obserwował ówczesną nową sztukę francuską, aniżeli sam pracował pędzlem. Właścicielka obrazu p. R. Lipecka przysłała mi razem z obrazem następującą deklarację: „Według udzielonych mi przez P. Dr. Turczyńskiego wyjaśnień, praca Brata Alberta dostała się do jego rąk od znanego kolekcjonera, artysty - rzeźbiarza Stanisława Jackowskiego; ten nabył obrazek prawdopodobnie od Fukiera w Warszawie, który namiętnie kolekcjonował wybitne dzieła sztuki małych rozmiarów“. Do deklaracji dołączono w odpisie notatkę Dr. Turczyńskiego: „Stwierdzam, że obrazek olejny na płótnie naklejonym na tekturę (wymiary 17×14 cm), przedstawiający scenę po pojedynku, podpisany u dołu na prawo „A. Chmielowski“ jest oryginalnym szkicem

znanego polskiego malarza Adama Chmielowskiego (Brata Alberta). Kraków, dnia 21. maja 1946". Podpis.

Poinformował mnie też p. Lipecki, że według Turczyńskiego obrazek wiąże się z Meissonierem. Trzeba więc było ustalić, czy obrazek jest „oryginalnym szkicem“, czy też kopią z oryginału M. Wziąłem do pomocy dosyć bogatą ilustrowaną książkę Leona Benedite'a p. t. Meissonier (Paris s. a., Les grands artistes). Zwraca tam na siebie uwagę tablica na str. 25, przedstawiająca straż, Le corps de garde z r. 1845, oraz tabl. na str. 29, przedstawiająca kłótnię, La rixe, z r. 1855. Należałoby wziąć jeszcze do porównania Joueurs d' echecs (1836) i Joueurs au corps de garde (1842). Z pierwszych dwóch reprodukcji interesują nas dwie postacie: w pierwszej dwie po prawej ręce z brzegu, w drugiej dwie zrywające się do walki ze sobą. Jeżeli je porównamy z obrazkiem „Po pojedynku“ A. Ch. zauważymy niewątpliwie co najmniej naśladowanie. Nie dało się stwierdzić, czy nie mamy przed sobą po prostu kopii. W kolekcji Weichera tomik p. t. Meisterbilder von Meissonier zawiera także tylko La rixe tak, iż nie posuwa nas naprzód. Musimy na razie poprzestać na tymczasowym rezultacie, że mamy przed sobą albo „oryginalny szkic“, natchniony przez M., albo też kopię z jego obrazu. Nas interesuje obrazek A. Ch. i jako ślad jego pracy malarzkiej w Paryżu i jako dowód wpływu francuskiego malarstwa na początku jego kariery. Listy do Siemieńskiego dowiodą nam ponadto, że A. Ch. znał także Courbeta i nową szkołę francuską. Przywiózł więc ze sobą do Monachium znajomość francuskiego malarstwa i zdobył sobie wśród swych kolegów autorytet przez swe sady o sztuce.

Drugi obrazek p. t. „Wincenty Pol“ posłużył nam już poprzednio jako punkt wyjścia w dowodzie, że A. Ch. z Paryża wyjechał najpierw do Krakowa, by się zapoznać z tamtejszym kierunkiem malarstwa a dopiero potem wyruszył do Monachium. Stwierdziliśmy tam, że A. Ch. mógł się być zapisać do krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych; powiedzieliśmy, że to nie było wykluczonym. Dr. Franciszek Klein pisze o A. Ch. wprost: jest uczniem krakowskiej Akademii, nie podając żadnych dowodów. Wobec tego musimy zaznaczyć, że L. Ręgorowicz w książce p. t. Dzieje krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych (Lwów 1928), podaje na



Po pojedynku

str. 35 częściowy spis uczniów tej szkoły z przed roku 1873, ale A. Ch. tam nie ma. Powtarzamy jednak, że spis nie jest zupełny.

II. Monachium 1869 — 1874.

1. Szkic Damy z listem dla Ł. Siemieńskiego.
2. Dama z listem, wysłana do Dzeduszyckiego w Pieniakach. Listy do Ł. Siemieńskiego 4.
3. Siesta włoska. Wystawa krakowska 1870 r. Listy do Ł. S., 5, 6.
4. Idylla. Wystawa Krak. 1871, listy do Ł. S., 8, 10, 13, 14.
5. Francesca i Paolo. Listy do Ł. S., 10, 15.
6. Bajka o dobrym synu. Listy do Ł. S., 16.

Obrazy pod Nr 5 i 6, wspomniane w listach do Ł. S., dotąd nie odnaleziono.

III. Zarzecze koło Jarosławia 1874 r.

1. Na pikiecie. Na wystawie krak. 1874. K. J. S. 2.
2. Portret Klementyny z Siemieńskich Chojeckiej. K. J. S. 9.
3. Portret Klementyny Chojeckiej. F. Woltyński, tabl. 14.
4. Portret Janiny Chojeckiej. K. J. S. 10.
5. Portret Wandy Chojeckiej. K. J. S. 11.
6. Główka Haliny Chojeckiej. K. J. S. 5.
7. Koń. K. J. S. 34.
8. W oborze. K. J. S. 26.
9. Powstaniec na koniu. K. J. S. 56.

W r. 1874 przebywa A. Ch. przez czas dłuższy u pp. Chojeckich w Zarzeczcu, malując portrety członków rodziny a zwłaszcza (dwa razy) Klementyny Chojeckiej, córki Ł. Siemieńskiego. Obraz „W oborze“ znajdował się na plebanii w Zarzeczcu. W czasie pierwszej wojny światowej proboszcz miejscowy pod naciskiem oddał go oficerowi austriackiemu, by ratować dzwony. Z rąk austriaka wydobyl go oficer polski i umieścił w Przemyśle. Dziś jest własnością prof. A. Wrzoska w Poznaniu. W tym okresie pojawia się po raz pierwszy u A. Ch. koń w doskonałej formie oraz motyw z powstania 1863 r.

IV. Warszawa 1875 — 1877.

1. Ogród miłości. K. J. S. 13.
2. Studium do pogrzebu samobójcy. Woltyński s. 30, tabl. 36.
3. Pogrzeb samobójcy. K. J. S. fot. gabłota III.
4. Portret Sygietyńskiego. K. J. S. 12.
5. Na posterunku. K. J. S. 32.
6. Powstańcy. K. J. S. 35.
7. Portret Heleny Modrzejewskiej.

Utrzymują się portrety i motywy powstańcze, ale wraca charakterystyczna już dla A. Ch. w okresie poprzednim ekspresja duszy melancholijnie nastrojonej. Zjawia się wtenczas handra, o której wspomina A. Piotrowski. Portret Heleny Modrzejewskiej autor zaledwie zarysował, następnie na jednym posiedzeniu podmalował, a potem zniszczył. Zniszczył także pogrzeb samobójcy. Według jednej wersji jeden z gości, zwiedzających wystawę miał sobie odebrać życie. To jedna legenda; druga opowiada, że ciotka autora, Petronela zamdląła na widok tego obrazu. W rzeczy samej na fotografii obraz tak przerażająco się nie przedstawia.

V. Podole, Włochy (Wenecja). Lwów 1877-1880.

1. Przed burzą. Wystawa krak. 1877 r., Świejkowski, Woltyński s. 24.
2. Stanisław Chmielowski na saniach, Sanie dat. 1879. K. J. S. 14.
3. Portret Stanisława Chmielowskiego, Mężczyzna z fajką. Woltyński, tabl. 13; K. J. S. 6.
4. Szara godzina. Według Notat L. Wyczółkowskiego 1879/80. K. J. S. 15.
5. We Włoszech. Według Wyczółkowskiego 1879/80. K. J. S. 16.
6. Wizja św. Małgorzaty, dat. 1880. K. J. S. 18.
7. Ecce Homo. Według Wyczółkowskiego rozpoczęty w kościele Św. Ducha we Lwowie 1879/80. K. J. S. 27.
8. Zamieć śnieżna, dat. 1880. K. J. S. 33.
9. Odwilż, 1880. K. J. S. 37.
10. Sanna — do Czarnokoziniec. K. J. S. 38.
11. Na cmentarzu mnich. K. J. S. 4.
12. List ilustrowany do Józefy Krzyżanowskiej. K.J.S. 55.

W tym czasie jeździ A. Ch. między Warszawą, Krakowem a Zbruczem, wyjeżdża do Włoch, wraca do Małopolski, bawi we Lwowie, w Chorostkowie pod Husiatynem u Wilhelma Siemińskiego, odprawia rekolekcje u OO. Jezuitów w Tarnopolu, zamieszkuje we Lwowie z Wyczółkowskim, decyduje się na nowicjat u OO. Jezuitów w Starej Wsi. Z tego okresu uderzają nas najpierw trzy obrazy: „Szara Godzina“, „We Włoszech“ i „Wizja św. Małgorzaty“. Wszystkie trzy powstały niezawodnie pod wpływem podróży do Włoch. Dwa pierwsze obrazy przedstawiają cmentarz raczej z czasów Odrodzenia, aniżeli starożytności: pojawia się w nich ten sam melancholijny nastrój w ekspresji, jaki już znamy z Monachium i Warszawy. W „Wizji św. Małgorzaty“ spełniły się marzenia A. Ch. malowania na tematy religijne tak, jak malował Fra Angelico. Istotnie znać w obrazie wpływ mnicha malarza z S. Marco we Florencji, lecz może się w ujęciu serca przejawiać wpływ obrazu Serca Pana Jezusa w kościele Wizytek w Paryżu i Krakowie. O tym obrazie będzie mowa później. „Ecce Homo“ ma za sobą długie stosunkowo dzieje. Zaczął go A. Ch. we Lwowie (Wyczółkowski), a potem go woził ze sobą do Jezuitów, do Lwowa, do Kudryniec, do Krakowa, do Zakopanego i znowu do Krakowa, stwarzając naokoło siebie legendę błędnie uchwyconą przez Żeromskiego w „Kuszeniu Judasza“. Widziano ciągle samą jeszcze głowę w Krakowie, przy ul. Basztowej (O. Bogdalski), widziano go u Paulinów z domalowanymi partiami (S. Kune-gunda, Albertynka), widziano go w Zakopanem (Albertyni), widziano go w schronisku krakowskim (Albertyni, ks. Metropolita Szeptycki), nalegano na wykończenie, a kiedy go wykończono, wyprosił go ks. Metropolita Szeptycki do Lwowa. W „Ecce Homo“ wypowiedział Brat Albert ból swego życia i cześć dla Męki Pańskiej, wypowiedzianą w modlitwie, jakąś my przytoczyli w naszym szkicu charakterologicznym. Porównać ze sobą „Szara godzinę“ i „Mnicha na cmentarzu“, a zobaczy się wielkie podobieństwo. Tu i tam mnich na cmentarzu, bo i w „Szarej godzinie“ mamy mnicha z kapicą na głowie, a nie kardynała, jak się niektórym zdawało. Mnich stanął w wyobraźni A. Ch. jako wyraz tego, co mieszkało w duszy i co się miało zakończyć nowicjatem w Starej Wsi. Łączą się ze sobą tema-

lowo i nastrojem trzy podolskie obrazy: „Zamieć śnieżna“, „Odwilż“ i „Sanna do Czarnokoziniec“. Wszystkie trzy powstały w r. 1880 i łączą się z „Listem Ilustrowanym do Józefy Krzyżanowskiej“.

VI. Podole po sierpniu 1881 do września 1884.

Okres ten można ściśle ograniczyć, gdyż A. Ch. wyszedł ze swych mroków w sierpniu 1881, a znalazł się w Krakowie w październiku 1884. Wszystkie zatem obrazy podolskie, poza wyżej wymienionymi, należy w tych latach umieścić, gdyż później Brat Albert do rodziny na Podole już nie wyjeżdżał, jak dowodzi jego list do bratowej, Stanisławowej Chmielowskiej. Polega na pomyłce wszystko, co się o niektórych obrazach podolskich mówi poza r. 1884, gdyż od tego roku Brat Albert przebywa stale w Krakowie, nie licząc wyjazdów inspekcyjnych do nowo założonych domów. W r. 1883 przebywał A. Ch. w Zawalu u Dwernickich i stąd tematy, związane z tą miejscowością, w r. 1884 mieszka w Żwańcu u ks. Sawickiego, odnawiając wnętrze kościoła. Witold Chmielowski opowiada w zacytowanym poprzednio liście, że już na Boże Narodzenie 1881 dyskutował żywo z braćmi w Kudryńcach o saniach, zaopatrzonych w koła rezerwowe dla Podola: dowód, że był już wtenczas zdolnym do twórczej pracy. Poczet obrazów z tego okresu jest długi.

1. W Kudryńcach, 1882 r. K. J. S. 20.
2. Karczma Podolska, 1882. K. J. S. 21.
3. Czarnokoziniec. Błędnie podaje się rok 1886, gdyż wtenczas bawił A. Ch. w Krakowie. K. J. S. 25.
4. Wyjazd na polowanie. K. J. S. 36.
5. Powrót z przejażdżki Stanisława Chmielowskiego. K. J. S. 41.
6. Przejażdżka. K. J. S. 40.
7. Siwek. K. J. S. 39.
8. Zbocze parowu I. K. J. S. 42.
9. Wioska na wzgórzu. K. J. S. 43.
10. Zbocze parowu II. K. J. S. 44.
11. Owce w jarze. K. J. S. 45.
12. Wrony nad urwiskiem. K. J. S. 46.
13. Jar polski w jesieni. K. J. S. 47.

14. Obora, Zajazd, Wołyński, tabl. 43; K. J. S. 21.
15. Pejzażyk, Wołyński, tabl. 44.
16. Ulica w podolskim miasteczku. Wołyński mniema, jakoby obraz powstał przy ul. Basztowej w Krakowie. Spojrzeć jednak na tabl. 38 u Wołyńskiego, a zauważy się, że obraz z tymi szczegółami nie mógł powstać w mieście Krakowie, lecz na Podolu w tłoczonym miasteczku. Obraz był na Wystawie krakowskiej 1887, ale czemu inną jest data powstania obrazu a data jego wystawy. Jak inne obrazy, tak i ten przywiózł A. Ch. z Podola do Krakowa.
17. Nad rzeką, akw. na pap., 15×25, nie był dotąd nigdzie notowany. Przywiózł go w r. 1946 do Krakowa Br. Anioł, uratowany z katastrofy warszawskiej. Na odwrocie nalepiono notatkę: „Niniejszym oświadczam, że autentyczność znajdującego się na odwrocie obrazu jako dzieła Adama Chmielowskiego (Brata Alberta) nie ulega żadnej wątpliwości. Autentyczność tę potwierdzają również organizatorowie Wystawy Zmarłego Artysty, urządzonej w Warszawie w r. 1938 (Muzeum Narodowe) — jak i rodzina Adama Chmielowskiego. Warszawa 8. czerwca 1940, Dr Mieczysław Skrudlik. Na odwrocie poza nalepką napisano: „Obraz ten został nabyty przez księcia Czartoryskiego w Mediolanie jako pamiątka po Bracie Albercie i przywieziony do Warszawy. W Warszawie książe Czartoryski ofiarował go swemu przyjacielowi Dr Skrudlikowi. W czasie wojny Dr Skrudlik... odstąpił go w r. 1943 Zakładowi Brata Alberta, przy ul. Grochowskiej 194. Kraków, dnia 21. 6. 1946. Wiarogodność zeznań stwierdzam — Br. Anioł.
18. Zawale. Obraz namalowany w r. 1883, przedstawia dwór Dwernickich, gdzie A. Ch. miał swoje atelier. K. J. S. 23.
19. Portret Wandy Dwernickiej, Amazonka, namalowany w Zawale 1883. K. J. S. 22.
20. Św. Weronika. Obraz rozpoczął A. Ch. prawdopodobnie w Zawalu 1883. Witold Chmielowski (Nasza Myśl, Kraków 1936, n. 1) widział ten obraz w Zawalu razem z innymi. Zwraca na siebie uwagę zdanie świadka: „com zapamiętał, to, ogromnych rozmiarów obraz



Nad rzeką

do pół odmalowany, przedstawiający k a t a k u m b y
czy coś podobnego". Na podstawie listu Marii Chmielowskiej informuje nas Woltyński, że obraz ten nazwał A. Ch. „Marzenia o Męce Pańskiej”, że obraz przedstawiał wewnątrz k o l o s s e u m z grupami osób związanych bezpośrednio lub pośrednio z Męką Pańską; mają tam być nie tylko św. Weronika, św. Maria Magdalena i św. Jan, ale także św. Franciszek z Assyżu i in. Stanisław Chmielowski, brat Adama, starał się bardzo o to, żeby zrestaurować obraz, zniszczony przez użycie go jako kulisy teatralnej do jasełek. Znała więc rodzina ten obraz z dawniejszych lat, żywo się nim interesowała, wiążąc go z katakumbami lub koloseum. Obraz towarzyszy widocznie Chmielowskiemu tak samo, jak „Ecce Homo”, czekając na swoje wykończenie.

Witold Chmielowski pisze w cytowanym już liście o trzech innych obrazach, powstałych w Zawalu. Najpierw portretował jego samego na tle dzwonów kościelnych, następnie kończył Czwórkę przed karczmą w zimie, nareszcie na wielkim płótnie przedstawił Dwernickich wyjeżdżających na polowanie konno i pojazdami. — W r. 1884 zamieszkał w Żwańcu u ks. Sadowskiego, by odmalować tamtejszy kościół; ze Żwańca przeniósł się do Marofy, skąd wyjechał pod jesień 1884 r. do Krakowa. — Uderzy każdego fakt, że z tego okresu zanotowaliśmy 20 obrazów znanych i 3 zanotowane przez krewniaka, razem 23.

VII. Kraków 1884 — 1888.

Adam Chmielowski mieszka w tym czasie przy ul. Basztowej 4, a potem u prof. Łepkowskiego przy ul. Straszewskiego.

1. Kopia obrazu Serca Pana Jezusa z Kościoła Wizytek. Kopia znajduje się u OO. Redemptorystów na Podgórzu, подарowana kiedyś O. Łubieńskiemu przez ks. Biskupa Nowaka, jako dzieło Brata Alberta. Okazuje się, że skopiowano z małymi zmianami obraz Serca Pana Jezusa u Sióstr Wizytek w Krakowie, przy ul. Krowoderskiej, noszący podpis autora „Savinien-Petit 1865”. — Przełożona klasztoru krakowskiego

oświadczyła Bratu Ignacemu, że taki sam obraz jest w Paryżu w kościele Wizytek, przy ul. Denfert. Do niedawnych czasów krążyły po Krakowie obrazki wzorowane na oryginale u SS. Wizytek. Być może, że na zamówienie autor namalował dwa obrazy, jeden dla Wizytek paryskich, drugi dla polskich, bo między jednymi i drugimi istniała żywa komunikacja. Zauważyć trzeba, że w „Wizji św. Małgorzaty“, malowanej przez A. Ch. w r. 1880, samo serce jako symbol miniaturowej wielkości jest tak samo malowane, jak u autora francuskiego.

2. Portret Łucjanowej Siemieńskiej r. 1887. K. J. S. 51.
3. Kameduła, O. Ireneusz, w celi klasztoru bielańskiego. K. J. S. 30, mylnie podaje rok 1900.
4. Krzyż — pomalował w pierwszej kaplicy od drzwi na lewo w kościele na Bielanych krakowskich, ale potem jakiś Brat kamedulski pokrył pokostem, wymieniwszy ramię figury.

O. Ireneusz, Kameduła krakowski opowiada, jak Adam Chmielowski malował wewnątrz kościoła bielańskiego i nie chciał się zgodzić na to, żeby mu wszystkich Ojców doprowadzić rzędem pod ołtarz; wolał, żeby kilku Braci rozproszyło się po ławkach kościelnych. — W Pamiętniku Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych wspomina Świejkowski o czterech obrazach wystawionych w Krakowie w r. 1888: „Wieczór jesienny“, „Poranek zimowy“, „Opuszczona plebania“, „Poranna modlitwa“. Woltyński pogmatwał nieco nazwy, wymieniając „Wieczór zimowy“, „Poranek jesienny“, a powtarzając tylko prawidłowo „Opuszczoną plebanię“ i „Poranną modlitwę“ (31). — We wspomnianym poprzednio liście pisze W. Chmielowski, że przynosząc Brata Alberta z domu prof. Łepkowskiego przy ul. Straszewskiego do Paulinów na Skałkę, zauważył między innymi dwa obrazy: „Opuszczoną parafię“ i „Przed karczmą popas“. „Parafia“ utożsamia się oczywiście z „Plebanią“, a „Przed karczmą popas“ nie różni się prawdopodobnie od „Czwórki przed karczmą“, malowanej w Zawalu 1883.

W trakcie organizacji pracy nad bezdomnymi dostawał się Adam Chmielowski nieraz w kłopoty finansowe. Sięgał wtedy do obrazów, jakie ze sobą był przywiózł z Po-

doła albo też rozpoczął w Krakowie. Kończył wtedy jedne i drugie, może nawet rozpoczynał nowe, by dostać jakiś grosz. Tak było przy ul. Basztowej, w mieszkaniu u prof. Łepkowskiego, tak było wreszcie na Skałce u OO. Paulinów. Od prof. Łepkowskiego zgłosił na wystawę krakowską 1887 r. „Ulicę w podolskim miasteczku“ (przed drugą wojną światową był obraz u hr. Raczyńskich przy ul. Szpitalnej w Krakowie). W r. 1888 osiadł na Skałce i trzeba się było urządzić bez nadwyreżenia jałmużny, więc wysłał na wystawę cztery obrazy: „Wieczór jesienny“, „Poranek zimowy“, „Opuszczoną plebanię“ i „Poranną modlitwę“. Na całą tę sprawę i na usposobienie Brata Alberta rzucają nam jaśniejsze światło trzy listy do Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych, ogłoszone przez p. Justyna Sokolskiego (Głos Brata Alberta r. VII, nr 4) na podstawie oryginałów, przechowanych w Bibliotece Jagiellońskiej (Dział rękopisów, nr 5, 212). Pierwszy list napisano niewątpliwie w r. 1887, drugi i trzeci w r. 1888. Nie znalazł się oryginał listu z r. 1884, kiedy chodziło o przykrą sprawę wystawienia obrazu „Na pikiecie“, jak to wyżej wspomniałem.

List pierwszy

Do Szanownej Dyrekcji Tow. Przyj. Sztuk Pięknych.
Mam zaszczyt upraszać Sz. Dyrekcję o udzielenie mi pożyczki na obraz (przedstawiający „Ulicę w podolskim miasteczku“) w kwocie zlr. 150.

Z uszanowaniem
Adam Chmielowski

List drugi

Szanowny Panie
Zasylam „dzień dobry“ i proszę oddać mały obrazek zatytułowany „Poranek zimowy“, może go poprawię i nazad odeślę na wystawę.

Chmielowski — inaczej mówiąc — Brat Albert
III-go Zak. i Szanownego Pana sługa najniższy.

List trzeci

Szanowny Panie
Odsyłam obrazek nieco ożywiony. Cena jest 150 fl.
Proszę przyjść kiedykolwiek spacerem zobaczyć pier-

wszy klasztor Tercjarski i Schronisko — Dom Pracy
etc. etc. Ulica Piekarska Nr. 21.

Sługa najniższy
Adam Chmielowski

VIII. Kraków 1888 — 1916.

1. Winieta „Laus Deo, semper laus“ w albumie Konstantego Przeździeckiego. K. J. S. 50.
2. Niepokalana, K. J. S. 28.
3. Św. Franciszek z Assyżu. K. J. S. 49.
4. Matka Boska z Dzieciątkiem, K. J. S. 29 — znajduje się w chóрку kaplicy Albertynek na Kalatówkach.
5. Składanka dla grzecznego Stasia, r. 1890, K. J. S. 52.

IX. Trudno oznaczyć czas powstania trzech obrazów:

1. Nastrój wieczorny, K. J. S. 17.
2. Dziewczynka, K. J. S. 24.
3. Roraty, K. J. S. 31.

X. Wątpliwe.

1. U ks. ks. Misjonarzy na Kleparzu znajduje się obraz olejny na płótnie, nabitym gęstymi gwoździemi na bleitramie, 76,50×130, przedstawia skaliste wybrzeże z zatokami; do jednej z nich ciągną mężczyźni liną łódź na skaliste wybrzeże. Obraz najwidoczniej powstał we Włoszech i przypomina Neapol; jest jednak nie wykończony, bez gry światła i wyrazistych kolorów i dlatego budzi wątpliwości, chociaż został podarowany przez Brata Alberta ks. Czesławowi Lewandowskiemu.
2. Wnętrze klasztoru w Bodzentynie (Woltański, tabl. 41)
3. Drugie wnętrze klasztoru (Woltyński, tabl. 42).

Obydwa rzekome bodzentyny, zakupiono przez Albertynów, podobno przy ul. Krupniczej w Krakowie. Inicjatywa do zakupu obrazu zrodziła się z sennego marzenia jakiejś osoby: w śnie wyznaczono nawet 200 zł. za sztukę. Istotnie za tę cenę kupiono, chociaż żądano po 800 zł. za każdy obraz. Trudno jednak było z dowodem za autentycznością obrazów, gdyż zapiska ołówkiem na bleitramie

„Wnętrze klasztoru bodzentyńskiego“ wyzyskana przez Woltyńskiego daje wynik wprost przeciwny; w Bodzenty nie było żadnego klasztoru ani mnichów, a tylko istnieje stary kościół parafialny z cennymi obrazami. Zrobiono próbę z klasztorem na Bielanych, ale i tam nie ma zakątka podobnego do tego, jaki się pojawił w obrazach. Przeor tylko zauważył, że zakonnicy „bodzentyńscy“ mają na sobie habity Kartuzów. Ktoś chce beznadziejnie ratować „bodzenty“, przenosi je do Włoch, uważając je za kopie, zrobione przez A. Ch.

Nie ulega wątpliwości autentyczność „Mnicha na cmentarzu“ pomimo, że go wycofano w pewnej chwili z Wystawy warszawskiej i odesłano do Krakowa. Wątpliwość w autentyczność obrazu zbudziła się prawdopodobnie pod wpływem innego sposobu malowania, bo nakładano farby grubszymi warstwami i w innych niż zwykle tonach. Świadectwo zewnętrzne przeciwstawiało się jednak silnie podejrzeniu. Pierwszy napis na odwrocie brzmi: „Obraz Chmielowskiego otrzymałem od Siostry Chmielowskiej Marii na Podolu w Woronowie w r. 1926 — Krcha“. Oczywiście nie ma tu mowy o siostrze w znaczeniu ścisłym, gdyż ta była tylko jedna Jadwiga Szaniawska, a chodzi o tę, którą także Woltyński jako Marię Chmielowską cytuje. Drugi napis na odwrocie brzmi: „Obraz Br. Alberta p. t. „Mnich na cmentarzu“ otrzymałem od Emila Krchy — K. Puchała, Kraków, 22. 7. 1946“. P. Puchała, artysta malarz, ofiarował ze swej strony obraz Albertynom w Krakowie i jeszcze dzisiaj oświadcza, że nie ma żadnej wątpliwości o jego autentyczności.

Zestawiwszy katalog chronologiczny prac Brata Alberta, naliczyliśmy 77 pozycji. Bardzo uderza zagęszczenie obrazów w dwóch okresach życia Brata Alberta, mianowicie w III, kiedy w Zarzeczcu w ciągu prawdopodobnie jednego roku maluje szereg portretów i sięga do motywów powstańczych a przede wszystkim w okresie podolskim (1881—1884), kiedy następuje silny wybuch twórczości, tak silny, żeśmy podobnego nigdy poprzednio nie widzieli. Uderza to przede wszystkim dlatego, że A. Ch. był po przebytej chorobie: nastąpiła widocznie silna reakcja duszy na to, co było i wyładowanie sił w pracy artystycznej i społecznej, gdyż wtenczas rozpoczęła się jego żywa dzia-

łałość tercjarska z licznymi podróżami. Uderza jeszcze to, że ekspresja marzycielskiej melancholii tak widoczna w okresie monachijskim, warszawskim i podolsko-lwowskim (1887—1880) znika zupełnie w drugim okresie podolskim i zamiast tematów fantastycznych pojawiają się krajobrazy, konie, psy i bliscy sercu ludzie. Inaczej działała na Adama Chmielowskiego wieś, inaczej działało miasto, jak to jeszcze zobaczymy. Wieś działa na duszę A. Ch. i w Zarzeczu i na Podolu w latach przedkrakowskich; Kraków działał inaczej, bo tam wołała o dusze i o wszystkie siły Brata Alberta polska nędza, a od wewnątrz tę samą duszę i wszystkie jej siły wziął Pan Bóg w swe posiadanie.

Ze względów charakterologicznych trzeba wziąć specjalnie pod szkiełko rysunki humorystyczne piórkem, mianowicie: 1. List ilustrowany do Józefy Krzyżanowskiej. — 2. Składankę dla grzecznego Stasia. — 3. Rysunki z teki dr M. Nałęcz-Dobrowolskiego. Rysunki z teki Dobrowolskiego pochodzą z różnych okresów życia A. Ch.; List ilustrowany do Józefy Krzyżanowskiej powstał prawdopodobnie między 1877—1880 r., chociaż nie są wykluczone lata 1881—1884. 4. Składanka dla grzecznego Stasia zrodziła się z serdecznej miłości dla brata Stanisława w dniu jego imienin 1890 r., a więc w dwa lata po wstąpieniu do ogrzewalni Br. A.

Jeżeli się mówiło o ekspresji, o wyrazie melancholii w obrazach A. Ch., to się ma także obowiązek do wzmianki o humorze. Rozpocznijmy od listu do Józefy Krzyżanowskiej. Nazywa się ją raz siostrą, drugi raz siostrzenicą A. Ch. Kim ona była naprawdę, niech sobie czytelnik sam stwierdzi na tablicy genealogicznej, rozpoczynając swoją wędrówkę badawczą od ciotki Anny Garbowieckiej. Niech także czytelnik weźmie w rękę dokładną mapę okolic Podola nad Zbruczem i zobaczy, jak się jechało z Kudryniec do Balina i wracało poprzez Kamieniec Podolski, wstępując po drodze wszędzie, gdzie jakiś Chmielowski siedział na dzierżawie, a jakieś ciotki żyły na chlebie dobrze zasłużonych dla rodziny. Znalazły się więc w liście i trzy ciotce, Urszula, Ludgarda, Zuzanna i młode małżeństwo Teodorów Chmielowskich z sześciorgiem dzieci i wreszcie targ o płótno w paski przed karczmą.

Składanka roztaczała przed oczyma Stanisława cudną perspektywę na przyszłość, bo w miarę jak rozciągnął lub złożył harmonijkę, zjawiała się coraz inna z 16 scen. Zjawiał się najpierw jeden bocian nad kominem a potem pokazało się ich pięć na jeden raz. Przez komin dostaje się do środka coraz nowe dziecko: najpierw widać jedno, potem troje, potem pięcioro, aż wreszcie dwanaście główek żywym wieńcem otoczyło stół. Matka? Niańczy. Ojciec? Ten odwrócił się od widza do swoich dwunastu pociech a z jego potężnej łysiny wypromienia się jasna aureola.

W tece pamiątek po Marcelim Dobrowolskim, seniorze, znajduje się szereg humorystycznych rysunków, które wyszły prawdopodobnie spod pióra Adama. Jest tam najpierw Łucjan Siemieński, z długim jak trzcina cygarem w ustach. Przeczytajmy Listy do Siemieńskiego a zobaczymy, jak tam A. Ch. marzy o tym, by w gabinecie pana Łuczjana palić w dwójkę włoskie cygaro. Znajdują się tam także karykatury Marceliego z różnych okresów jego życia i z żartobliwymi objaśnieniami: przypomina się „List Ilustrowany do Józefy Krzyżanowskiej“. Ukrywa się tam także dyskretnie karykatura samego A. Ch.: olbrzymia głowa osadziła się na szczupłym tułowiu i na drobnych bardzo nogach, z których prawa wygląda jak cieniutki badyl, w zastępstwie protezy. Pod karykaturą widnieje napis: W. P. Adam, Ochfiara zaburzeń politycznych. A. Ch. często żartował ze swej protezy. Poprosił kiedyś boya hotelowego, żeby mu zdjął buty. Zdjął lewy, zdjął prawy, ale z nim i nogę; przerażony wypadł z pokoju jak z procy, alarmując cały hotel. Bawił się Adam z młodym pokoleniem w gronie swej rodziny na Podolu. W przystępie humoru zawołał: Nogi na plecy — i porwawszy protezę na ramię podskoczył naprzód na lewej nodze wśród powszechnego wybuchu śmiechu. Jemu jednemu się udało. Nie obnosił A. Ch. swych zmartwień po ludziach, lecz dzielił się z nimi swą radością i chlebem, czarując wszystkich wdziękiem swej postawy i mowy. Jak sam dzielił się z innymi radością, tak pragnął, żeby Bracia i Siostry dzielili się ze sobą radością jako najlepszym chlebem ducha. Jest zwyczaj u Sióstr, że dwa razy na rok piszą do siebie domy z życzeniami świątecznymi. Przypominał wtenczas, że trzeba komunikować jasne, radosne, nawet

wesołe zdarzenia i sceny, a nie działać przygniatająco swą powagą. Kto widywał Brata Alberta w ostatnich latach jego życia, pozostawał pod urokiem jego pogody duchowej, bo się zdawało, że kawał nieba przegląda przez jego oczy. Boże życie razem z radością wypełniało mu już wtenczas duszę. Kto wspomniał o melancholii, idącej z obrazów A. Ch. w pewnym okresie życia A. Ch., ten musiał także wspomnieć o jego humorze, a kto trochę jest psychologiem wie, jak jedno z drugim umie się skojarzyć.

B. Pisma

Dusza Brata Alberta wypowiedziała się nie tylko w jego obrazach, lecz także w pismach. Chronologicznie pierwsze miejsce zajmują jego listy do Siemieńskiego, które tu po raz pierwszy w całości ogłaszamy. Listy pojawiały się oczywiście i później, ale zmieniał się coraz bardziej ich kierunek, zmieniała się ich treść, bo ubywało Adama Chmielowskiego, a rósł Brat Albert, który w schronisku od r. 1888 znalazł ostatnią przystań dla swego życia. W tym samym roku (1888) wyszedł jego „Przewodnik dla tercjarzy III Zakonu św. Franciszka“, gdzie poza treścią zasadniczą chwyci bystre oko w przypiskach jeden szczegół, ten mianowicie, że raz po raz pojawiają się jakieś wydawnictwa w języku polskim z wyraźną uwagą, że są zatwierdzone przez władze duchowne. Znika wszelki cień niejasności i wyraża się bezgraniczna ufność w siły Kościoła katolickiego. Zjawia się jeszcze „Ostrożności“ św. Jana od Krzyża, ukaże się drukiem sprawozdanie „Z posługi ubogim“ w r. 1890, a potem pojawia się miasto obrazu i słowa już tylko ofiarny czyn.

V. Przegląd otoczenia

Brat Albert należał do typu introwersyjnego, zwróconego do wnętrza własnego życia i skupionego w sobie, ale i taki typ ulega wpływom zewnętrznym, chociaż nie otwiera ramion na przyjęcie każdego z brzegu. W stosunku do otoczenia był powściągliwym, uprzejmym, ale nikomu się nie narzucał i lubił samotność, chociaż rodzaj jego zajęć zmuszał go do wizyt i rozjazdów. Nie lubił tracić czasu, bo uważał, że jego czas należy do Pana Boga i bezdom-

nych. Dlatego zaprzestał malować, bo sztuka krzywdziłaby biednych. To też interesującym jest zagadnienie, jak kształtowały się jego stosunki wzajemne z ludźmi. Na ogół można powiedzieć, że ludzie szukali jego, a nie on ludzi. Zwłaszcza w późniejszych latach jego życia uważano sobie za szczęście, kiedy się z nim spotkano i zamieniono kilka słów.

Trudno tu przechodzić szczegółowo wszelkie kręgi społeczne, poprzez które Brat Albert przechodził. Działo na niego środowisko, ale jeszcze więcej on oddziaływał na najbliższe otoczenie. Cośmy powiedzieli w naszym szkicu charakterologicznym o przyjaźni w życiu Brata Alberta, znajduje tutaj swe potwierdzenie przez szereg przykładów. Z otoczenia rodzinnego decydujący wpływ na Adasia posiadała jego matka. Należała do III Zakonu i postarała się w Warszawie o habit św. Franciszka dla swego synka. Jej obrazek Matki Boskiej będzie towarzyszył Adamowi we wszystkich jego podróżach aż do nowicjatu w Starej Wsi. Jak się matka cieszyła nieletnim Adasiem dowodzi tekst listu, jaki razem z mężem napisała do swojej teściowej.

Z kręgu rodzinnego dostał się Adaś do tak zwanego korpusu kadetów w Petersburgu. Nie wiemy nic o jego petersburskich przyjaźniach, a jeżeli wielojęzyczna plotka opowiada o różnych przewagach Adasia wśród swoich kolegów, to prawdziwym jest tylko to, że jako pierwszoroczniak otrzymał na polecenie cara Aleksandra II „pachony“, bo jako najwyższy ze swego rocznika stał pierwszy w szeregu i rezolutnie odpowiadał na stereotypowe pytania.

W kręgu kolegów w gimnazjum realnym Pankiewicza w Warszawie czuł się doskonale, bo tam była wysoka temperatura patriotyczna; w kręgu puławszczyków należał do spiskowców. Tam zbliżyli się do niego Karol Świdziński, poeta, Erazm Jerzmanowski, zdolny przemysłowiec i ofiarny obywatel w przyszłości, Maksymilian Bobrski, który stanie kiedyś na czele Towarzystwa Rolniczego w Lublinie, ale i tu nastąpiła selekcja, bo przyjacielem mu został tylko Franek Piotrowski i tylko on wpłynę na rozwój jego duszy. Ani w warszawskim kręgu szkoły rysunkowej, ani w Paryżu, nie wbiło się w świadomość ludzką, co by było doszło do nas w jakichkolwiek świadectwach. Ledwie

się coś zaczynało, ale to pewna, że w Paryżu selekcja poszła w kierunku religijnym, jak opowiada Jakóbiak. Dopiero w kręgu monachijskim wystąpiło jasno znaczenie Adama Chmielowskiego jako towarzysza. Moglibyśmy wymienić kilkunastu jego kolegów z pod znaku malarskiego, ale zbliżyli się do niego na zawsze trzej ludzie: Maks Gierymski, St. Witkiewicz i Józef Chełmoński. Był skupionym w sobie, marzył, myślał, spoglądał na świat i dzieła sztuki swymi błękitnymi nieco melancholijnymi oczyma. Dostał się do „sztabu“, chociaż był jednym z najmłodszych i słuchano jego zdania, bo wyczuwano, że z tej skupionej w sobie duszy wyjdzie zawsze mądra myśl, wyczuwano, że ten człowiek, który według Gierymskiego więcej od siebie wymagał, aniżeli natura dać może, znajduje się na wysokim poziomie moralnym, a w głębi swojej posiada Boga w taki sposób, w jaki Go otoczenie nie posiadało. Inaczej myślał o sprawach religijnych Maksymilian Gierymski, jednak zmarł w Reichenhallu na rękach wiernego przyjaciela.

W rodzinie Łucjana Siemieńskiego czuł się jak u własnego ogniska i w tej atmosferze obudziła się jego zdolność przewidywania przyszłości, kiedy przyszłej Karmelitance, córce Siemieńskiego, przepowiadał wbrew wszelkim oczekiwaniom korzecik.

W Warszawie, w wielkiej przeobrażającej się Warszawie, dochodziły do głosu różne prądy; na front życia chciał się dostać pozytywizm ze swym organem, z „Nowinami“, gdzie pisywali Świętochowski, Smoleński, Dygasiński, Antoni Sygietyński. Zdawałoby się mogło, że w ten prąd Adam Chmielowski dostać się nie może, a jednak stało się inaczej: nie on szedł do pozytywistów lecz pozytywiści przyszli do niego, przyszedł do niego Antoni Sygietyński, zawarł z nim przyjaźń, poprosił o sportretowanie a potem on, libertyn, dostał ze Starej Wsi w podarunku „Naśladowanie Jezusa Chrystusa“ z poważnym Memento o celu życia. Rwała go do siebie sztuka, ale miał już o niej swoje zdanie, które jasno wypowiedział w artykule o jej istocie, ogłoszonym w warszawskim Ateneum. Nie atakował starych, nie atakował ani Gersona ani Andriolego, jak dawniej nie atakował Matejki, ale sam malował inaczej, dawał ekspresję swej duszy. Przyszli do niego dawni znajomi,

zawsze trochę libertyn Stanisław Witkiewicz i żywiołowo wybuchający Chełmoński. Dołączył się nowy człowiek, nowy przyjaciel, Antoni Piotrowski, brat Franka z powstania: będą malowali razem z nim w Hotelu Europejskim i na placu św. Aleksandra, pojedą razem na Boże Narodzenie na Podole do rodziny Chmielowskich. Pozytywizmowi przeciwdziała z pośród filozofów Henryk Struwe, który będzie pisał przychylne dla Chmielowskiego recenzje w „Kłosach“. Mówi się o przyjaźni z Henrykiem Sienkiewiczem: chyba się w to nie uwierzy, kiedy się wyczyta recenzję Sienkiewicza w „Gazecie Polskiej“. Odczuł głębię duszy religijnej w Helenie Modrzejewskiej i zaczął malować jej portret, napisał jeszcze do niej ze Starej Wsi poprzez Chełmońskiego, wyrażając wobec niej swą radość z tego, że przywdział suknię zakonną. Wyczuwał innych i inni jego wyczuwali. Kto nie wierzył, ten jeszcze miał zrozumienie dla jego głębi religijnej i wysokiego poziomu moralnego.

Mówiliśmy już poprzednio o Leonie Wyczółkowskim, a tylko trzeba jeszcze raz wrócić do Starej Wsi. Chętnie by się widziało, kto był razem z nim w nowicjacie. Dowiedzieć się można z katalogu. Byli więc mu towarzyszami w nowicjacie: Stefan Komorowski, Michał Kolmin, Eugeniusz Chełczyński, Stanisław Lic, Włodzimierz Żykotyński, Ignacy Szarzyński, Andrzej Czarnota, Jan Bajger, Tomasz Kurzyłowski, Stanisław Mieloch, Antoni Szydłowski, Ignacy Łukasiewicz, Zygmunt Kamiński, Jan Kurcz, Włodzimierz Piątkiewicz, Juliusz Święcicki, Karol Janowski, Ludwik Cichoń, Walenty Kobrat, Alfred Paul, Andrzej Żychowicz, Antoni Stefański, Jan Bryła. Jak się Adam Chmielowski czuł w tym kręgu, świadczą jego listy do Chełmońskiego i Heleny Modrzejewskiej; a co myśleli o nim jego przełożeni, świadczą listy kierownika nowicjuszów O. Baudissa, który stanie później na czele prowincji polskiej. Znany u nas O. Jackowski, powie o nim później w Krakowie, że nie lubi nikogo za życia kanonizować, ale Brat Albert robi takie rzeczy, które są dostępne tylko dla Świętych. Pójdzie ze swym doświadczeniem bożym w świat, wyzdrowieje, dostanie się w ostatni krąg ludzki, dostanie się do Krakowa, który był dla jednych Arkadią, dla innych Nowymi Atenami, jeszcze dla innych małym Rzymem,

a dla reszty obozowiskiem nędzy. Cztery zatem były światy w Krakowie a Adam Chmielowski szukał przede wszystkim obozowiska nędzy i nowego Rzymu, chociaż szły do niego także Arkadia i Nowe Ateny. Wielu, bardzo wielu ze wszystkich czterech światów uważali go za swego, chociaż wszyscy w końcu spostrzegli, że w obozowisku nędzy, w krakowskiej ogrzewalni, czuje się wyłącznie u siebie. Szukały go Arkadia i Nowe Ateny, więc przyjął czasem zaproszenie do salonu Konstantego Przeździeckiego przy ul. Wolskiej lub do salonu Ludwika Michałowskiego przy Brackiej, by podyskutować o sztuce z Kazimierzem Morawskim, z Kazimierzem Kostaneckim, z Karolem Potkańskim, z Konstantym Górskim, z Wyczółkowskim, ale sam od siebie szukał Nowego Rzymu i czwartego świata, który się gromadził na ulicach, pod mostami, w ogrzewalni. To była teraz jego selekcja i jego przywileje towarzyskie, a jego protektorami i przyjaciółmi zarazem byli trzej z kolei kardynałowie: Dunajewski, Puzyna, Sapieha. Jak ks. Kardynał Dunajewski włożył habitę pierwszym braciom, tak ksiązę Sapieha bronił najdroższej po Bracie Albercie spuścizny, bronił jego bezwzględnej ubóstwa w dwóch zgromadzeniach. To też Brat Albert po ubogiemu okazywał swą wdzięczność protektorom: kiedy szedł do nich z życzeniami, brał ze sobą bochenek świeżego pieczonego chleba, bo to był symbol tego, co było najlepszym w jego duszy. Księcia Kardynała Sapiechę chciał koniecznie portretować, ale mu się nie udało. Miał wielki szacunek dla władz miejskich i nigdy na nie nie narzekał, nawet kiedy mu było bardzo ciężko w ogrzewalni. To też od prezydenta Szlachetowskiego i wiceprezydenta ówczesnego Friedleina poczawszy aż do ostatniego prezydenta, wszyscy widzieli w Bracie Albercie chlubę Krakowa i narzędzie Opatrzności. Miał w Radzie miejskiej swych sympatyków bez względu na wyznanie i pochodzenie — od Birnbauma do Dr. Jordana i hr. Stanisława Tarnowskiego. A wśród urzędników z działu opieki społecznej nie zapominali nigdy o nim panowie Banaś i Dusza. Miał Brat Albert swych przyjaciół w Nowym Rzymie, u Karmelitów O. Rafała, u Kapucynów O. Nowakowskiego, u Bernardynów O. Bogdalskiego, u Jezuitów O. Mariana Morawskiego, u XX. Misjonarzy ks. Czesława Lewandowskiego.

Znalazł się Adam Chmielowski także w kręgu byłych powstańców z 1863 r. Wyliczył nam ich niemal dokładnie dr Nałęczę-Dobrowolski, junior. Na czele szeregu pojawia się Stefan Buszczyński, polityk, Marian Dubiecki, sybirak, dr August Kwaśnicki i Nałęczę-Dobrowolski, ojciec; za nim pójdą Adrian Baraniecki, twórca Muzeum Przemysłowego i Kursów dla kobiet, Izidor Kopernicki, antropolog, Ludwik Michałowski, znawca sztuki, Karol Bajkowski, wydawca pism Towiańskiego, rzeźbiarz Marceli Guyski. Z tego kręgu najbliższym był Chmielowskiemu dr Dobrowolski, pomijając już to, że także O. Rafał Kalinowski i O. Nowakowski, Kapucyn, do powstańczych sybiraków należeli. Bardzo ucieszył się Chmielowski tym, że znalazł w Krakowie dawnego towarzysza z Hotelu Europejskiego w Warszawie, Antoniego Piotrowskiego, bo mógł zaglądać do pracowni Malczewskiego przy ul. Bato-rego, gdzie pojawiał się nadto Juliusz Kossak i Benedyktowicz. Tam zapewne domalowywał Chmielowski niektóre ze swych obrazków, bo w jego mieszkaniu przy ul. Basztowej było zbyt gwarно; tam też zapewne Antoni Piotrowski narysował ołówkiem portret Adama, który tutaj podajemy w reprodukcji. Wszyscy lgnęli do Adama, lecz Adam posiadał swe życie wewnętrzne i przeprowadzał selekcję wśród znajomych, by mu zanadto nie przeszkadzano w jego pracy dla ubogich.

A jednak jeszcze dalej! Szedł do niego długi szereg ludzi, szła niemal w komplecie Wyższa Szkoła Przemysłowa, szedł ludowiec Ptak i Wójcik, szedł opiekun najbiedniejszych klasztorów, młynarz Dudek. Jeszcze dalej! Jeszcze. Trzebaby pójść na Czarną i Nową Wieś i posłuchać o tym, co sobie tam opowiadali starzy, ci, którzy ze świeżą jarzyną wyjeżdżali na plac Szczepański wczesnym rankiem. Zapomina się dzisiaj, jak ci ludzie kochali Kraków, jak się rozczytywali w Bąkowskim, jak lubili krakowski teatr, jak się cieszyli Wyspiańskim i jego sztuką, jak Brat Albert kojarzył się w ich wyobraźni z twórcą „Wesela“. Jak w nim wielbili człowieka, który jako artysta dojrzał piękno w duszy u ludzi pod łachmanami. To byli jego szczerzy przyjaciele a jeszcze więksi ci, którzy mieszkali w ogrzewalni, bo on ich szukał jako swą część wybraną.

Szukali go ludzie na swoje sposoby i z różnymi zamiarami zobowiązań. Najdalej szli ci, którzy chcieli pracować jak on, chcieli pracować dla polskiej nędzy. Twarda to była praca i ciężkie życie, więc zostawali jedni a odchodzili inni. Wynotowałem sobie z księgi meldunkowej długi szereg Braci a potem się zapytałem, kto pozostał. Zostawali jedni, odchodzili inni. Zamierzałem zrazu wyliczać, wymieniać imiona z nazwiskami, ale tego nie zrobię, a tylko powiem, że został Witalis, jeden i drugi Stanisław, Andrzej, jeden drugi Józef, Henryk, Tomasz, Szymon, Anioł, Wincenty. U Sióstr nie było inaczej. Zjawiała się na początek siódemka podlasianek: zostały cztery, poszły trzy, bo ciężka była praca, wielkie obowiązki, takie wielkie, że trzeba było hartować dusze w nocy zmysłów i ducha św. Jana od Krzyża. Jednak i ci, co zostawali i ci co odchodzili patrzeli w Brata Alberta, jak w słońce, a on, on uważał za swą częśćkę wybraną tych, którzy byli w ogrzewalni, bo on sam ich szukał, sam znalazł. Jak on, tak jego zgromadzenia były dla nich.

Tak się dokonywała, z grubsza biorąc, selekcja przyjaźni u tego człowieka, który z usposobienia swego kochał samotną ciszę i skupiał się w sobie. Ale skupiając się w sobie przeżywał Mękę Pańską i widział jej dalszy ciąg w życiu człowieka wydziedziczonego.

VI. Ideał moralny

Źle by było, gdyby po schematach tego co jest, nie pokazał się schemat tego co być powinno. Nigdy biograf nie może w charakterologii poprzestać na tym co jest, na opisie, nie pytając się o to, co dany człowiek uważał za swoją powinność, za swój ideał moralny, za swój bezwzględny obowiązek i najwyższe dobro na świecie, gdyż nie gdzie indziej tylko tam w moralnym ideale, tkwi najsilniejszy motor rozwojowy człowieka. Jeszcze inaczej, jeszcze lepiej. Trzeba się dobrać do tego, co w żywym człowieku jest najlepszą jego rzeczywistością, jego częścią duchową, szczytem jego duszy, jego rozumem i wolą, które umieją kształtować sobą całego człowieka, doprowadzając go do wyżyny moralnego charakteru. A religia? Religia mówi o rzeczywistości, która idzie na człowieka, na jego duszę z góry i od wewnątrz, idzie na niego jako łaska

i sprawność wlana, jako wiara, jako nadzieja, jako wszystko przegrzewająca i użyźniająca miłość, jako porywający do wyczyn heroizmu dar a nad tym wszystkim pochylone oblicze Boga, Stwórcy tego, co wielkie i małe. Ktoby zapomniał o tym ostatnim schemacie, pisząc życie Brata Alberta, nie wiedziaby, co to znaczy u św. Pawła miedź brząkająca i cymbał brząający. Dla biografów schemat ten etyki chrześcijańskiej musi przybrać pewne konkretniejsze formy, musi stawiać bardzo ściśle pytania i na nie ściśle także odpowiadać. Na pewno pojawi się tu na widnokręgu postać św. Franciszka z Assyżu, postać św. Jana od Krzyża, postać św. Wincentego, ale nad nimi góruje postać inna, ta, którą Adam Chmielowski odmalował kiedyś w zarysie we Lwowie, jako „Ecce Homo“, a jej odpowiednikiem w ogrzewalni był ktoś inny, był człowiek wydziedziczony, człowiek głodny, człowiek w łachmanach, noszący w swej duszy blaski podobieństwa bożego tak, iż Brat Albert chylił przed nim czoło, powtarzając sobie na inny sposób: ecce homo. Dla tego człowieka wziął Brat Albert na siebie zrzebny habit.

Jak każdy człowiek tak i Brat Albert musiał się utrudzić, kiedy kształtował swój charakter moralny, wpatrując się ciągle w ideał doskonałości chrześcijańskiej. Nie wspomina nigdzie o swym heroizmie, o swych umartwieniach, ale my jedno i drugie ciągle w jego życiu wykrywamy. Mam pod ręką jego notatnik rekolekcyjny. Bardzo to osobiste, ale można coś z tego ujawnić, można ujawnić to, że żył i żyć pragnął wśród ciągłej ofiary z własnego ja.

Na rekolekcjach w eremie swoim na Kalatówkach zapisał 17. marca 1908 r. szereg myśli, z których przepisujemy tutaj kilka początkowych.

„Pan Jezus sprawy załatwia.

Drzewo do wycięcia, nędza, Pan Jezus chce się zmiłować.

• Nie trać bracie nadziei postąpienia w duchowym życiu.

Oto jeszcze czas i godzina po temu...

Uczyć się umierać, umierać codziennie.

Jakie życie, taka śmierć.

Czynić to, co doskonalsze...

Być zwróconym do Boga i do doskonałości...

Pozbawić się wszystkiego, czego się pożąda.

Pasek, dyscyplina? Twarde łóżko? Trzeba“.

Nie każdy by się na to zgodził, ale to wszystko trzeba powiedzieć, jeżeli się chce przeniknąć aż do dna ofiarną duszę Brata Alberta.

Zdecydował się kiedyś młody A. Ch. na to, żeby uprzędkować swoje studia, zakończyć je świadectwem dojrzałości i otworzyć sobie przez to drogę do dalszego kształcenia intelektu. Ta sama dążność do ładu w życiu zewnętrznym i wewnętrznym będzie cechowała Brata Alberta, odkąd weźmie na siebie zgrzebną oponę tercjarza. Będą mu przeszkadzali w urzeczywistnieniu jego wielkiego pomysłu nawet ci, którzy w Krakowie przyznawali się do małego Rzymu. Nawet w małym Rzymie podśmiewano się z utopijnych zamysłów, sarkano na zgrzebne habity i starano się rodzące się dzieło zabić w zarodku. Mimo przeszkód Brat Albert trwał i do końca wytrwał, mając wewnętrzne przekonanie, że służy wielkiej sprawie bożej. Uważał pierwsze lata istnienia zgromadzeń za lata próbne, w których należało by się doświadczalnie przekonać, czy raz podjęta praca odpowiada woli Bożej. W notatniku rekolekcyjnym pojawia się myśl, że nawet nie własne zbawienie, ale spełnienie woli Bożej jest najważniejszym zadaniem. Uważał Brat Albert, że jest u Boga na służbie, uważał, że w Krakowie ostatnia jego instancja jest albo ks. kardynał Dunajewski, albo którykolwiek jego następca aż do księcia kardynała Sapiehy włącznie. Jedno mu zarzucano; zarzucano mu to, że nie napisał konstytucji, nie napisał reguł dla swoich zgromadzeń. Członkom swych zgromadzeń odpowiadał na to, że dopóki nie zjawią się konstytucje, powinny im wystarczyć „Ostrożności“ św. Jana od Krzyża. Innym tłumaczył, że św. Wincenty długo pracował ze swymi zgromadzeniami bez reguł, bo chciał swoje pomysły wypróbować. Istniał od wewnątrz hamulec, który go powstrzymywał od napisania konstytucji: bał się o swe ubóstwo. Przeprowadzał już ostatnią wizytację domu w Przemyślu. Powiedział mu wówczas ks. bp. Pelczar: starzejemy się wszyscy, starzeję się ja i starzeję się Brat. Trzeba będzie pomyśleć o konstytucjach, żeby nie było na przyszłość zamieszania. Dobrze, odparł Brat Albert i zapisał w Krakowie dwa zeszyty projektem konstytucji, ale z zeszytami coś się stało. Znamy jednak inny fakt. Rozumiał Brat Albert, że w końcu musi wszystkiemu nadać

jakąs formę, że musi się zwrócić także do prawnika. Był już blisko grobu, kiedy pewnego dnia siadł z bratem Piotrem do fiakra, bo już pieszo pójść nie mógł i polecił się zawieźć do ks. Rotha T. J., dobrego prawnika. W drodze począł się niepokoić i padły z jego ust znamienne słowa: co on robi z moim ubóstwem, co on z ubóstwem robi. Nie dojechali do mostu, kiedy Brat Albert zasnął i trzeba było zawrócić. Żaden ciułacz, żaden egoista, żaden skąpiec, żaden kapitalista nie bronił w świecie z takim lękiem swego złota, jak Brat Albert bronił swego ubóstwa. Nie chciał nic posiadać jako Brat Albert, i nie chciał, żeby jego zgromadzenia cokolwiek posiadały, bo chciał iść na zdobycie nowego świata bez złota w dłoniach, a jedynie ze złotem miłości w duszy. Ufał w Krakowie dwom ludziom: ks. Cz. Lewandowskiemu i księciu kardynałowi Sapieże, ufał, że uratują jego ideę ubóstwa. Istotnie ks. kardynał Sapieha całą sprawę przez swą interwencję uratował.

Bez miecza, bez siły fizycznej, bez złota w dłoniach, lecz z wielką miłością Boga i człowieka w duszy chciał Brat Albert pójść na zdobycie świata, tworzącego się światła dla Chrystusa. Rozumiał, że nie można zdobyć świata, jeżeli się osobiście w sobie Chrystusa nie nosi, i to tego upracowanego, umęczonego, ukrzyżowanego — wszystko z miłości. Czy istnieją jakieś konkretne wyrazy tej jego dążności?

Na czytanie duchowne i czytanie w czasie posiłku polecał swym zgromadzeniom lekturę Żywotów Świętych ks. Piotra Skargi i O. Prokopa, Kapucyna. Miał cześć dla każdego Świętego, ale na front wysuwał się u niego Chrystus, Ecce Homo, a potem dopiero szli: św. Franciszek, św. Jan od Krzyża i inni. Polecał na pierwszym miejscu zagłębianie się w Nowy Testament, a potem dopiero szły „Naśladowanie Jezusa Chrystusa“ Tomasza a Kempis, szła pierwotna reguła św. Franciszka z Assyżu i jego żywoty, szły pisma św. Jana od Krzyża. Miał w sobie poczucie hierarchii także wtenczas, kiedy chodziło o wzory doskonałości chrześcijańskiej, o lekturę duchowną, o praktyki religijne. Nie lubił tutaj chaosu tak, jak go nie lubił za lat młodych w swych studiach i wszystko zakończył świadectwem dojrzałości. Z praktyk religijnych na pierwszym

miejscu była u niego Msza św. i Komunia św. Był tego zdania, żeby od słuchania Mszy św. zabrały nogi i dlatego nie chciał zrazu w swych domach urządzić kaplicy, a chodził z Krakowskiej razem z braćmi do kościoła Bożego Ciała. Gdzie indziej, jak w Zakopanem, trzeba było iść kilometrami, w Werchracie milami, a jednak w tym nie widział przeszkody, bo chciał, żeby słuchanie Mszy św. było ofiarą — w pocie czoła i z utrudzeniem gnatów. Dopiero choroba, wyczerpanie fizyczne bezdomnych, Siostr i Braci skłoniły go do wprowadzenia kaplic przy ul. Krakowskiej lub w Zakopanem.

Miał Brat Albert w duszy swej coś z żołnierza. Widział kiedyś powstanie, jak się przegrywa, kiedy akcja zbiorowa rozwija się bez ładu. Nie chciał, żeby w jego zgromadzeniu działo się coś podobnego. Zrazu przystępowano do Komunii św. kierując się kalendarzykiem tercjarskim; gdy w kościele Bożego Ciała jeden z braci poszedł do Komunii św. poza kalendarzem, przypomniał mu Brat Albert w drodze powrotnej, że jednak trzeba się trzymać kalendarzyka. Skoro jednak zalecił pap. Pius X codzienną Komunię św., zjawiła się dla Brata Alberta nowa dyrektywa.

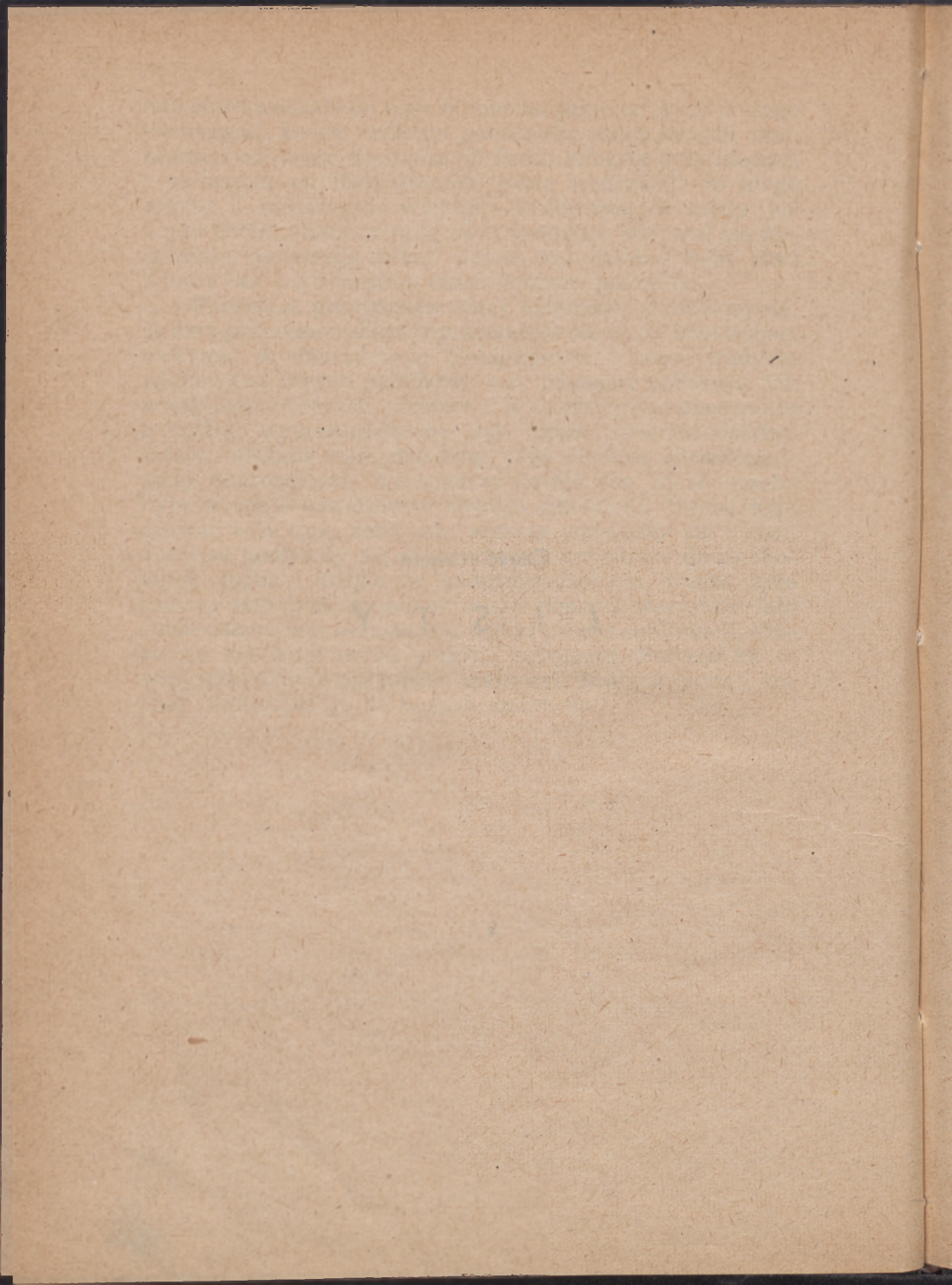
Kontrolnym środkiem pracy nad sobą były dla niego roczne rekolekcje. Wymagał od siebie wiele aż do drobniactw, w których najjaśniej wypowiada się wewnętrzny powściąg. Marzył kiedyś w listach do Ł. Siemieńskiego o włoskim cygarze. Przebył w nowicjacie w Starej Wsi wewnętrzną awanturę za niedopałek papierosa; ciągle go dręczyło sumienie, że się jakoś tytoniu wyrzec nie może i dlatego w rachunku sumienia, zapisanym w notatniku rekolekcyjnym, widnieje postanowienie „tabaka“. Rozumiał, że dla rocznych rekolekcji najodpowiedniejszym miejscem jest takie miejsce, jak porośły lasem regiel na Kalatówkach, jak odosobniona w Werchracie chata. Sam podkreślał w Ćwiczeniach św. Ignacego ustępy, które należy przeczytać, gdyż najlepiej odczuwał potrzeby duchowe swych Braci i Siostr. O sprawach wewnętrznych sądzi jednak Pan Bóg i dlatego do jego życia mistycznego nie będziemy już wkraczali, notując jedynie to, że nie tylko typ antropologiczny, nie tylko konstytucja, ale także poczucie wewnętrznej obecności Boga i przede wszystkim

ono doprowadzało do tego skupienia, jakie wszyscy u niego dostrzegali. Bywa rzekoma pobożność, która innych rani, bodzie i od siebie odstręcza. U Brata Alberta było inaczej, a zwłaszcza na Kalatówkach, gdzie wędrowali do niego artyści i nie-artyści, wierzący i libertyni, a kiedy już komu chciał okazać pełnię swej sympatii, odzywał się dyskretnie do swych braci: dajcie mu chleba. Sam Brat Albert stał się z biegiem czasu dobrym jak chleb.

Porównać przytoczone tutaj schematy, a zauważymy, że dwa pierwsze wskazują przeważnie na to, co Brat Albert otrzymał w dziedzictwie biologicznym i przez tradycję wiekową od swych przodków, trzy następne pokazują, jak w czynach, obrazach, pismach i w selekcyjnym obcowaniu z ludźmi wypowiadała się jego dusza, schemat ostatni, szósty, odsłania nam dziedzinę jego ideałów chrześcijańskiej doskonałości. By urzeczywistnić ten ideał, trzeba było w sobie kształtować nowego człowieka, trzeba było czuwać nad tym, żeby siły wyższe wpływały na niższe, a niższe podnosiły się do wyższych, zmysłowe do duchowych, jedne i drugie do nadprzyrodzonych, trzeba było czuwać nad tym, by się w duszy poprzez wszystkie lata życia dokonywał bezustanny wielki proces sublimacji, który się nie cofał przed wyżyną heroizmu. Patrząc na to wszystko, dziwili się ludzie, szanowali Brata Alberta i kochali, zaliczając go do bożych szaleńców.

Część trzecia

L I S T Y



Wstęp

Listów Brata Alberta zachowało się stosunkowo niewiele. Możemy w nich wyodrębnić kilka grup: a) listy do rodziny, b) listy do Łucjana Siemieńskiego i jego żony; ich uzupełnieniem są listy do Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie (Głos Br. A. 1938 r. nr 4), c) listy do Heleny Modrzejewskiej i Józefa Chełmońskiego, d) listy do inż. Rutkowskiego w Krakowie, e) list do Braci i Sióstr, f) listy do Siostry Starszej Bernardyny.

Ogłaszamy tu drukiem: 1) wszystkie listy do Łucjana Siemieńskiego i p. Siemieńskiej, 2) listy do Józefa Chełmońskiego i Heleny Modrzejewskiej, drukowane już poprzednio w „Przeglądzie Powszechnym“ (paźdz. 1934 r.) a następnie w „Naszej Myśli“ (rocznik III, nr 6) — oryginały listów otrzymał O. Jan Rostworowski T.J. od córki Chełmońskiego, 3) list do bratowej Stanisławowej Chmielowskiej z domu Kłopotowskiej, 4) list do Albertynów i Albertynek w sprawie ubóstwa. Do listów dołączymy kilka notatek z dziennika rekolekcyjnego Brata Alberta. W ten sposób przemówi do nas bezpośrednio Br. Albert z różnych okresów swego życia.

Najważniejszym źródłem do poznania Adama Chmielowskiego z okresu jego studiów monachijskich są jego listy do Łucjana Siemieńskiego (1809—1877), prof. literatury powszechnej U. J., redaktora „Czasu“, literata, poety i tłumacza „Odyssey“ Homera. Między Adamem Chmielowskim a Ł. Siemieńskim i całą jego rodziną zawiązała się szczerza przyjaźń pomimo różnicy wieku. W r. 1869 bawił A. Ch. w Krakowie i tam zapewne omówił ze Siemieńskim plan swych studiów monachijskich i za jego pośrednictwem otrzymał od hr. Dzieduszyckiego z Pieniak

stypendium na wyjazd. Ten stosunek przyjaźni między A. Ch. i całą rodziną Siemienińskiego tłumaczy nam genezę listów.

Chociaż przed drugą wojną światową listy do Siemienińskiego były dostępne dla badacza, to jednak nie były one chronologicznie uporządkowane. Datując swe listy, podawał A. Ch. tylko dzień tygodnia, a co najwyżej dzień miesiąca, a nigdy nie zapisywał roku, stwarzając przez to dużą trudność dla przyszłego czytelnika. Nadomiar zła pomieszano listy w sposób czysto mechaniczny, a potem ponumerowano je w tym nieporządku, w jakim je ofiarował Albertynom ks. Jan Siemieński, otrzymawszy je od S. Teresy Karmelitanki, córki Łucjana Siemienińskiego. Chaos wzmógł się jeszcze przez to, że dołączono do nich trzy listy do rodziny, dwa na początku i jeden na końcu. Pokazywano zatem stos oryginałów albo ich kopii całkiem beładnie ułożonych. Kto do nich zaglądał, dostawał lekkiego zawrotu głowy od panującego w nich chaosu i poprzestawał na doraźnie zauważonej, poszczególniej myśli, by ją wprowadzić do swej rozprawki.

Na podstawie do układu chronologicznego listów A. Ch. wskazałem już w rozprawce p. n. „Listy Brata Alberta do Ł. Siemienińskiego“ (Księga Pamiątkowa dziesięciolecia Dziennika „Czas“, Kraków — Warszawa 1938). Klucz do chronologicznego układu udało mi się znaleźć w dwóch latach, wziętych z poza samej korespondencji. „Czas“ z 12. IV. 1870 r. podaje, że na ówczesną Wystawę Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie przysłał z Monachium M. Gierymski swą „Wieczornicę“, A. Chmielowski „Siestę Włoską“. „Czas“ z 31 maja 1871 zawiadamia, że na wystawę krakowską nadesłał z Monachium A. Ch. swą „Idyllę“. Te dwie daty staną się dla nas punktem orientacyjnym w porządkowaniu listów. Przed pierwszą datą należy spośród nich umieścić te, które zapowiadają „Siestę“, przed drugą datą te, które zapowiadają „Idyllę“ albo zawierają echo z wystawy „Siesty“. Echa zjawily się przede wszystkim dlatego, że przychylną ocenę „Siesty“ pośłał w „Czasie“ Siemieński, nieprzychylną zaś ogłosił Zaleski w krakowskim „Kraju“ z 29. i 30. IV. 1870 r. Obecnie wprowadzamy dwa pomocnicze momenty, gdyż ze „Siestą“ skojarzyła się w listach sprawa drzeworytu Homera do wy-

dania przekładu „Odyssei“ z „Idyllą“ zaś związała się sprawa nadesłania do Krakowa pewnych szkiców. W ten sposób otrzymujemy obszerną podstawę pod układ chronologiczny listów do Siemieńskiego. Wylączamy z nich najpierw dwa, które oznaczymy liczbą 19 i 20, gdyż obydwa zostały wysłane z Zarzeczca pod Jarosławiem a nie z Monachium. Poza tym jeden list został wysłany z Miłosławia, a drugi z Reichenhallu. Nie chcąc pozostawić Czytelnikowi trudu — szczegółowego uzasadnienia następstwa chronologicznego listów, zaopatrzymy każdy z nich na pierwszym miejscu nową liczbą a w nawiasach dawną: podajemy dawną dlatego, żeby uwidocznic poprzedni chaos i zorientować w treści publikacji, które cytowały sygnatury z dawnego układu. By uzasadnic podany tutaj układ, przechodzę kolejno wszystkie listy podając z nich tę treść, i tylko tę, która unaocznia następstwo listów.

1. (18). Po raz pierwszy mowa o figurynce Homera do przekładu Odyssei.

2. (14). Opisuje wigilię Bożego Narodzenia, przyjeżdża do Monachium Soldenhof, krytyka Matejki.

3. (7). Zdobył figurynkę Homera za 15 kreicarów.

4. (19). Mówi o ilustracjach do wydania Homera, maluje dla Dzieduszyckiego obrazek (Dama z listem), robi studia do obrazu jaki chce wysłać do Krakowa (Siesta).

5. (2). Wraca do figurynki, wysła obraz za 10 dni.

6. (21). Skończył „Włoską Siestę“ i wysła ją do Krakowa.

7. (13). Zamawia drzeworyt Homera w wykonaniu Żmigrodzkiego.

8. (9). Czyta z zadowoleniem Teokryta, pojedzie do Miłosławia na wakacje.

9. (16). Pisz z Miłosławia do Siemieńskiej o likwidacji domu rodzinnego w Warszawie.

10. (15). Maluje zawzięcie „Idyllę grecką“, zaczął „Franczeskę i Paola“ (zob. list 15), prosi o tytuły książek.

11. (4). Dziękuje za tytuły książek, szuka żądanych szkiców.

12. (6). Szkice wysła.

13. (11). Wysła szkice, obrazu nie skończył, bo mu zniebieszczał.

14. (12). Prosi o ostateczny termin wysłania obrazu na wystawę.

15. (8). Widocznie dopiero co wysłał obraz bo wspomina, że dotąd miał głowę zawieruszoną obrazem, teraz lepiej, prosi o sąd o obrazie; ofiarowano mu 200 guldenów za obraz a on zażądał 500, by kupiec przecież więcej zapłacił, bo potrzeba pieniędzy; maluje kochającą się parę (zob. list 10).

16. (5). Do Krakowa przyjedzie jesienią lub zimą bo na wakacje nie mógł wyjechać dla braku pieniędzy; maluje „Bajkę o dobrym synu“.

17. (17). Jest to liścik imieninowy.

18. (20). Datowany z Reichenhallu, pisany był w lecie 1873 r.

19. (10). Pisany był w Zarzeczcu pod Jarosławem 1874 r.

20. (3). Wysłany został z Zarzeczca 1874 r.

Podany tutaj przegląd listów w nowym układzie razem z dwiema datami orientacyjnymi, wziętymi z „Czasu“, doprowadza nas do pewnych wniosków, określających bliżej i daty listów i pobyt A. Ch. w Monachium. W 16-ym liście pisze, że w jesieni lub zimą wyjeżdża do Krakowa. Był to list, pisany niemal bezpośrednio po wysłaniu „Siesty“ do Krakowa. A zatem powstał w lecie 1871 r. List imieninowy (17) nie wchodzi zupełnie w rachubę i może być dokądkolwiek bądź przesunięty jako nieużytek. — Możemy więc stwierdzić, że całość listów monachijskich została napisana między jesienią 1869 r. a jesienią 1871 r. Potem następuje przerwa. Zjawia się dopiero list z Reichenhallu napisany w lecie 1873 r., gdyż mowa o nim o przyjeździe M. Gierymskiego z Meranu do Reichenhallu z podleczoną gruźlicą, a według biografii Sygietyńskiego stało się to w lecie 1873. Wobec tej dwuletniej niemal przerwy trzeba przypuścić, że albo zginęły listy z całych dwóch lat, albo też A. Ch. przerwał swe studia w Monachium razem z wakacjami 1871 r., a dopiero po dwóch latach znowu się znalazł i w Monachium i w Reichenhallu. W Reichenhallu pielęgnował Gierymskiego, ale w Monachium studiował bo wspomina w liście, że jego brat młodszy, Marian, sprzedaje swe drzeworyty po pewnych cenach. Jeżeli listy nie zginęły, to należy przypuścić, że A. Ch. pojechał

teraz do Monachium razem ze swoim bratem Marianem. Tym razem pobyt nie był długi, bo już w r. 1874 znajduje się w Zarzeczcu i pisze stamtąd dwa listy (19 i 20).

Listy do Siemieńskiego posiadają doniosłą wartość z kilku powodów. Najpierw wspominają o obrazach samego A. Chmielowskiego. Pojawiają się z kolei: 1) Dama z listem — w liście 4, 2) Siesta włoska — w liście 4, 5, 6 (wysłała ją do Krakowa w kwietniu 1870), 3) Idylla — w listach 8, 10, 13, 14 (wysłał ją w maju 1871), 4) Francesca i Paolo — w liście 10 i 15, 5) Bajka o dobrym synu — w liście 16.

Znaczenie tej korespondencji sięga dalej, bo znajdujemy w niej zapatrywania jej autora na rodzącą się wówczas nową sztukę. To też należałoby do korespondencji dołączyć przedruk artykułu A. Ch. p. t. Istota sztuki — w Ateneum warszawskim z r. 1886. Przedruku jednak nie podajemy, ograniczając się tutaj do nieogłoszonego materiału. Zaznaczamy tylko, że w listach pojawiają się poglądy A. Ch. na samą sztukę oraz upodobania i niechęci artystyczne autora. Defilują przed nami profesorowie monachijscy jak Piotr Cornelus, Pilotty, Adam, H. Makart, Ramberge, dyrektor akademii W. Kaulbach, Ph. Voltz, zjawiają się A. Feurbach, A. Boeklin, J. Schnorr; zjawia się Schwind, który miał podobne usposobienie co A. Ch., bo się lubował w świecie baśni; zjawia się także A. Rethel — melancholijny jak znowu A. Ch.: budzi i subtelnością swych rysunków i usposobieniem sympatie A. Ch. Z dawniejszego malarstwa występuje na czoło Fra Angelico, Perugino, Rafael i Szkoła Wenecka; z Hiszpanów de Velazquez, z Holendrów Van Dyck. Z Polaków pojawiają się Matejko, Grottger, Brandt, Maszyński, Malecki, obydwaj Gierymscy, St. Witkiewicz, Redlich, Kurella, Żmigrodzki, Soldenhof. Z Polaków najwyżej ceni M. Gierymskiego, a jego bratu, Aleksandrowi, zapowiada świetną przyszłość.

Nasz interes wiąże się najsilniej z postacią samego A. Ch., z jego naturalnym usposobieniem marzycielskim, skierowanym do świata wewnętrznego „michałków“ o podkładzie melancholijnym. Można także zanotować cechy i fakty charakterologiczne, które posiadają znaczną rolę, o ile się je porówna z późniejszym życiem Brata Alberta.

A. Ch. jest subtelnym ale ma chwile humoru, kiedy zakpi z głupkowatego trochę Szymona; pamięta też krakowskiemu „Krajowi“ nieprzychylną ocenę „Siesty“ i będzie się ze swej strony śmiał razem z monachijskimi kolegami ze sprawozdania z wystawy wiedeńskiej, jakie się w „Kraju“ pojawiło; melduje Siemieńskiemu przyszły abnegat, że mu ofiarowano za obraz 200 guldenów a on podniósł cenę na 500, by przecież otrzymać wyższą kwotę, bo mu jej potrzeba na wakacje. Broni twardo swego honoru wobec Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych za zlekceważenie jego obrazu przesłanego na wystawę w r. 1874. Niepowodzenia potrafią w nim wywołać zniechęcenie i pewnego rodzaju depresję. Poprzez całą korespondencję wije się jednak złota nić, poprzez barwną tkaninę jego głęboka religijność, która się raz po raz wypowiada w sposób niewymuszony, szczerzy, jako coś, co się już zrosło z jego naturą, nadając jego osobowości specjalną fizjonomię na tle wrodzonych dyspozycji. Marzenia o malarstwie religijnym i marzenia o klasztorze zarazem łączą w sobie to, czego dusza najwięcej pragnęła i na podstawie wrodzonej konstytucji i na podstawie złota łaski, jakie się w nią z góry zlały.

Listy do ł. Siemieńskiego

1.

Monachium, dnia 27go.

Szanowny Panie!

Dawno już nie pisałem do Szanownego Pana, co zresztą sobie chwałę dosyć, że choć mam pozwolenie, to nie zabieram czasu Szanownemu Panu mojemi listami. O zdrowiu i humorze Pana wiem zawsze z łaski Pani Siemieńskiej.

Wyrachowałem sobie, że list przyjdzie na nowy rok, zatem niech Szanowny Pan przyjąć raczy moje najlepsze życzenia i najszczerze dla Siebie i całego domu. Żałuję tylko, że te życzenia listownie zanoszę, bo bym wolał ustnie; mam jednak nadzieję, że bodaj nie w nowy rok to przecie jeszcze się znajdę jakoś w gabinecie Pana. Tam

przynajmniej człowiek mądre słowo usłyszał, a tutaj od rana do nocy tylko **Stimmung, Wirkung**, a jak nie, to figle. O książki trudno i mało czasu do czytania.

Gust djabelnie się zmienia tutaj; ja już na Pilotego nie mogę patrzeć, tyle już tego było i jest a wszystko to samo. Nowej Pinakoteki mam po gardło; za to chodzę do starej Pinakoteki, przyglądam się portretom Van Dycka ¹⁾ z niezmierną ciekawością, a com dawniej patrzył na Velazqueza ²⁾ jak na wilka, to mi się teraz zdaje, że nie ma nic piękniejszego w technice malarskiej. Staro-włoskiej szkole i Peruginowi ³⁾ i Rafaelowi ⁴⁾ nawet się niebardzo przyglądam, boć trudno tak z góry zaczynać. Już parę dni jak list zacząłem pisać, ale mnie naszli i nie mogłem skończyć i stało się, że dziś rano ⁵⁾ odebrał list Szanownego Pana.

Gdyby choć cząsteczka życzeń Pańskich chciała się sprawdzić, bardzo byłbym szczęśliwy, ale to tak daleko do tego, żeby zawładnąć rysunkiem i malowaniem, żeby zmniejszyć ten przedział, który jest między myślą a obrazem.

Wszyscy tutaj prawie malowanie i rysunek uważają za rzecz samą, nie za środek i trudno się dziwić temu, bo bardzo często obraz bez myśli ale skomponowany i namalowany dobrze podoba się i robi wrażenie poezji albo malarstwa. Co dzień na to patrzę a wcale nie jest tak samo, jeżeli rzecz się ma przeciwnie, przynajmniej u dzisiejszych ludzi. Więc zawsze najpokorniej dziękuję za życzenia, żebym został artystą naprzód ale na to, żeby potem, na co mnie stać bardziej serdecznego i poetycznego, w rozbocie umieścić. Dałby Bóg, żeby się tak stało; niczego goręcej nie pragnę.

O Hoberze ⁶⁾ nic nie piszę, bom jeszcze nigdzie nie był; ale jak tylko się dowiem to natychmiast doniosę, to

¹⁾ A. Dyck van (1599—1641).

²⁾ Velazquez D. (1599—1660), działał w Madrycie.

³⁾ Perugino (1446—1523), pracował we Florencji.

⁴⁾ Rafael Santi (1483—1520).

⁵⁾ Z tego wynika, że nasz list został datowany 27. XII. 1869.

⁶⁾ Pojawia się tu po raz pierwszy wzmianka o Homerze, która nam pomoże w porządkowaniu korespondencji.

jest za trzy dni albo cztery. — Cornelius poeta⁷⁾ jest synem owego sławnego kompozytora malarza⁸⁾, co niedawno umarł; podobną dobre rzeczy pisze, ja go nie znam ale mi tak mówiono; gdyby wydał tłumaczenie Legendy, to bym się wystarał i posłał zaraz Szanownemu Panu.

Pani już jest tak dobra dla mnie, że nie mam słów na podziękowanie. Aby jakakolwiek sposobność, zawsze o mnie łaskawie pamięta i teraz znowu parę słówek dostałem. — Ja myśląc, że Pani w Pieniakach, już dwa listy tam napisałem, jeden przed odebraniem listu Pani.

Muszę teraz śpieszyć na akt wieczorny, bo bym miejsca nie dostał, więc list przerywam i do puszek wrzucę. Żeby na nowy rok przyszedł do Krakowa i zaniósł moje powinszowanie najżyczliwsze Państwu Szanownym i córcekom od ich starego znajomego. Marcellemu⁹⁾ i Jego Rodzicom zasylam moje powinszowanie.

Niech Szanowny Pan przyjmie wyrazy mego uszanowania i podziękę szczerą za list, który odebrałem. Zostaje uniżonym sługą

Chmielowski m. p.

2.

Monachium, poniedziałek.

Szanowny Panie!

Odebrałem łaskawie mi przysłany bilecik: bardzo miłutka dla mnie niespodzianka; życzenia też najprzyjemniejsze i najlepsze ale to tak trudno, aby je sprawdzić bodaj, czy podobna — najserdeczniej. Przecie dziękuję szczególnie za pamięć o mnie.

⁷⁾ Cornelius poeta (1824—1874).

⁸⁾ Piotr Cornelius (1783—1867), autor słynnego Sądu Ostatecznego w kościele św. Ludwika w Monachium.

⁹⁾ Dr Marceł Nałęcz-Dobrowolski z ul. Szpitalnej w Krakowie, uczestnik powstania styczniowego, był serdecznym przyjacielem i Adama Chmielowskiego i Łucjana Siemieńskiego. Pisał o nim jego syn, Marceł junior w Rodzinie Polskiej, Warszawa, r. 1924.

Imieniny i wilia bardzo cicho przeszły; rano zjadłem opłatek, com go od Pani dostał a wieczór piliśmy w kilku wino i jedli orzechy i daktyle w dosyć nudny sposób. W niedzielę jeszcze gorzej, malować nie można było dla wielkiego święta; z nudów poszliśmy do Teatru. a znużeni i źli na widowisko — spać do domów.

W ogóle sztuka na bardzo nudnych ludzi wykierowyywa swoich adeptów; ja się temu nie dziwię i mam to przekonanie, że kto się na serio wziął do rzeczy, ten prowadzi moralną szulerkę a jeszcze gra nie idzie na tysiące, ale stawia się po troszku wszystko, co człowiek ma najdroższego w sercu i w głowie — bardzo demoralizujące zajęcie, jeżeli za dobrze położony kolor sprzedało by się przyjaciela. Co tu dziwnego, że między malarzami tak dużo głupich ludzi albo pijaków; najlepsi a są do niczego jak się gra skończy, chyba jeżeli się wygrało, a to taka rzadka rzecz.

Przyjechał Pan Soldenhof ¹⁾. Wypytałem się go o dom cały Szanownych Państwa. Nie pominęliśmy nawet Szymona ani floberta ani wróbli. Dobrze sobie stare czasy przypominać, zawsze to lepsze czasy. Pan Soldenhof bardzo miły chłopczyk, jak z nim bliżej pogadać; choć tak na wejrzanie, to trochę ma szczególny sposób bycia; o sztuce dziwne, rozmaite rzeczy powiada ale pełen zapału i dobrych chęci. Dużo mi opowiadał o Matejce ²⁾, którego wielbi jak każdy, co się zabiera do sztuki a z Krakowa przyjeżdża. I ja też, póki byłem w Krakowie, tom się mocno dziwił, czemu Pan Lucjan Siemieński, i poeta i znawca, nie płacze z rozczulenia nad takim wściekłym Polakiem z podsiniałymi ponuro oczami w ślicznym kontuszu albo delii. Teraz zmieniły mi się gusta; widziałem fotografę z Unii: robi jako obraz doskonale wrażenie, tylko ten facet na prawo jak kulisa wsadzony. Ale co już w pojęciu rzeczy, to nic tego nie pojmuje; jest tam chłop, więc niby symbolizowane myśli jakieś — tymczasem wszystko

¹⁾ Aleksander Soldenhof, towarzysz A. Chmielowskiego w warszawskiej Szkole rysunkowej pod dyrekcją Kaniewskiego. A. Sygietyński, M. Gierymski, s. 24—25.

²⁾ Jan Matejko (1838—1893), Unia 1868, M. Treter, J. M., Lwów—Warszawa 1939.

bardzo naturalnie namalowane i skomponowane, można powiedzieć: po czemu łokieć aksamitu. Zabawna awantura! Opór Litwy w butach i pięknym żupanie a bratni lud w kapocie z jarmarku.

Powinienbym się do tego przyzwyczaić, bo tu Piloti³⁾ tak samo robi ale mnie się to w głowie pomieścić nie może, jak można historyczne obrazy nie stylizować, chyba żeby to miał być styl jaki, choć na to nie wygląda. Odsunąć podpis, a będą jacyś ludzie bardzo srodzy, poumierani rozmaicie, którzy są w pokoju, w którym coś się odbywa.

Matejko zresztą ma rację, że tak robi, jeżeli się chce podobać, bo mu jego błędy wszyscy chwala a artyści prawdziwą zasługą oceniają. Kraszewski⁴⁾ na przykład, który zwykle tak gada jak masa u nas ludzi, chwali mu to, że jak skopiuje pieczęć starą, to ona do niepoznania zmienioną i scharakteryzowaną wyjdzie. Jabym za taką rzecz do kozy za fałszerstwo sadzał, bo potem, mając źródła, doskonale robi się kostiumy i pieczęcie, z których nikt mądrym nie będzie; zwyczajnie zmanierowana rzecz bez wartości ani dokładności: w tym to się zeszli, bo jeden i drugi manierzysta.

Pejzażysta Małecki⁵⁾ jest tutaj. Był jakiś czas w Warszawie, bo jako stypendysta rządowy powinien był malować dekoracje dla Teatru, który go za granicę wysłał, ale z Moskalami nie mógł do ładu trafić i wrócił tutaj.

Ja jestem w Akademii, gdzie maluję głowy z natury. Dopiero zacząłem, bo nie było miejsca. Żał mi studiów tak koniecznych przerywać, ale będę próbował malować na wystawę; nie wiem jak to będzie, tak mało umiem, prawie nic. Chciałbym takie rzeczy robić, których jeszcze nie potrafię; trzeba poprzestać na mniejszym na ten raz; w innym liście napiszę o tym więcej. Teraz przepraszam za list nieporządnym. Przyjaznemu sercu Szanownego Pana się polecam. Pani rączki całuję. Paniąkom ukłony od unizonego sługi.

Adam Chmielowski m. p.

³⁾ K. T. Piloty (1826—1886), działał w Monachium.

⁴⁾ J. I. Kraszewski (1812—1887).

⁵⁾ W. A. Małecki (1836—1900), F. Kopera, Malarstwo w Polsce XIX i XX wieku, Kraków 1929, s. 202.

München, dnia 30.

Szanowny Panie!

Mam na sercu, żem dotąd nie mógł załatwić interesu Pana ale nie moja w tym wina. Chodziłem po sklepach przez te dni parę bez skutku. Zapewnia mnie fabrykant wyrobów gipsowych, że nie dostanę zmniejszonego odlew portretu Homera, o brązowym ani myśleć. Wszystkie figurki, które widziałem są tegoczesne. Może by się jednak dało wyszukać coś lepszego, gdybym wiedział, w jakim rodzaju życzy Pan je mieć. Litografii ani sztychu Homera podług antyku nie znalazłem nawet w największym sklepie tego rodzaju; jest doskonała fotografia; jedyny portret w litografii znalazłem pomiędzy kursem rysunków przez de Bosse¹⁾, zrobiony z wielką prawdą, przeslicznie modelowany i robi wrażenie gipsu. Jeżeli Szanowny Pan chce portret mieć dla siebie, to nie radziłbym, bo po szkolnemu traktowany, ale jeżeli potrzebny do jakiej książki, to jako kopia wyborny dla sztycharza albo litografa. Kosztuje guldena.

W ogóle myślę, że gdybym miał parę tygodni czasu, to bym może znalazł inną litografię i figurynki zapewne, ale trzeba by poszukać u antykwariusza i w niebardzo okazałych sklepach. Będę zresztą bardzo kontent, jeżeli znajdę coś, coby się Panu spodobało; proszę tylko rozkazać.

Ja po staremu od rana do wieczora siedzę w szkole i rysuję z antyków, parę godzin z natury. Inaczej robić nie można i niesposób, chcąc do czegokolwiek dojść. Piękność formy tych gipsów czasami do desperacji doprowadza. Koptur głowy robi się trzy albo najmniej dwa dni, figury po tygodniu albo i dwa czasami już niby koniec; przyjdzie profesor, przesunie jedną linię i jest na cały następny dzień robota. Tak wszystko jest ściśle związane i konsekwentne w tych rzeźbach. Jeżeli już kto dostatecznie studiował antyki, przechodzi do szkoły malowania, gdzie maluje gipsy, twarze, figury i rysuje z natury. Model zwykle siedzi po sześć godzin dziennie; jest kurs ana-

¹⁾ De Bosse, rysownik francuski.

tomii, perspektywy i innych nauk malarzowi potrzebnych. Na te wykłady prawie wszyscy chodzą. Nareszcie, jeżeli kto uważa za stosowne, to idzie potem do szkoły kompozycyjnej, a jest ich kilka: Pilotiego, Ramberga²⁾ i jeszcze ze dwie. Paru znakomitszych artystów, już nie w szkole, ma też swoje szkoły i uczniów. Kaulbach³⁾ jest już tutaj, jak to mówią, *passé de mode*, choć niby dyrektor szkoły. Piloti tylko i jeszcze Piloti, ten sam, co zrobił śmierć Walensztejna, kupioną przez króla do Pinakoteki. Zapraszano go do Berlina na dyrektora szkoły; tutaj jednak go zatrzymano i dziękowano, że nie przyjął: ordery, pensje i deputacje od sejmu i króla posypały się gradem. Jest to tedy dzisiejsza gwiazda Szkoły Monachijskiej. Obrazy, które z jego szkoły wychodzą, są wszystkie dobre. Złe jednak być nie mogą, bo choć niby wolno tam malować i komponować, jak się chce, to jednak, kiedy karton gotów, to Piloti bardzo grzecznie pochwali ale figury zmieni po swojemu. W malowaniu znowu, w razie jeżeli nie jest tak, jak on robi, też pochwali, ale położy jakiś ton, za którym trzeba wszystko zmienić, boć zmasać tego, co zrobił, nie wypada. Obrazy też tej szkoły podobne jak siostry, niesposób odróżnić.

Taka szkoła ma swoje dobre strony, ma też i złe. Nabędzie malarz dobrej techniki ale cudzej i niezmiernie potem trudno będzie otrząść się z tego. Tak przynajmniej mówią jego uczniowie. Świeżo wyszedł Makart⁴⁾, który teraz robi po świecie furorę. Tutaj go płacą ogromnie, naśladowają i o tym tylko gadają.

Makart maluje prześlicznymi efektami, z ogromnym smakiem, pełno w obrazach bogactwa i fantazji; zresztą diabelska rozpusta pędzi i rzeczy. *Les amours modernes*: dzieci niby a niby kobiety, jakiś typ, stworzony przez niego. Inny obraz, *Zaraza we Florencji*, na przodzie jakaś kąpiel pełna ludzi i bogactw i roślin, jedzenia, owoców —

²⁾ A. G. Ramberg (1819—1875), działał w Monachium i Weimarze.

³⁾ W. Kaulbach (1805—1874), dyr. Akad. Sztuk Pięk. w Monachium.

⁴⁾ H. Makart (1840—1884), był czynny w Monachium, Wiedniu, Hiszpanii.

kobiety — bachantki — w tyle jeszcze dobitniej zaraza odmalowana; we wszystkim jakiś półdiabelski urok. — W ogóle malowanie i rysunek nie są tu uważane za środek do przedstawienia myśli w pewnych warunkach estetyki i stylu, ale za cel sztuki i ostatnie słowo. Tak jest prawie ogólnie i tak prawie wszyscy gadają. To pojęcie, jeżeli do niego domiesza się chęć zysku albo wziętości, prowadzi za sobą malowanie obrazu pełnych ekscentryczności koloru i sytacji albo, jeżeli chodzi tylko o pieniądze, do jakiej potwornej fabryki. I tak jest tu malarz niejaki, Foltz⁵⁾, ma swoją sławę i obrazy w Pinakotece, więc do niej tytuł. Od urodzenia maluje krowy w pejzażu; u siebie ma krowy i robi studia, w atelier na ścianie karta wszystkich wystaw i zakupów, na około niego cztery albo pięć obrazów. z których każdy w pewnym dniu i godzinie musi być skończony. Maluje tedy ale jak! Na palecie obok zwykłych kolorów leżą już zrobione pewne mieszaniny, które wiadomo naprzód, że dobrze robią w obrazie. Niechże na przykład w zmieszaniu pokaże się jaki dobry ton, natychmiast wszystkie obrazy, wiele ich jest, są nim obdzielone po kolei. Jest tu inny malarz, który zrobił przed laty piękny efekt zachodzącego słońca, maluje dotąd ten sam efekt i zrobił duże pieniądze na tym rzemiośle. Inny znowu maluje osły; prawda, że powiadają, że Pan Bóg lepszych nie zrobił osłów. Sam Piloti maluje i każe malować efekta księżycy w szafie z niebiesko zaklejoną dziurą. Efekta światła lampy w ten sam sposób się urządzą bez względu na to, że nikt w dzień nie widział nocnej sceny a wieczorem przy lampie siedząc, nikt ani nic nie wydaje się wściekle czerwone albo żółte, jak wtedy, kiedy się patrzy do szafy a ma porównanie zimnych kolorów dnia... Jest taki Kolumb w gabinecie Szaka⁶⁾, pół od księżycy a pół od lampy oświetlony a robi magiczny efekt. Nie wiem, czy jak Pan był w München, egzystował gabinet Szaka, ale są tam prawdziwe perły. Mnóstwo obrazów Feuerbacha⁷⁾,

⁵⁾ Ph. Foltz (1805—1877), działał w Monachium i we Włoszech.

⁶⁾ Muzeum Schacka w Monachium zabrało cenne obrazy m. i. Böcklina.

⁷⁾ A. Feuerbach (1829—1880), działał w Monachium, Wiedniu i Wenecji.

niektóre śliczne, malowane szaro bez krzyczących efektów; że jednak mają i surowy styl i wysokie pojęcie przedmiotu, zabijają inne i wszyscy zmuszeni są to przyznać. Są też obrazy Böcklina⁶⁾, w których też ani odrobiny sztuk łamanych, za to jakaś bolesna poezja, co za serce chwyta; maluje zwykle greckie rzeczy, nie wypowiada dobitnie myśli a budzi w każdym myśl i marzenie. Niemcy przecie to ogromnie cenią. O Matejce mówią, że ma olbrzymi talent, ale brutalnie powiada czego chce. O Grottgierze⁷⁾ znowu, że jest daleko więcej *fein*. Przepraszam Pana za te wszystkie moje zabawne wywody. Piszę jednak z dobrą intencją, żeby Pana ubawić. Jak znowu odbiorę parę słów od Pana, choćby w liście Pani, to się zajmę interesem. Za list odebrany ślicznie dziękuję.

Nie wiem, czy też Pani odebrała mój drugi list; a z listu Pana nie wiem, czy o pierwszym, czy o drugim jest wzmianka. Miałbym już ochotę napisać a boję się, żeby nie o tym samym. Od nikogo jeszcze listu nie odebrałem, jak od Pani i Pana. U mnie nic nowego, szkoła tylko i dom. Czasami idę do kawiarni w ogrodzie, to cała nowość. Bieda zresztą, bo nie ma co czasem przeczytać. Rączki Pani całuję i łaskawemu sercu się polecam. Paniąkom tysiące serdecznych wyrazów. Kończę już, bo muszę; i tak Panu czas zabrałem czytaniem. Niech Szanowny Pan raczy przyjąć wyrazy szacunku

od uniżonego sługi

Adam Chmielowski m. p.

p. s. zmieniłem mieszkanie, bo było za drogo i za daleko — teraz więc jest:

Landwehr strasse 23 numer.

Przypadkiem zdobyłem Homera; a że tylko 15 krajców kosztuje, więc na swoją odpowiedzialność kupiłem. Chociaż nietęgi, wszyscy się na to zgadzają, że lepszej kopii antyku, jak ta przez de Bosse, trudno znaleźć, ale teraz już trochę wiem, gdzie czego szukać.

⁶⁾ A. Böcklin (1827—1901), działał w Monachium, Bazylei, Zurychu i we Włoszech.

⁷⁾ A. Grottgier (1837—1867).

Monachium, Piątek, dnia 8-go.

Szanowny Panie!

Nie mogłem dokończyć listu mojego przez te dni parę, bom pomimo poszukiwań nic znaleźć nie mógł w księgarniach; dopiero wczoraj wyszukałem dzieła Homera, ilustrowane przez Geneliego. W moim przekonaniu są to rysunki trochę genialne, niby trochę w smaku Korneliusa bez żadnej blagi, sama rzecz tylko. Mnie się bardzo podobały i nie sądzę, żeby można coś stosowniejszego znaleźć. Ilustrując Homera ale nie śmiałybym, pisząc do Szanownego Pana o takich rzeczach z pewnością twierdzić. Kartki tytułowe kazałem sobie wypisać i w liście przesyłam. Cena też wydaje mi się mała. Książka kosztuje fl. 4 z dwudziestupięciu ilustracjami, a „Odyssea“ zaczyna się mniej więcej w połowie, bo od 329 do 621, to jest do ostatniej.

Wydanie ilustracji osobne jest daleko piękniejsze, jest więcej ilustracji i ślicznie odbitych. Rozmiary rysunków, nie licząc papieru na około, są te same. Są też i większe w innym wydaniu *in folio*. Widziałem też w tych dniach parę statuetek z antyków, kopia dokładna w gipsie; wysokie może na trzy ćwierci łokcia, niektóre mniejsze.

Zapewniają mnie księgarze, że nic nie wiedzą o innym ilustrowanym wydaniu Homera.

W ten tedy sposób sprawiam się z polecenia, a jak tylko Szanowny Pan rozkaże, to zaraz kupię, co trzeba i poszlę. Bardzo bym był kontent, żebym Panu choć raz na coś się przydał, bo tamtym razem nawet nędznych statuetek dostać nie mogłem.

Chciałem namalować obrazek na pokazanie Panu Dzieduszyckiemu¹⁾ choć to dosyć zabawne jest, że narysowawszy parę antyków, kiedym jeszcze nie malował nawet w **Mal-schule**, biorę się do malowania obrazka. Ale mi Pani pisała, że Pan Chojecki mówił, aby co posłać, więc zabrałem się i choć z początku miałem wielki strach, żeby się ze mnie nie śmiali Niemcy, to jednak teraz widzę, że

¹⁾ Jest to Dzieduszycki z Pieniak, od którego A. Ch. otrzymał stypendium.

tak źle nie jest i już teraz kończę malutki obrazek z jedną figurką, kawałek ściany pokoju rokoko i pejzażu kawałek przez drzwi otwarte. Zacząłem kilka figurek i rozmiary większe daleko; spostrzegłem jednak, że za dużo mnie to czasu będzie kosztowało i za dużo pieniędzy, więc odsta- wilem w połowie. Ale zostały mi studia architektury i stu- dia z modeli, którem porobił, więc teraz kiedym się troszkę ośmielił, spróbuję z tego coś zrobić do Krakowa na wy- stawę, co by było więcej obrazkiem, bo to pierwsze ma- lowałem tak, żeby nie miało nawet pretensji.

Jak się tylko uwinę z tymi dwoma rzeczami, zmykam do Akademii znowu, żeby nie tracić czasu. Ale będę bardzo kontent, żem raz przeszedł przez to piekło, jakie każdy ma przy pierwszym obrazku i będę przynajmniej z do- świadczenia wiedział, co to jest i co trzeba umieć, żeby coś zrobić podług myśli — bo dotąd nawet podejrzenia nie miałem.

Starzy malarze wiedzą gdzie czego szukać. Ale jak się nie ma doświadczenia, to za lada szczegółem architek- tury albo ubrania trzeba się nabiegać i naturbować więcej jak to warto, a potem ani tego znać w obrazku. Ależ zno- wu jakby namalować tylko co myśl przyniesie, a nic nie przestudiować ani wyszukać, to choćby dobrze było zró- bione, to w nikim szacunku nie wzbudzi ani ciekawości.

Nie wiem, czy dlatego, że jestem w Monachium, ale- mi się historyczne malarstwo nie uśmiecha, a już kontu- szowych rzeczy to bardzo mało rozumiem. Kaulbach mi się sprzykrzył, bo ciągle te same figury robi na jedno ko- pyto, już daleko wolę Korneliusa albo Sznora³⁾). Mają tu śliczne zabytki z Herkulanum i Pompei, naturalnie w ry- sunkach. Za tym przepadam, tak mi się podoba. Co to za wykwintna forma dla myśli a jak dużo finezji. Nie mówię, żeby na wszystko się zgadzać, ale przecież czego niena- widzę w obrazie, to brutalności. Jak mi chce przyjemność zrobić to zaraz pakuje garścią cukier do gęby, a jak do grozy pobudzić, to pałką bije w łeb. Dziękuję za takie wrażenia i za taką sztukę, tym bardziej, że to jest fałsz, bo ludzie zawsze byli jednacy a każdy wie, że u nikogo

³⁾ J. Schnorr (1794—1872), działał we Wiedniu, Włoszech i Monachium; twórca Nibelungów.

uczucia się tak nie wyrażają. Teraz Matejko mi już tak nie smakuje jak wprzód, bo o ile sobie przypominam to jest brutal czasami a nawet w kolorze. Uwagi moje są prywatne, nie malarskie, bo do tych nie mam prawa, jako nie umiejący, ale głodnemu chleb na myśli więc też zawsze prawie à tout propos o sztuce piszę.

Pani już pewno i Panna Maria wyjechały do Pieniak; zatem tylko Pannie Lucynie przesyłam ukłony, pozdrowienie i rączek uściśnienie.

Niech Pan raczy przyjąć wyrazy głębokiego szacunku i życzliwości z jaką jestem i podziękowanie za pamięć o mnie.

Landwer strasse 12, 1 stock. Adam Chmielowski m. p.

5.

Monachium, dnia 6-go Marca.

Szanowny Panie!

Bardzo dawno nie odpisałem na łaskawy list Szanownego Pana, bom się ociągał z doniesieniem coś o figurkach. Koledzy, do których adresowałem się o wiadomości, odsyłałi mnie od jednego do drugiego antykwariusza nadaremnie. Mają rozmaite figurki na sprzedaż, po największej części rokoko, a te, które niby za renesans włoski uchodzą, trudno wiedzieć czy autentyczne. Oni te rzeczy uważają za autentyczne, mające archeologiczną wartość i jako za takie każą sobie płacić sumy niesłychane. U dwóch gipsiarzy znalazłem małe kopie z antyków niektórych — jedno lepsze, inne gorsze. Nie śmiałybym zapewnić, czy warto kupić, bo sam zachwycony nie byłem; jednak myślę, że jako przypomnienie antyków mogą służyć. Są mniej więcej takie duże jak od łokcia do końca palców, niektóre mniejsze. Kartkę co mi dali przyłączam.

Z nowin tutejszych trudno abym co wiedział, żyjąc między atelier i domem. U Adama¹⁾ miejsca nie było; przy tym nie można się nic dowiedzieć od człowieka, co tylko konie robi. Więc na czas namalowania obrazka wy-

¹⁾ F. Adam (1815—1886), działał w Monachium i we Włoszech.

prowadziłem się do najętego na ten cel mieszkania i tam się morduję. Już się — chwala Bogu — kończy i za jakie dziesięć dni mam nadzieję wysłać, a zacznie się strach jak się i czy się Panu spodoba, bo co do gustów szanownej publiczności, to te bardzo mnie mało obchodzą. Jak skończę będę kontent, bo idąc do Akademii, wiem przynajmniej czego od niej chcę. Ale tę trochę własnego doświadczenia drogo zapłaciłem. Muszę to Szanownemu Panu opowiedzieć, że ja też jak każdy inny miewam moje romantyczne godziny, więc mi się zachciało zrobić Siestę wieczorną — do tego w starowłoskich kostiumach, mniej więcej z czasów Danta. Nie potrafię robić dużych figur, więc trzeba było się starać, ażeby w całym tonie obrazka było trochę powagi i starości, bez których byłoby to już zupełnie nieznośne. Zrobiłem szkic kolorowy. Mówili mi wszyscy, że nie potrafię zrobić i że nie będzie z czego. Ja jednak wziąłem się do roboty. Kostiumów nie miałem. Więc podług starych rysunków z gałganów rozmaitych kleiłem jak mogłem kostiumy. Nie było męki, której bym nie przeszedł, alem płakał i robił. Już teraz kończę czy dobrze czy źle, nie wiem, ale kończę.

Od Niemców nie można się nic dowiedzieć; każdy chwali. Koledzy znowu tak się opatrzyli, że tyle wiedzą co i ja. W ogóle jest to psie rzemiosło, to malowanie i cała służba u sztuki. Przez cały dzień męczyć się trzeba nad obrazem, a wieczór ani jednej godziny wesołej ani innej myśli, tylko ciągle kolory i linie. Ja od czasu, jak maluję, tom zajęty albo zmartwiony. Książek nie czytam a próżnować też nie mogę, bo coś ciągnie do obrazu, choć by warto było coś innego robić. Najgorsze to, że jak kto raz zaczął, to musi robić, a za dobrą figurę diabłu by duszę sprzedał. Myślałem, że to tylko poczynającym taka bieda, a to nieprawda, bo najlepsi artyści mówią, że im kto więcej umie tym mu gorzej żyć, a najlepiej głupcowi.

Malarzy tutaj jest niesłychana liczba, ale bardzo mało renomowanych, a takich co prawdziwie coś nowego i ciekawego robią jeszcze mniej. Co do opinii o sztuce, to istna wieża Babel. Jużto wszystkim rodzajowym wystawa w głowie zawróciła, głównie Francuzi. Opowiadał tymi dniami stary Adam, że był u Ramberga, jednego z profesorów Akademii, i ten, wywlókszy parę płócien najdzi-

waczniej pokolorowanych — tak że nie można było wiedzieć co przedstawiają — mówił, że od Courbeta ¹⁾ tego się nauczył. Zapewne można mieć w pogardzie te wszystkie słodkie kolorki i niby przyjemne obrazki, robione jakby dla panien albo dzieci i lepiej sto razy najsurowiej choćby i na pozór twardo malować jak Francuzi nowej szkoły, bo tam przynajmniej jest pewna powaga i męskość, ale takiej znowu kołowacizny jak tutaj, to nic nie rozumiem. Courbet dostał medal, a na przykład Feuerbach za przepysny obraz niezmiernie dobrze i ciekawie namalowany, nic nie dostał.

Strach myśleć, jak się mody zmieniają. Co parę lat inny święty; upartych diabli biorą, a wysokie talenta i gięty ludzie w talencie i opinii swojej, stoją jak dawniej. Moim zdaniem, głupi ten, co ma źródło pod nosem a pije z konewki; tak i z nauką; lepiej uczyć się od takich, co swoim geniuszem style tworzyli, aniżeli od tych, co kompilowali: więc przede wszystkim natura — potem staro-włoska szkoła do Rafaela — stare Niemcy — starożytni rzeźbiarze — pompejańskie rzeczy malowane; a koloru pewno lepszego człowiek nabierze patrząc na Veroneza ²⁾ i Tycjana ³⁾ aniżeli na Courbeta; a lepszej techniki jak Velazquez też nikt nie nauczy. Zresztą robić co głowa wymyśli i wedle talentu. Jak się nie zrobi nic bardzo nowego, to przynajmniej będzie się robiło poważne rzeczy, dla których ludzie muszą mieć szacunek. Jak mi możliwość pozwoli i zawsze będę tak myślał, to tak mam nadzieję robić. Tymczasem gruszki to na wierzbie. A ja teraz nic nie umiając sam, już o sztuce gadam jak mądry — za co też pokornie proszę o przebaczenie. Zwyczajnie głodnemu chleb na myśli.

Od Pani odebrałem łaskawy liścik dzisiaj, jutro też odpiszę. Pannie Lucynie przesyłam moje ukłony, dziękując za pamięć w liście do Pani o mnie.

¹⁾ G. Courbet (1819—1877), przedstawiciel realizmu, toruje drogę impresjonizmowi.

²⁾ P. Veronese (1528—1588). Przedstawiciel sztuki weneckiej.

³⁾ Tycjan Vecelli (1477?—1576), przedstawiciel sztuki weneckiej.

O odpowiedź nie dopraszam się, ani mi się należy od Szanownego Pana, chyba gdyby Pan miał co do rozkazanania względem statuetek.

Niech Pan raczy przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku

od unizonego sługi

Chmielowski m. p.

6.

Monachium, 22-go, Środa.

Szanowny Panie!

Ośmielałem się napisać słów parę do Szanownego Pana, bo mam o wiele prosić. Właśnie dzisiaj skończyłem mój obrazek z zamiarem posłania go natychmiast do Krakowa, bo i tak bardzo się spóźniłem; ale wczoraj jeszcze prosiłem paru Niemców malarzy, żeby przyszli zobaczyć i poradzić. Ci znaleźli, że obrazek ma niektóre rzeczy dosyć nowe i radzili mi, żebym nic nie robiąc dalej, wystawił obrazek tutaj na wystawie, że jako **Sztimungsbild** może się spodobać, że wreszcie, co najważniejsza, będzie to korzystne dla mnie na przyszłość, bo zrobiwszy pierwszy krok choć słaby, powoli zacząnę wchodzić w karierę i zasłużę sobie tutaj na uznanie choćby intencji albo talentu. — Tylem przynajmniej wywnioskował z tych wizyt, bo co najgorsza, to ci panowie żyjąc w ciągłej dyssymulacji swego zdania, mają zwyczaj chwalić z prawdziwą wściekłością wszystko w oczy autorowi, i dopiero po prawdziwej komedii, próśb i zaklinań, można cośkolwiek prawdziwego wydobyć. Że jednak Brandt¹⁾ i Gierymski¹⁾ także mi to samo radzą, więc choć z najokropniejszym strachem, ale się odważył wystawić, i jutro zaraz który z nich jako członek Kunstvereinu wystawi za mnie, bo ja sam jako nie członek nie mam prawa.

Zostanie zatem obrazek na Kunstvereinie przez trzy dni, to jest do soboty, a w niedzielę wyszłę go do Krakowa towarowym pociągiem.

¹⁾ G. Brandt (1841—1915) i H. Siemiradzki byli generałami w sztabie Polonii monachijskiej, do którego należeli także M. Gierymski i A. Chmielowski.

Tutaj tedy zaczynają się moje prośby. — Boję się, czy spóźnienie nie wpłynie źle na usposobienie dyrekcji dla przyjęcia obrazka; przy tym czy nie dostanie takiego miejsca, w którym by się świecił, bom przez niedoświadczenie wziął francuskie płótno i są nierówności, których nie zdołałem pokryć ani zeszkrobać.

O protekcję tedy łaskawą Szanownego Pana udaję się, w tych względach ufając w Jego dobroć.

Polecam się łasce i życzliwości Szanownego Pana, Pannie Lucynie łączę moje ukłony.

Racz Pan przyjąć wyrażenie mojego szacunku i oddania dla Siebie i domu.

Adam Chmielowski m. p.

7.

Monachium, dnia 14-go.

Szanowny Panie!

Pan Żmigrodzki był łaskaw podjąć się narysowania Homera jako wprawny w te rzeczy i oddał mi go w niedzielę. Onegdaj zaniósłem go do Drzeworytni Brauna, największej, jaka tu jest — ale kiedy wytłumaczyłem, jako ta głowa powinna mieć ton marmuru, pomimo, że czarnego tła nie będzie, żaden z drzeworytników tam obecnych nie chciał się podjąć roboty. Dano mi adres drzeworytnika Hechta, najlepszego jaki tutaj jest, a ten przyrzekł mi zrobić w terminie 14-tu dni najpóźniej z powodu, że ma inną robotę, którą kończy. Ceny nie mógł zaznaczyć, ale pewno będzie dosyć droga; ale drzeworyt będzie bardzo piękny prawdopodobnie i pełen smaku, bo te roboty, które mi pokazywał, są rzeczywiście równe najlepszym francuskim i angielskim. Powiedziałem mu też, na jaki cel ten drzeworyt ma służyć, aby unikał kresek zbyt słabych, które pressa zwykle niszczy tak, że wcale albo popsute wychodzą.

Odsyłając nazad Panu fotografię, przysporzyłbym ambarasu, a drzeworyt by pewno w krótszym czasie nie był zrobiony.

U mnie nic nowego się nie zdarzyło; nogi tylko nie dopisują, muszę siedzieć w domu albo jeździć dorożką, więc i humor nietęgi.

Za parę miesięcy mam nadzieję być w Krakowie, żeby ucałować rączkę Pani Siemieńskiej.

Polecam się łasce i pamięci Szanownego Pana.

Adam Chmielowski m. p.

P. S. Jak tylko odrobię roboty, natychmiast poszlę do Krakowa pod adresem Redakcji „Czasu“.

8.

München, dnia 19-tego.

Szanowny Panie!

Dzisiaj odebrałem list od Pani Siemieńskiej. Pani zmartwiona jest mną bardzo i tym, że jak się zdaje, Pan Dzeduszycki nie udzieli mi już swego stypendium na ten rok. Dowiedziałem się też z listu Pani Siemieńskiej, że do Pana pisała z prośbą o pożyczkę dla mnie z towarzystwa. Wiem, że ani można coś podobnego zrobić, ani też to jest w zwyczaju. Nawet myślę, że potrzeby nie ma udawać się do takich środków; naturalnie, że list Pani musiał Szanownemu Panu zmartwienie zrobić, że Jego tak zwany kolega ma mało pieniędzy. Piszę, abym opowiedział jak rzeczy stoją, bo pewno Pani w swojej znanej dla mnie troskliwości napisała gorzej jak jest.

Otóż prawda jest, że teraz nie mam pieniędzy, ale dzięki stu frankom, które mi Pan Chojecki¹⁾ pożycza, mogę jechać do Miłosławia i tam najspokojniej przez dwa miesiące studia pejzażu robić. Za powrotem tutaj w razie jeżeli nie będę miał za co dalej się uczyć, rzucę Akademię i będę zarabiał jak każdy inny. Myślę, że to jest bardzo rzecz podobna; dotąd wprawdzie nic nie robiłem, co by mogło trącić rzemiosłem, ale jeżeli to, co już umiem, a czegom się uczył z myślą o przyszłości artystycznej, zechcę obrócić na to tylko, żeby zarabiać na życie, to po małej wprawie będę mógł zarabiać; dosyć tylko wziąć ja-

¹⁾ St. Chojecki z Zarzecza pod Jarosławiem, mąż Klementyny z Siemieńskich, gdzie A. Chmielowski przebywał w r. 1874 po przyjeździe z Monachium i portretował rodzinę.

kaś manierę malowania a szczególnie rysunków i nie szukać i mozolić się, ale robić jak wszyscy i za co grosz dają: to jest zawsze już chleb w ręku. Ja wprawdzie chciałem czego innego i na postęp w tym kierunku nigdy nauki dosyć, ale na to, żebym tylko zarabiał, to umiem dostatecznie.

Jeżeli Szanowny Pan, który jesteś Artystą i te rzeczy znasz dobrze, będzie uważał to, co piszę za słuszne, to pokornie proszę, ażeby pisząc do Pani raczył Panią uspokoić o mnie i powiedzieć, żem przecież tyle wart, co wielu innych, co malując żyją. A zdanie Szanownego Pana więcej zaważy jak moje, bo mi to jest bardzo boleśnie, że Pani ciągle się mną gryzie, mając już tyle swoich zmar-twień.

Przez ten czas, com do Szanownego Pana nie pisał, rysowałem w tutejszym ogrodzie botanicznym w cieplarniach wschodnie drzewa i kwiaty bardzo dokładnie, bo do rzeczy, do których ja mam pociąg, myślę, że choć odrobinę stylizować pejzaż potrzeba, a na to nie dosyć szkicować rozmaite widoki, ale trzeba w każdym listku szukać wdzięku i piękna.

Widziałem niedawno Piękną Meluzynę Schwinda *) w staroniemieckim stylu robioną; wprawdzie to co innego ale też wszystko narysowane z niezmiernym wdziękiem, a też w ten sposób studiowana.

Zdaje mi się, że szczególnie ci co figury robią, powinni pejzaż uważać jako jeden z frazesów w ogólnej myśli.

Przynajmniej dla mnie największy mają urok obrazy, wymalowane i narysowane od brzegu do brzegu. Czasami i smarować dobrze, prowadzi do rzeczy ale to tylko w niektórych razach. Jak dobrze robią naiwne plamy, nawet tak wysoce religijnym obrazom Perugina, a jak tłumaczą inteligencję!

*) Chodzi tu niezawodnie o Maurycego Schwinda, który ilustrował bajki w sposób naiwny. Meluzyna należy do francuskiego ideału bajki. Na uwagę zasługuje fakt, że także A. Ch. w listach monachijskich wyraża chęć ilustrowania baśni. Nic więc dziwnego, że się zainteresował Schwindem.

Bardzo pilnie czytam i przyglądam się pompejańskim rzeczom i Teokryt³⁾) zawsze bardzo mi się podoba. To z początku wydaje się cukierkowane, ale to pewno dlatego, że każdy opchany jest idyllą z 18-tego wieku niby w tym guście; ale teraz to mnie się zdaje, że to wcale nie takie słodkawe, zupełnie przeciwnie, widać tam czasami głęboką i zupełnie poważną poezję i wielką prostotę. Taki dzieciak, co się kocha, gra na flecie, bogom ofiarę składa, a przepędza swój czas samotnie między skałami, pasąc swoje kozły, w niczym mi nie przypomina sentymentalnego mazgaja z poezji 18-go wieku; jużbym go wolał mieć dzikim albo ordynarnym, choć i tak też nie jest.

Mnie się zdaje, że gdyby potrafić za tę starożytną niteczkę chwycić, a zrozumiawszy, wykomponować sobie jaką idyllę w tym guście, to by to może i ładne było, bo to — o ile mi się zdaje — nawet koloru i malowania nie wyklucza i nie potrzebuje być tak w dużym stylu traktowane jak stare historyczne rzeczy.

Tutaj ciągle wszystko co żyje politykuje. Zdaje się; że Francuzi nie dadzą się, jak się wszyscy do karabinu wezmą; to też wartogłowy — ale przecież szlachetniejsi jak ta ucywilizowana dzicz ordynarna, prusaki. Oby nam z tej całej historii jaka bieda nie urosła, bo już o dobrym to człowiek drży myśleć.

Do Pani pisałem i wszystkim ukłony przesłałem. Bogu dzięki, że Panna Maria ma swoje marzenie spełnione. Tylko biedna Panna Lucyna — źle, że ciągle chora.

Łasce Szanownego Pana i przyjaźni polecam się i zostaję zawsze z wysokim szacunkiem uniżony

Chmielowski m. p.

9.

Miłośław, Poniedziałek.

Szanowna Pani! ¹⁾)

Dziś właśnie odebrałem list Szanownej Pani. Byłbym już dawno sam napisał, ale nie wiedział, gdzie adre-

³⁾) Teokryt, ok. 270 prz. Chr., autor sielanek. Tu pojawia się pomysł do drugiego obrazu na wystawę krakowską w 1881 r.

¹⁾) Łucjanowa Siemińska.

sować. ...Już przeszło miesiąc jak przyjechałem do Miłostawia. Pani co zna Miłostaw nie potrzebuje mówić, jak mi tu dobrze czas przechodzi — maluję trochę, bo pogoda sprzyja. Osobami moich miłutkich gospodarzy jestem całkiem zachwycony: w bliższym poznaniu szacunek i szczerą życzliwość moja dla nich wzrasta tylko.

Moje to szczęście wakacyjne ma swoje „ale“, bo brat mi niedawno pisał z Warszawy, że w pierwszych dniach tego miesiąca nastąpi sprzedaż domu¹⁾, więc łatwo Pani zrozumie, jaki mam niepokój z tego powodu o losy moich braci i swoje własne. Gdyby to się nie rozwiązało pomyślnie, byłbym w najokropniejszym ambarasie co sobie rzucić. Dręczymy mnie też to bardzo i prawdziwym dobrodziejstwem jest mi towarzystwo, bo trochę zapominam o swoich kłopotach. Jeżeli bym jaką pomyślną wiadomość dostał, nie zapomnę napisać, aby troskę Łaskawej Pani o mnie uspokoić.

Cieszę się szczęściem panny Marii i Stasia. Napiszę list do niego. O pannę Teresę powinna Pani być spokojna, przecież Prusacy prywatnych nie przesładują²⁾.

Co ten biedny Ryszard poradzi sam w Louvain, jeżeli mu pieniędzy zabraknie; mam jednak jakąś nadzieję, że go Bóg nie opuści. Ja bym chciał około dwudziestego jechać do Monachium, bo i PP. Mielżyńscy wyjeżdżają. Do tego czasu myślę, że mój brat interesa skończy.

Jak kiedy Szanowna Pani będzie u Marcelego, to proszę pokornie, aby jemu i całej rodzinie podziękować za łaskawą pamięć o mnie. Jak będę trochę spokojniejszy, to napiszę do niego i będzie to dla mnie z wielką uciechą.

Dziękuję Pani za list, całuję rączki. Panu Lucjanowi moje ukłony przesyłam, córeczkom ukłony i pozdrowienia. Proszę mnie zawsze w swoim sercu chować i wierzyć, że jestem zawsze z równą przyjaźnią i szacunkiem dla Pani i Jej domu uniżonym sługą.

Adam Chmielowski.

¹⁾ Dom Chmielowskim zakupiony przez matkę, znajdował się w Warszawie, na zbiegu Nowego Świata i Książęcej.

²⁾ Mowa tu o córkach państwa Siemieńskich; Teresa wstąpiła do Karmelu.

Szanowny Panie!

Nie pisałem dawno do Szanownego Pana, bo nie było tak dalece o czym a list, który odebrałem nie wymagał odpowiedzi natychmiastowej. Malecki ¹⁾ z największą chęcią oddaje mi do rozporządzenia swoje szkice; prosiłem też o szkic młodszego Gierymskiego ²⁾, którego Szanowny Pan zapewne poznał w Krakowie. Będzie to wkrótce bardzo dobry malarz, ma duży talent. Czy je posłać w liście czy w pace z obrazem, te szkice?

O sobie cóż Szanownemu Panu napiszę? Chyba to, że zapalczywie maluję; reszta niewiele mnie obchodzi. Jestem zdaje się dosyć zwariowana figura; że mi w świecie rzeczywistym nie jest zadziwiająco dobrze, więc się uciekam do michałków, co je sobie wymyślę i między nimi żyję: dosyć zabawny sposób na odpędzenie zmartwień przy moim wrodzonym niedbalstwie dosyć praktyczny. Czy tylko na długo?

Wziąłem atelier, modeli i maluję idyllę grecką: chłopiec i dziewczyna siedzą między skałami nad wodą, bodaj że się nie kochają nawet, może po tym jak granaty zakwitną, ukradnie chłopiec całusa; tymczasem wiosna, kwiaty i niebieskie niebo. Mam z tym dużo biedy, bo bym chciał to mieć, o ile można, szeroko traktowane i żeby był ciąg w całym układzie jakikolwiek, więc zmieniam ciągle. Bóg wie, czy skończę. Świat tamten ma dla mnie wielki urok, wygląda mi na coś czarownego i pełnego sekretu. Gdyby to wrażenie można było zrobić! Ale to bardzo trudno. Na drugim płótnie naszkicowałem Franczeskę z Rimini i Paola. To bardzo wygodnie pod Danta się podszywać; przynajmniej każdy wie, o co idzie. Może bym potem do Warszawy namalował.

¹⁾ Wł. Al. Malecki (1836—1900), działał w Wiedniu i Monachium, ostatnie lata w Szydlowcu.

²⁾ Al. Gierymski (1849—1901), pracował w Monachium, Rzymie; przedstawiciel bezwzględnie realnego malarstwa. O nim napisał monografię St. Witkiewicz, Lwów 1903.

Zaluję bardzo, że mi się nic polskiego nie komponuje, a chciałbym bardzo. Co tu robić? Rodzajowych rzeczy nie potrafię a ta fabrykacja historycznych ludzi nie smakuje. Komicznie mi się to wydaje, ażeby robić coś co o tyle jest historyczne, o ile powiada podpis. Usunąć go, a zostaje człowiek albo kilku w butach i deliach, którzy coś robią.

Myszę, że najwięcej rozumiałbym bajkę (nieszczęście, że taki nieuk), bajkę o kwiecie paproci, o jakiej księżniczce, co ma rańtuch w gwiazdy a suknię w księżyce, jakie podanie stare z charakterem dawnych czasów, ale nie wiem skąd się nauczyć, gdzie szukać. Może Szanowny Pan będzie łaskaw mi poradzić. Gdyby jakie książki przydatne mi były u którego z księgarzy w Krakowie, a Szanowny Pan o nich wiedział, to bym prosił kazać mi je posłać, najchętniej bym kupił. W ogóle nie wiem, jak i co, ale proszę Szanownego Pana o zdanie i radę.

Dziękuję za miłutkie szczegóły umieszczone przy liście. Kiedy kto w lesie mieszka, nie powinien winić przeciwko prawom Diany. Nie trza było oddawać przepaski Stasiowi; nie ma przepaski więc talia brzydka. Koniec dorobiony do ostatniej idylli Teokryta. Zaraz bym ją recytował, gdybym był na Słobótce; zrobiłaby pewno większy efekt jak kwestia o bułkach tyle piłująca.

Nie jestem panną, ale dokładnie rozumiem szczęście pierwszego balu. Cieszę się razem z panną Lucyną; przesyłam moje ukłony i dobrej pamięci się polecam.

Nic w liście nie stoi napisanego o Pani Siemieńskiej. A ja tak już dawno nie miałem listu; nie śmiem pisać drugiego. Może Szanowny Pan, całując rączki ode mnie, raczy się ze mną wstawić o parę słówek choćby.

Niech Pan raczy przyjąć wyrazy mego szacunku

Adam Chmielowski m. p.

11.

Monachium, niedziela.

Szanowny Panie!

Spóźniłem się z odpowiedzią na łaskawy list Pana, bom chciał szkice posłać. O te prosiłem Gierymskiego,

Brandta i Kurellę¹⁾ i wprzód, ale mi nie chcieli dać tych drobiazgów, uważając je za nadto błahe. Dopiero dowiedziawszy się, że o podpis idzie i na wyraźne żądanie Pana, posyłają. Od Fraciszka Adama dostałem też szkic; drożył się stary trochę ale mi dał wreszcie.

Ja tylko nic nie posyłam, bo nic nie mam a wstyd mi ładaco posłać. W Akademii tylko naturalnej wielkości figury rysuję, a olejne szkice tak szkaradnie bez ram wyglądają, że nie ma sposobu ich w albumie umieścić; ale niebawnie, jak tylko będę miał jakich parę świąt, to najchętniej narysuję.

Słicznie dziękuję Szanownemu Panu za tytuły książek i rady. Kilka z tych książek znam dobrze ale o inne wystaram się i będę czytał. Biblię mam w domu; Danta czytałem ale i będę jeszcze czytał; Kanta znam z dawnych czasów, ale tam mało co można znaleźć, bo jest o wszystkim. Czy jest Plato w przekładzie? I może by Szanowny Pan mi podyktował jaką książkę archeologiczną o zabytkach greckich.

Mówią, że styl to człowiek; nie wiem, o ile to prawda, ale że obraz i ten co go robi to jedno, to o tym jestem dowodnie przekonany. Nikt by nie uwierzył, jak to dalece jest prawda, więc na to rady nie ma. Jakiego Bóg człowieka stworzył, takie i obrazy będzie robił; ale świat zewnętrzny i otoczenie bardzo na ludzi wpływa i zmienia. Co do mnie, to sobie wcale w dzisiejszym świecie i mądrości nowoczesnej nie podobam. Dlatego chcę czytać i studiować greckich poetów i filozofów; a że bym chciał malować greckie rodzajowe obrazki, więc, gdy można, to bym chciał i pewne archeologiczne studia zrobić, ażeby nie popełniać fałszu i tym lepiej obznajmić się z Greków życiem. Czytałem niedawno idylę Teokryta. Jaki to czarowany świat! Nie wiem czy słusznie ale przepadam za tym. Rzymianie mniej mnie obchodzą; za nadto adwokacki naród; mają też jednak swój szczyt; a najciekawszymi są pierwsze wieki po Chrystusie a raczej chrześcijaństwo i cała cicha poezja ich myśli przeniesiona do pogańskich grobów.

¹⁾ Należał do polskiej grupy w Monachium.

Redlicha *) nie mogłem w domu zastać dwa razy, ale mi dawniej mówił, że bilecik od Szanownego Pana odebrał. W tych dniach odebraliśmy zawiadomienie o sprzedaży obrazów naszych. Pewno w dużej części zawdzięczam kupno przychylnemu zdaniu Szanownego Pana, za co ślicznie dziękuję. A przydadzą się pieniądze bardzo, bo przez moje niedołęzne malowanie kosztował mnie obraz trzy razy tyle pieniędzy, wiele był powinien.

Żałuję Szanownego Pana bardzo z powodu, że robią konterfekt i trzeba pozować. Wiem, jaka to okropna męka; ja tylko pół godziny raz pozowałem, alem myślał, że ze skóry wyskoczę.

Panna Lucyna pewno zmartwiona maską i ognikiem, choć to mniejsza niedogodność, kiedy już Bóg dał, że się choroba skończyła. Przesyłam moje ukłony Pannie Marii również. Niedługo będę zapewne pisał. Całuję rączki.

Bardzo proszę Szanownego Pana nie odpisywać mi wcale albo przynajmniej na pół ćwiartce, bo dalibóg, że nie będę śmiał listów pisać, wierząc, że Panu czas zabieram odpisywaniem.

Pani rączki całuję. Czy do Pieniak teraz pisać? Dziękuję za łaskawy list Szanownego Pana i łączę wyrazy szacunku.

Adam Chmielowski m. p.

Czy fotografia doszła?

12.

München, dnia 30-go.

Szanowny Panie!

Prawie już miesiąc jak nie pisałem do Szanownego Pana. Na ochocie mi nie zbywało, ale mi wstyd było posyłać goły list bez szkicu.

Próbowałem po parę razy, ale jak przyszło zrobić coś, co by zręcznie wyglądało i odpowiednio do albumu, to ani weź. Nie ma niezręczniejszego człowieka pod słońcem do tych rzeczy jak ja i nic dziwnego: rysuję w Akademii prawie zawsze nadnaturalnej wielkości głowy i fi-

*) H. Redlich (1840—1884). kształcił się m. in. w Monachium, a potem zasłynął w Paryżu ze swych rycin.

gury; w szyku i szkicach sobie nie podobam wcale, więc tego nigdy nie robię, może zresztą z czasem i tego się nauczę. Że jednak przecie list napisać chciałem, więc posyłam Szanownemu Panu szkic z natury do obrazka, który robiłem dla Pana Dzieci; jest to prawie jedyny szkic, jaki posiadam i prawie pierwsze moje tutaj malowanie. Brandta wszystkie szkice takie: wybrałem jaki był najlepszy; tylko obrazki kończy; zapewne nie robi inaczej, więc trudno by mi było coś skończonego wynaleźć. Z Polaków, którzy tutaj są, prawie żadnego bliżej nie znam; wszyscy są w Akademii i nie dawno zaczęli tutaj studia.

Przyłączam rysunki Retla¹⁾. Tak bardzo mi się spodobały, że mi je sobie kupił jeszcze dawniej; nie duży wydatek, bo 15 grajcarów. Ślicznie rysowane, a jako ekspresja, to mi się wydają doskonałe. Rzeczą osądzi Szanowny Pan najlepiej; mnie się bardzo podoba. Zresztą ja się na tym mało znam, a kwestie społeczne bardzo z grubą traktuję.

Wolność wydaje mi się niemożliwą na świecie, a równości bym nie chciał za żadne pieniądze, chyba by wszyscy równo głupi się stali, co nie zabawna byłoby rzeczą. Więć do rewolucyj socjalnych nie mam nabożeństwa. A już francuska wydaje mi się jako ohydny krwawy skandal, rządy gburów; zresztą mordowali kobiety, dzieci i porządnych ludzi, więc za taką cenę kupiona owa niby wolność obrzydzenie mi robi. Mogę sobie być zadowolonym wiele kto chce, to jednak nie czuję się niczym obowiązany myśleć i mówić inaczej.

Ten biedny genialny Retl zwariował, ale zostawił śliczne rzeczy; niektóre w zupełnie innym rodzaju, mnie

¹⁾ A. Rethel (1816—1859) zdobył sobie znaczenie w dwóch kierunkach, raz przez freski w katedrze w Akwizgranie, drugi raz przez serię drzeworytów, tworzących cykl „Tańca śmierci“, związany z wypadkami, jakie się rozegrały wśród walk o wolność w r. 1848. Poza Böcklinem i Feuerbachem żaden inny z malarzy monachijskich nie zdobył sobie takiej sympatii u A. Ch., jak on. W liście robi Ch. aluzje do tragicznej walki o wolność z różnego rodzaju zastrzeżeniami. Jego interesuje Rethel malarz i człowiek, interesuje go to, że w niezrównanie subtelnym rysunku znalazła całkowitą ekspresję rozboleła dusza malarza, co wreszcie zwariował wobec tego, co się działo. Uderza to, że z wyrazem sympatii dla Rethela łączy się w liście wyznanie o utracie.

się zdaje, że jeżeli nie komponowane, to pewno lepiej rysowane jak Kaulbach.

W Monachium nic nowego. Któremu tylko z malarzy większe rogi wyrosną, zaraz się wynosi stąd gdzieś w świat. Zresztą masę obrazów ciągle malują, a co dziwniej, to to, że sprzedają drogo. Nieraz się dziwimy gdzie to się wszystko podziewa i że tym ludziom nigdy nie dosyć tego towaru. W ostatnich czasach, a raczej w ostatnim roku, Gierymski z naszych malarzy bardzo w górę poszedł. Wszystkie obrazy, które miał za granicą, pokupowali do jednego i poobstalowywali, za ostatnie drogo płacąc. Między tutejszymi malarzami ma też duże uznanie. W Warszawie tylko się nie podoba, bo żaden z mniejszych obrazków, które dawniej posłał, niekupiony. W ogóle z tą Warszawą jakoś bardzo dziwnie idzie, od samej granicy począwszy i cenzury. Obraz tam posłany, uważa się za stracony, prawie nigdy nie kupiony albo najmizerniej. Jest też tam jakiś malarz, który najgłupsze rzeczy wypisuje pod pozorem krytyki. Już to jak się malarz do krytyki obrazów weźmie, to się można tego spodziewać.

Ze mną stara historia, rysuję do czwartej w Akademii, a potem siedzę w domu i czytam. Zresztą straciłem bardzo na wesołości i swobodzie, boję się o siebie ze względu na moje wyszukane gusta. Kto chce robić greckie rzeczy, które muszą koniecznie choćby trochę być stylizowane, musi przejść przez malowanie i rysunek realistyczny, ażeby, umiając, nie robił w ten sposób. Inaczej to nie ma żadnego znaczenia. Prostota przez nieumiejętność nieciekawa. Łatwo więc można z głodu umrzeć, jeżeli komu koniecznie się chce pasztetu, a ma albo mieć będzie na bułkę.

Od Pani, zawsze równie dla mnie łaskawej, odebrałem w tych dniach list. Dobre Jej serce niepokoi się o mnie. Jakże bym rad uspokoić tę troskę. Już widać powiedziano jest, żebym samej tylko przyjaźni i zyczliwości od całego domu Szanownego Pana doznawał. Zasyłałam pannie Marii i pannie Lucynie ukłony i życzenia zdrowia dobrego. Niech Szanowny Pan raczy przyjąć zapewnienie o mojej najszczerzej przyjaźni szacunku pełnej

Adam Chmielowski, m. p.

Monachium, dnia 17-go.

Szanowny Panie!

Czekałem ze szkicami, ażeby je razem z obrazem posłać, ale, że go nie posiłam, więc choć szkice niech dojdą.

Maluję ciągle ten miły obraz; nadzieja skończenia zawiodła mnie z bardzo głupiego powodu. Otom malował złym materiałem i obraz pod koniec zaczął mi raptownie niebieszczyć i tego białka niesposób było zdjąć. Musiałem wszystko pokryć i malować na nowo, nieprzyjemność najwyższa, strata czasu i pieniędzy. Żeby, aby chciał kto tę awanturę kupić, choć wątplię, bo tu nie lubią takich rzeczy. Za chłopami polskimi, to przepadają, jeżeli są dobrze namalowani — rozumie się.

Mnie obraz zbrzydł już przez długie smarowanie, a handlarzy wszystkich wernixów i sykatiwów klnę na czym świat stoi. Co wszystko razem bardzo mnie nieprzyjemnie usposabia, a życie jest w najlepszym razie ciche i nudne, jeżeli nie kłopotliwe.

Polityką ani niczym zgoła nie zajmuję się wcale. Słychać tylko czasami, że jakieś nowe figle robią, ale to rzadko, bo już tu nawet nikt nie gada o Francuzach. Znówu podobno czerwona czapka w robocie; pokazuje się, że głupstwo ludzkie nie ma żadnego końca, a my mamy teraz kolegów we Francuzach. Mówiono mi, że mój obrazek ¹⁾ ciągle wisiał na wystawie. Bardzo mnie to zaciekawia, co się właściwie z nim stało, bo w sprawozdaniu nie stoi, aby kto go wygrał. Czy Szanowny Pan co o tym nie wie?

Cieszę się nadzieją odwiedzenia Szanownych Państwa w Krakowie na początku wakacyj. Aby mi się tylko to udało do skutku przyprowadzić.

Adam Chmielowski, m. p.

¹⁾ Odzywa się tu jeszcze echo z wystawy „Włoskiej siesty“ na wiosnę 1870 r.

14.

Monachium, dnia 28.

Szanowny Panie!

Korzystam, że Pan Ludwik Kurella przejeżdża przez Kraków z zamiarem bytności u Szanownego Pana, aby bilecik mój przesłać. Proszę też, aby Pan był łaskaw list Pani doręczyć.

Pan Lipiński ¹⁾ przywiózł mi bilecik Szanownego Pana, a stosownie do polecenia oświadczyłem się natychmiast z gotowością zaznajomienia go z Adamem i z moimi przyjaciółmi, ale dotąd nie korzystał z moich chęci. Zapewne zajęty instalacją. Myślę bardzo, a właściwie zacząłem malować obrazek ale nie wiem, jak to pójdzie i czy się spodoba. Gdyby Szanowny Pan mógł się dowiedzieć o ostatecznym terminie przysłania przed zakupem, to bym był bardzo wdzięczny za tę wiadomość, bo w najgorszym razie rzucił bym szkołę zupełnie na ten czas, gdyby była konieczność.

Łasce i przyjaźni Szanownego Pana polecam się
Adam Chmielowski, m. p.

15.

Monachium czwartek.

Szanowny Panie!

Dawno już bardzo nie miałem przyjemności pisania do Szanownego Pana. Na chęci mi nie zbywało, ale miałem bardzo zwieruszoną głowę robotę; teraz dzięki Bogu kłopot ustał i po trochu przyszedłem do siebie. Od Pani Siemieńskiej nie miałem listu w odpowiedź na mój. Gdyby więc Szanowny Pan był łaskaw udzielić mi jeszcze raz swojej protekcji tak skutecznej, to bardzo pięknie bym dziękował za pobyt moim w Krakowie. A propos Krakowa, postanowiłem sobie nieodmiennie tam jechać pod-

¹⁾ H. Lipiński (1848—1884) uczeń krakowskiej i monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych. Odtwarza na swych płótnach sceny ze zbiorowego życia krakowskiego.

czas wakacyj; od Pani mam się dowiedzieć, kiedy bym zastał Szanownych Państwa w Krakowie. Właściwie mówiąc, to ja chociaż mam wielki szacunek do starożytności w ogóle, a do krakowskich szczególnie, to jednak nad Wawel i inne rzeczy ładne ciągnie mnie do Krakowa więcej nadzieja cygara włoskiego w pokoiku Pana, dobroć Pani, u której nie musiałem jeszcze zupełnie łask stracić i figle z panienkami. Nawet, Boże mi przebac, zdaje się, że jestem ciekaw zobaczyć, czy ten cymbał Szymon zawsze równie obdrapany i głupi. Gdyby mnie więc te wszystkie rozkosze w Krakowie minęły, czułbym się bardzo poszkodowany i okradziony.

Gdyby Szanowny Pan był tyle łaskaw w liście mi przesłać swój szczyry sąd i zdanie o obrazie ¹⁾, to byłbym bardzo wdzięczny, bo sąd ten i zdanie bardzo sobie wysoko cenię, więc bym na nim skorzystał. Bardzo o to Szanownego Pana proszę i zapewniam, że nagana mnie nie zdziwi, szczególnie teraz, kiedy widzę na fotografii dokładnie, jak brzydko jest przerysowana figura na przedzie. Myślę, że mnie się należy od Szanownego Pana sąd bez ogródki, bom przecie w Krakowie dostawał tytuł „Kolegi“.

Robiono mi wczoraj propozycję z Krakowa sprzedaż za guldenów 200. Choć potrzebuję pieniędzy, stanowczo odmówiłem. Znając ten zwyczaj, że trzeba napisać więcej aniżeli się chce dostać, stosując się do niego, napisałem cenę 500, ale znowu różnica za duża.

Pojmuję doskonale, że się obraz może nie podobać, wydawać nieprzyjemnym i złym, na to zresztą byłem przygotowany, ale w takim razie po co kupować. Jeżeli zaś obraz chce się mieć dla siebie, zatem się podoba do pewnego stopnia, więc znowu jakim sposobem dawać 200, kiedy rzecz kosztuje 500. Dziwny człowiek ten pan, co chce ten obraz kupić.

Cóż Szanownemu Panu o sobie więcej napiszę? Oto chodzę do Akademii znowu i maluję; mam też obraz w robocie parę kochającą się ²⁾, nic zresztą nowego. Koledzy moi Gierymski Max i Aleksander byli na krótki czas

¹⁾ Chodzi o „Idyllę“, wysłaną na wystawę wiosenną 1871 r.

²⁾ „Francesca i Paolo“.

w Wenecji i opowiadają cudowne rzeczy o obrazach, które tam są. Pokazuje się, że z tego, co tu jest, nie można mieć słabego nawet wyobrażenia o Veronezie, o Tycjanie i Tintoretto *) w porównaniu do Wenecji. A jaki kraj ma być przepyszny, jakiego to wysiłku imaginacji potrzeba, ażeby zrobić coś zbliżonego do tamtego kraju, jeżeli kto na to mądrym okiem nie patrzy!

Mieliśmy tymi dniami pociechę i zabawę z powodu gazety „Kraj“ †); przypadkiem dostaliśmy dwa numera, w których sprawozdanie z wystawy Wiedeńskiej. Nic pociesniejszego! Umieraliśmy ze śmiechu! Tutaj jedni krytykują gorzej inni lepiej, więcej albo mniej specjalnie, ale każdy rozumie, o co idzie. Krytykują tendencję, pojęcie rzeczy, styl, traktowanie, rysunek, kolor, ruchy figur, ich znaczenie, technikę, ze względu do czego użyta. Od obrazu realistycznego żądają prawdy w malowaniu i pojęciu; od stylizowanego, stosownie do stylu, żądają skromności w malowaniu, za to rysunku, kompozycji. Jest zresztą na to język dla wszystkich jednaki: tak gada profesor w kompozycyjnej szkole, jak wszyscy malarze i gazety.

To bardzo ciekawa terminologia i krótka. Nazywają naprzykład **Stimmung**, jakby kto powiedział — nastrój, usposobienie, harmonia, głos obrazu, więc smutny czy wesoły, melancholiczny czy ponury; mówią znowu **Wirkung**, wzajemne działanie kolorów na siebie; **Farbe**, zatem wrażenie koloru; nareszcie kompozycja na linie, rysunek, malowanie; nareszcie szczegóły czysto techniczne, jak modelacja, technika. Tamten człowiek, co pisze krytykę, wyrzyna trakta o wyrazie **Ton**. Uważa ton za nie-szczęście i modę sztuki obecnej; o tym tonie w każdym wierszu wspomina. Z tego punktu najgłupsze rzeczy pisze o obrazach, które mamy; nareszcie radzi — taki człowiek głupi daje rady... Kto tu może co zrozumieć! Jużci, co nie jest w świetle, to jest w tonie. Zapewne chciał mówić o kolorze, ależ znowu nie można chcieć, ażeby malowali źle w kolorze czy bez koloru. Najpyszniejsze przecie Ty-

*) J. Tintoretto (1518—1594), jeden z malarzy weneckich wprowadzającym w swe obrazy wiele dynamiki i ruchu.

†) Jest to dziennik krakowski, w którym się była ukazała nieprzychylna recenzja „Włoskiej sjesty“ napisana przez Zaleskiego.

cyjany, Rembrandty, Verónezy są w tonie. Powiadam panu, że i my umierali, tłumacząc sobie te hece. Jeżeli ta gazeta tak o wszystkim mądrze pisze jak o obrazach, to musi być nieciekawka.

Jakie obrzydliwe historie w Paryżu! Ja powiadam, że to ludziom na dobre nie wyjdzie. Raz zobaczą głupi ludzie, dokąd to prowadzą te bydlęce teorie równości i tym podobnych szalonych wymysłów; może po trochu zaczną wracać do starych prawd, na których świat tak już długo stoi. Czemu państw z Ewangelii nie budują, kiedy chcą postępu?

Pani rączki całuję, panienom ukłony posyłam. Przyjaźni i łasce Szanownego Pana polecam się.

Adam Chmielowski, m. p.

Adres: Äussere Landwehrstrasse, Nr 10.

16.

Szanowny Panie!

Odebrałem pieniądze posłane; nie tylko wystarczyły na bawarskie ale zbyło kilkadziesiąt grajcarów. Nie wiem, jak je posłać. Chyba włoskich cygar kupię, jadąc do Krakowa, w Wiedniu. Chciał bym choć późną jesienią albo w zimie jechać do Krakowa. Teraz nie przyjechałem, bom pieniędzy nie miał. Mieszkam teraz przy atelier: przez to więcej maluję, więc obrazom z tego powodu lepiej, ale mnie gorzej, bo bardzo zdenerwowany jestem i czegoś niezdrow. Cholera dosyć duża w Monachium; w naszym domu umarł już jeden, ale ja na brzuch zdrow jestem, tylko na mózgu czasami choruję: powszechna to choroba między ludźmi, choć się do niej mało kto przyzna, a dopiero ludzie się spostrzegą, jak w domu wariatów zamykać trzeba pacjenta.

Podobno jakieś zmiany zaszły na wystawie krakowskiej, bo nam tu książeczki z jakimiś statutami poprzysyłano ale jak przeczytać, to się okazuje w końcu, że jak było tak będzie. Ze statuta robią, to przez to więcej ama-

torstwa w Polsce nie będzie, ani więcej pieniędzy, ani więcej malarzy się nie urodzi. Zresztą ja się na tym nie bardzo znam.

Maluję pomiędzy innymi obrazek do bajki ludowej o synu dobrym, co szedł po wodę życia do złotego drzewa za siedem gór i siedem lasów a nie wiem, czy Pan tę bajkę zna. Bardzo jest piękna i śliczny ma sens: że potwory różne i ładne nimfy i przepaście, każdy znajduje na tej drodze. Szkoda, że tej strony nie można malować, chociaż, kto wie? Ale by trzeba bardzo stylizować. Ale po malarsku rzeczą biorąc, bardzo jest trudno grozę i tajemniczość takiej drogi oddać. Ale sens piękny, bo kto wody życie nie szuka? I malarz i zakonnik i poeta. Nawet Chrystus Pan o niej mówił — ale mówił, że w Nim jest to źródło a nie za górami. Czy sztuce służąc, Bogu też służyć można? Chrystus mówi, że dwum panom służyć nie można. Choć sztuka — nie mamona, ale też nie bóg; bożyszcze pręduje. Ja myślę, że służyć sztuce, to zawsze wyjdzie na bałwochwalstwo, chyba by jak Fra Angelico sztukę i talent i myśli Bogu ku chwale poświęcić i święte rzeczy malować; ale by trzeba na to, jak tamten, siebie oczyścić i uświęcić i do klasztoru wstąpić, bo na świecie to bardzo trudno o natchnienie do takich szczytnych tematów. Stare to są rzeczy zapewne te pytania; nie mniej jednak, jak człowiek do pewnych lat dojdzie i zaczyna trochę rozumu nabierać, chętnie by wiedział, jaka jego jest droga i jaką zda sprawę z życia. A piękna to rzecz bardzo — święte obrazy; bardzo bym sobie chciał u Boga wyprosić, żeby je robić, ale ze szczerzego natchnienia, a to nie każdemu dane. Tyle męki i najlepszej krwi kosztuje artystę malowanie. Żeby chociaż z tego jaki pożytek był istotny!

Kończę przydługie pisanie, polecając się pamięci Szanownego Pana. Jeżeli będzie Pan łaskaw, kiedy parę słów napisać do mnie, to proszę mi też donieść, kiedy trzeba obraz posłać do Krakowa, żeby była nadzieja sprzedaży. Może bym co posłał, ale pewno nie wiem.

Adam Chmielowski, m. p.

Marsstr. Nr 5/2 im Garten.

17.

Monachium, środa.

Szanowny Panie!

Niech Szanowny Pan raczy przyjąć moje życzenia na dzień imienin. Życzę wesołości i zdrowia, dwóch najlepszych rzeczy; jak one są, to i reszta zwykle bywa. Mam łaski u Szanownego Pana, więc się spodziewam, że Pan chętnie uwierzy w szczerłość i prawdę moich życzeń wszelkiego dobra dla Niego.

Przesyłam też powinszowania dla Panny Lucyny. Niech Szanowny Pan będzie tyle łaskaw, oświadczając je w moim imieniu, powie wszystko, co można najprzyjemniejszego, co łatwo przyjdzie znającemu bliżej życzenia i serduszko swojej imienniczki, nie zapominając dodać, że to moje są życzenia.

Pani Siemieńskiej rączki całuję. Kalendarzykowi zawdzięczam, że jest grzeczny, bo pamiętam o imieninach. Nie przeto, abym całemu domowi Państwa nie życzył tego na każdy dzień, czego na imieniny życzę.

Przyjąć proszę wyrazy uszanowania od swego sługi

Adam Chmielowski, m. p.

18.

Szanowny Panie!

Piszę z Reichenhall, gdzie jestem już od pięciu dni powtórnie. Wprzód byłem przez trzy dni czy cztery, dlatego nie odpisałem na list Szanownego Pana natychmiast, bo mi te jazdy przeszkodziły i list późno odebrałem. Jestem tutaj z powodu mego przyjaciela, Maxa Gierymskiego, który przeszedłszy szkaradną pleurę w Meranie, przywiózł jej resztkę do wyleczenia tutaj¹⁾, a samotność jest

¹⁾ Z monografii Sygietyńskiego o M. G. wiemy, że na polecenie lekarzy wyjechał do Meranu w marcu 1873 r., a na lato przeniósł się do Reichenhallu. List byłby zatem pisany w lecie 1873 r. Byłby to zatem duży odskok od ostatniego listu, w którym mówi o malującym się obrazie na temat dobrego syna, bo tam byliśmy jeszcze w obrębie 1871 r. Zdziwienie nasze wzrasta wskutek tego, że się cieszy z zadowolenia Sygietyńskiego z nadesłanego drzewo-

dla niego zabójczą. Imaginacja pracuje i stan zdrowia bardzo pogarsza.

Zostanę tutaj jeszcze ze trzy dni, potem przyjedzie mnie złuzować brat Maxa, który w tej chwili nie może się z Monachium ruszyć.

Reichenhall bardzo nudny, gości mało, Polaków prawie nie ma, znajomych żadnych. Muzyka w Kurhauzie nędzna, rzępoli, chorzy ludziska włączą się powoli, wdychając ciepłe powietrze. Zresztą ciepło, zielone drzewa, niebieskie góry, kwiatów mało.

Wszystko to razem bardzo usypiające. Z moim kolegą prowadzimy flegmatyczną gawędkę i zgadzamy się zawsze na jedno, to jest, że góry są niebieskie w Reichenhall.

Bardzo się cieszę, że się Szanownemu Panu drzeworyt podobał. Zapłaciłem za niego 25 Gul., i posyłam pokwitowanie, bo może się przyda dla wydawcy. To jest bardzo nie drogo, bo mój brat, który mało co umie, dostaje za takiej wielkości drzeworyt 18 Guld. Tutaj zresztą nie mierzą zapłaty wielkością roboty. Za małe drzewko mój brat czasami więcej dostaje jak za duże.

Moje projekta jazdy do Krakowa dosyć lichy stoją, może się to jeszcze poprawi. Handlarze mówią, że interesa z obrazami na wystawie nieszczególnie idą, czemu chętnie wierzę, bo ceny w ostatnich czasach przyszły do śmiešności. Za obrazy niewielkie i bardzo zwyczajne popłacili 18—20 albo więcej tysięcy Guld., a żądają w dwójnasób.

Gdybym rzeczywiście nie przyjechał do Krakowa, to by mi się stała wielka niesprawiedliwość. Nie uwierzy Pan, jak to dla mnie znaczy dużo ucałować rączki Pani Ludwiki i żyć jakiś czas powietrzem domu Państwa.

W Monachium żyję wyłącznie pomiędzy książką i obrazem, nie skarzę się na to i nie pragnę inaczej, bo ile razy wyjdę poza moją skorupkę, moje myśli cofają się i pilność ustaje. Jak tylko spróbuję żyć godziną, tracę spokój na tydzień i zaraz mi się zdaje, że szalony,

rytu. Rozumie się tę radość S-go w dwa lata po otrzymaniu drzeworytu przez to, że właśnie w r. 1873—4 wychodziła *Odyseja* i na karcie tytułowej drzeworyt doskonale spełnił swe zadanie. Wiodocnie w tym czasie bawi w Monachium młodszy brat Adama, Marian, bo aż dwa razy wspomina o sumie, jaką Marian bierze za drzeworyty.

a wszyscy mądrzy, nawet moja gospodyni, nawet modelka.

Gdyby Szanowny Pan był tyle łaskaw i przypomniał sobie dawne czasy początków mojej artystycznej kariery i opowiedział je Pani Ludwice na moje usprawiedliwienie, że tak bardzo zaniedbuję najprostsze obowiązki ludzkie, to bym Panu bardzo był wdzięczny, a Pani pewno by mi darowała moje podłostki.

Myślę, że dużo czasu trzeba, zanim człowiek na majstra wyjdzie, a myśli z życiem do równowagi przyjdą; tymczasem лихо jest w głowie, po całych dniach zielono, jeżeli nie niebiesko. Pracuję krwawo, pomagając gnomom nosić zaczarowane złoto, a do krawca od miesiąca mam iść kupić surdut; przecie bym się nie bardzo zmordował.

Włóczę się też po śpiącym lesie z nymfą brunetką, całujemy się bardzo czule rozmawiając o paproci, o saskankach; kocham ją do szaleństwa, ale cóż, kiedy w złych momentach myślę o niej, że jej wcale nie ma i że lasu, który by spał też nie ma. Wtedy i obrazu nie ma i wtedy dopiero myślę, żem niedołęga, bo gdybym z nimfą potrafił rzeczywiście mówić, to bym też z łatwością do Pani Ludwiki list napisał albo do Pana, u których mam łaski.

Proszę mi na pocieszenie napisać, że słusznie sędzę, że nadziei nie mam tracić i że, kiedy tak dobre obrazy zacząę robić, jak Pańskie wiersze, to wtedy moje leśne miłośki nie będą mi przeszkadzały być tak, jak należy względem Kochanych, a na mnie łaskawych ludzi.

Adam Chmielowski, m. p.

19.

Szanowny Panie!

Dowiedziałem się od Pani Klimy o niepowodzeniach mego obrazu w Krakowie¹⁾). Napisałem dziś właśnie list do Dyrekcji, którego kopię Szanownemu Panu posyłam. Jeżeli, jak mam nadzieję, Szanowny Pan słuszność moich

¹⁾ Jest tu mowa o „Pikiecie“ wystawionej w Krakowie 1874 r. O całej tej sprawie pisałem już w przypisku do II-ej części dowodząc, że niniejszy list został wysłany z Zarzecza pod Jarosławiem.

uwag uzna, to bym prosił, ażeby Pan był łaskaw swoim wpływem do skutku mojej prośby dopomóc.

Bardzo mi przykro, że Panu się mój obraz nie podobał, ale sumienie moje nic mi nie wyrzuca; zrobiłem, co mogłem. Przyjąwszy raz zasadę z góry, że obraz z dziedziny fantazji należy bez modelu i bez natury malować, nie mógł obraz inaczej wypaść, jak wypadł, to jest bardzo szkicowo i bardzo mało plastycznie — a o to nie pewne wyglądanie starałem się nawet.

Bardzo jest dużo malarzy po świecie, których obrazy nikomu się nie podobają i uważane są słusznie albo mniej słusznie za podłe albo niedołeżne, tak przez publiczność, jak przez kompetentnych. Ale nikomu nie przychodzi do myśli tym biednym ludziom do zarobku przeszkadzać i o względy Publiczności się starać, zamykając przed nimi wystawy zwłaszcza wtedy, jeżeli do wystawienia zyskali sobie pracą ciężką choć małe prawa i jeżeli robili studia bez pomocy takich instytucyj jak wystawa. Zatem należało by im prędzej pomóc jak szkodzić i upokarzać nielegalnie.

Co do mnie osobiście, to nie bardzo żądny jestem sławy, pieniędzy i powodzeń — a nawet takie pragnienia potępiał bym w sobie. Moje inklinacje i pragnienia są całkiem nawet przeciwnie. Ale szanując każdego, z trudnością mi przychodzi znosić lekceważenie choćby osoby zbiorowej, jaką jest Dyrekcja.

Gdybym pierwszy raz wystawiał i nie był zaproszony, nie miałbym pretensji, ale nim będąc, mam jej troszkę. Nie godzi się, zaprosiwszy kogoś na herbatę, wypchnąć go za drzwi, bo to zawsze nie bardzo grzecznie.

Może bym zresztą zaniechał upominania się i o to, gdyby nie rozum, który nakazuje mi pamiętać o tym, że jeżeli wystawa Krakowska będzie dla mnie zamkniętą, nie będę miał gdzie pokazać swoich robót, choć bym i zrobił jakie odpowiedniejsze albo lepsze, a z nimi narzucać bym się już nie chciał. Musiałbym starać się wyjeżdżać do Warszawy, co by mi nie bardzo było wygodnie i starać się tam coś robić i wystawiać, a w wystawie tamecznej mam znacznie niższą opinię jak w Krakowskiej, bo natychmiast jechać za granicę, choćbym chciał, nie mógłbym.

Wszyscyśmy zdrowi; Staś Chojecki pojechał na polowanie do Tuligłówn, zaproszony przez Księcia Sapieżę, który tam na dziki poluje.

Dunia się bardzo objadła migdałów i chorowała na brzuszki dwa dni, teraz zdrowa, ale żaden środek rozwalniający nie chce skutkować; doktor powiada, że ma żółdek jak kania. Wszyscy dla jej nieczułości jesteście oburzeni.

Mania jest wściekła ze złości, że jej odebrali mamkę.

Byliśmy w Żurawiczkach i miałem tam mały tryumf, bom wygrał 3 fl. 50 c. w halbika.

Pani Fedorowicz ciągle nas zaprasza, a my ciągle odmawiamy, bojąc się otrucia.

Całuję rączki obojga Państwu, paniąkom ukłony

Adam Chmielowski, m. p.

20.

Sobota.

Szanowny Panie!

Jak zdrowie Szanownego Pana? Spodziewamy się, że lepiej. Pan Chojecki przyjechał wczoraj do Zarzecza¹⁾ i z tej to okazji piszę ten bilecik.

Flinty, którą Szanowny Pan zostawiłeś dla pana Chojeckiego, zapewne z rozkazem odesłania, nie odebrano. Ponieważ zaś Pan Chojecki nie ma strzelby na polowanie, którego się w tych dniach spodziewamy, zatem dobrze by było, żeby Szanowny Pan zatelegrafował do Zarzecza, gdzie i do kogo udać się należy, aby fuzję odebrać.

Z Pieniak pomysłne wieści o mieszkańcach drogich sercu Pana.

Za długą i zawsze łaskawą pamięć o mnie serdecznie dziękuję, chociaż nie zasłużony ale szczęśliwy. Przyjmuję to dobro z wdzięcznością.

Panna Maria zapewne będzie miała urazę do mnie, iż nie wymieniam po szczególe, komu i jak powodzi się w Pieniakach. Wiem ale nie powiem, żeby cokolwiek za-

¹⁾ Okazuje się więc, że i ten list pisany był w Zarzeczu u Chojeckich w 1874 r.

ostrzyć ciekawość i sprzeciwić się wedle zwyczaju, chociaż z oddalenia, kiedy nie mogę z bliska.

Książki dla Ks. Kowalskiego odesłałem ale przez P. Zaleskiego, który częściej jak Ks. Markiewicz widuje się z Ks. Kowalskim.

Poezję Szanownego Pana, które od Pani wzięłem, nie odsyłam; pokazało się bowiem, że załoga tutejsza ich wcale a przynajmniej nie wszystkie znała, zatem czyta z tym większą przyjemnością, że zna autora i jest dla niego z wielkim szacunkiem.

Pan Karol zasyła wyrazy uszanowania, a dla całego domu Szanownego Pana ukłony, Pan Chojecki — przypisek. Ja nareszcie, kończąc mój liścik, donoszę, że inserat w Czasie Sz. czytałem i z tej okazji ustaliłem sławę Pańską jako pierwszego strzelca Galicji i Lodomerii i zapewniam, że przynajmniej w Zarzeczcu ni w okolicy nikt nie ośmieliłby się szukać z Panem pojedynku. Racz Szanowny Pan przyjąć wyrazy szacunku, z jakim jestem

Adam Chmielowski, m. p.

Całuję rączki Pani i przypominam się pamięci panienek.

Dwa listy ze Starej Wsi

List do Heleny Modrzejewskiej¹⁾

Droga Pani Heleno! Posyłam Pani tę mądrą książeczkę na pamiątkę. Wesołą nowinę też posyłam, wesoła dla mnie i szczęśliwa nad wszelki wyraz; wstąpiłem do zakonu, za kilka dni dostanę suknię Jezuicką, tę sławną czarną sukienkę, pod którą tyłu świętych zwyciężało świat i siebie, a tyłu bohaterów krwią się oblało za Boga i Wiarę.

Znam dużo myśli Pani, znam Jej dobre serce dla mnie i szczerą przyjaźń, wiem także, że dusza Pani jest jak harfa o złotych strunach, której żadna wzniosła melodia nie

¹⁾ Helena Modrzejewska-Chłapowska (1840—1909), słynna aktorka, znana u nas i w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza ze swych kreacji szekspirowskich.

jest obca; wiem dobrze to wszystko i dlatego sędzę, że Pani ucieszy się moją teraźniejszą radością.

Już nie mogłem dłużej znosić tego złego życia, którym nas świat karmi; nie chciałem już dłużej tego ciężkiego łańcucha nosić. Świat jak złodziej wydziera co dzień i w każdej godzinie wszystko dobre z serca, wykrada miłość dla ludzi, wykrada spokój i szczęście, kradnie nam Boga i niebo. Dla tego wszystkiego wstępuję do zakonu; jeżeli duszę bym stracił, cóż by mi zostało? Słowacki, którego Pani tak bardzo lubi, mówi, że „Talenta są to w rękę szalonych latarnie, że światłem idą topić się do rzeki“. Jakież to okropne, a jakże często prawdziwe. Choć nie wiem, czy talent mam czy tylko talencik, to wiem jednak z pewnością, że jestem w drodze do powrotu znad samego brzegu tej smutnej rzeki, a wielu ich pochłoneła, tych nieszczęśliwych topielców i wielu wciąż pochłania! Sztuka i tylko sztuka, byle jej uśmiech albo cień uśmiechu, byle jedna róża z wianka bogini, bo z nią sława i dostatek i osobiste zadowolenie, mniejsza o resztę. Gubi się w szalonej gonitwie rodzinę, moralność, ojczyznę, związek z Bogiem, gubi wszystko, co dodatnie i święte. Lata uciekają, organizacja fizyczna niszczy się, a z nią i talent tak zwany, zostaje tylko rozpacz albo idiotyzm na dnie czaszki, poza tym śmierć. Ale żebyż tylko śmierć i nicość, ale i to nie, bo dusza nie umiera nigdy. Śmierć to tylko początek nowego życia, które trwa tysiąc lat w nieskończoność, życie rozpaczy i nieszczęścia. I czy ten miałby być los człowieka, co przez chrzest synem Boga został? Boć sam Pan Bóg kupił nas za synów i wszystką krwią swoją zapłacił, że już tylko woda pociekła; nie mógł ich taniej dostać, żeby przedział między człowiekiem stworzonym i Stworzycielem zapełnić.

Wiele myślałem w życiu, kto jest ta królowa sztuka i przyszedłem do przekonania, że jest to tylko wymysł ludzkiej wyobraźni, a raczej straszne widmo, które nam rzeczywistego Boga zasłania. Sztuka to tylko wyraz i nic innego; dzieła tej tak zwanej sztuki, są to zupełnie przyrodzone objawy naszej duszy, są to nasze własne dzieła i mówiąc po prostu, dobra jest rzecz, że je robimy, bo to naturalny sposób komunikacji i porozumienia się między nami. Ale jeżeli w tych dziełach kłaniamy się sobie, a od-

damy wszystko na ofiarę, to, choć to się nazywa zwykle kultem dla sztuki, w istocie rzeczy jest tylko egoizmem zamaskowanym; ubóstwiać siebie samego, to przecież najgłupszy i najpodlejszy gatunek bałwochwalstwa...

List do Józefa Chełmońskiego

Kochany Józefie!

Posyłam Ci obraz Matki Boskiej¹⁾, który mam po matce. Powieś go nad łóżkiem, żeby ta dobra Pani, którą przedstawia, strzegła Ciebie i twojego domu. Posyłam Ci książeczkę²⁾, z której się dowiesz wielu powodów, dla jakich ludzie do zakonów wstępują. Przeczytaj ją uważnie dla mojej miłości. Posyłam Ci także niedokończony list, który do Pani Heleny pisałem, bo wiele rzeczy, które do niej napisałem, Tobie bym także napisał.

Zanadto dobry jesteś artysta, żebyś miał nie wiedzieć co jest ze sztuką i jak jest i brać na serio estetyczne błazeństwa; zanadto też znowu rozumny jesteś człowiek, żebyś miał sądzić, że Pana Boga nie ma, a światy i ludzie z jakiegoś przypadku powstały. Dlatego Ci piszę i radzę jak twój szczerzy brat i kolega, żebyś się ratował i po prostu, po chłopsku do spowiedzi poszedł, jak możesz najprędzej: „żebyś miał grzechy czerwone jak krew, wybieleją Ci jak śnieg“, bo za nie Chrystus Pan odcierpiał na krzyżu. Nie ma tu co wiele myśleć i rozumować, bo to są Boskie i straszne tajemnice, ani nie ma z tymi rzeczami żartu i zwłoki, bo taka zabawa może kosztować miliardy lat męki. Jako ludzie cielesni jesteśmy synami naszych rodziców, bo z ciała rodzi się ciało, ale przez chrzest rodzimy się po raz drugi nie z ciała, ale z ducha Panu Bogu za synów. Za takich nas Pan Bóg przyjmuje i jako tacy jesteśmy zapisani w niebie: „Bogowieście i synami Naj-

¹⁾ Po śmierci Chełmońskiego córka jego wręczyła obrazek bratu Aniołowi w Warszawie, gdzie zniszczył razem z bogactwem stolicy w czasie powstania.

²⁾ Książeczką tą było zapewne „Naśladowanie Jezusa Chrystusa“ Tomasza a Kempis. Brat Albert zawsze je ze sobą nosił, brał nawet do pociągu i tam nieraz przygodnym towarzyszom podróżny jakiś ustęp odczytał, by wskazać na jego piękno.

wyższego wy wszyscy jesteście“, a tego charakteru nie nigdy zmazać z nas nie może. Kto to wie, ten widzi jasno, co jest piekło i rozumie doskonale, jak straszną rzeczą jest grzech, przez który Bóg nas, choć synów, odrzuca, a jeślibyśmy w grzechu pomarli, to na tamtym świecie jest ta męka bez końca i rozpacz, żeśmy dobrowolnie najwyższą naszą godność i szczęście utracili. Nie chcieliśmy Bogu służyć, pełniąc, co kazał, więc zamiast kochać, musimy przeklinać wiecznie.

Mój drogi Józefie, jeżeli z Panem Bogiem związek zerwałeś, zawiąż go na nowo i żyj jak prawy syn Boski, bo wielka jest godność twoja jako chrześcijanina na niebie i na ziemi. Kto z Bogiem zerwał, zawiązał z kimś drugim, i tamtemu dał nad sobą prawo. Nie ma nic trzeciego ani tu ani tam, jest tylko Bóg albo diabeł. Nicości nie ma po śmierci, bo dusza nieśmiertelna jest. My mamy wolę robić jak chcemy i iść na prawo albo na lewo, a czy tak trudna ta droga na prawo? Nie powiem ci: idź do zakonu, masz żonę i dziecko. Małżeństwo to też zakon bardzo święty i ma cały szereg świętych obowiązków, wystarcza, żeby człowieka dobrej woli do nieba zaprowadzić, ale ci radzę, żebyś przykazań pilnował, a do spowiedzi szedł, jak możesz często i ile razy ci się zdaje, żeś się zawałał i na nogach swoich nie stoisz. Pan Bóg wie dobrze, w jakim nikczemnym garnku duszę nosimy. Dlatego dał spowiedź jak krynicę, żebyśmy się w niej myli, bo życie brudzi każdego jak błoto. Dał też ciało i krew Syna, żebyśmy tę biedną duszę karmili; nie może dusza bez tej tajemniczej strawy żyć. Taka sama to karma dla niej, jak chleb i mleko dla ciała. Prawda jest, że to tajemnica niepojęta, ale też Pan Bóg dał coś nieznanego do serca, które poświadcza w głębi człowieka, że tak jest, nie inaczej. Komuż wreszcie wierzyć w tych tajemnicach, jeżeli Chrystusowi nie wierzyć? Powiedział o tych rzeczach, napisane zostawił, cudami poświadczył, a wszystką krwią ich prawdę przypieczętował. Jeżeli tym nie zasługuje na wiarę i jeżeli nie jest to istotnie Bóg, Syn Boga żywego, to chyba jest jakiś potworny szalbierz, który fałsze i błędy śmiercią potwierdza. Czy można to przypuścić? Czy można przypuścić, że te tysiące męczenników ćwiartowanych i palonych to tylko maniaki szalone i te znowu tysiące innych

ludzi, co w Kościele i wierze żyli i umierali, to półgłówki? Zatem ostatnia racja i prawda zostanie przy tych, co zabijają, kradną i gwałcą, przy tych, co mówią zawsze „może“, nigdy „tak“? Juści mają rację, jeżeli Boga nie ma ani przyszedłego życia. Ale przypuściwszy nawet, że tylko ci ostatni mają rację, przypuść też jeden raz na tysiąc, że prawda jest po stronie Chrystusa i jego wyznawców. Nuż więc po śmierci okaże się, że tak jest, nie inaczej, cóż wtedy? Straszna to gra i straszne ryzyko, nawet przeciwko tej jednej szansie. Na ostatku Ci piszę, żebyś sobie tego listu lekce nie ważył, ale raczej uważał dobrze, czyj to jest głos, co do Ciebie mówi. Jać piszę ten list, bom twój kolega, ale więcej daleko pisze do Ciebie moja miłość chrześcijańska, a czy wiesz co to jest miłość? Miłość jest Bóg, Duch Święty jest miłość. Dlatego ci radzę, żebyś dobrze pomyślał, zanim ten list do kąta rzucisz: Patrz, co robisz. To ostatnie ci radzę, jako twój wierny kolega, który szczerze pragnie, żebyśmy przyjaciółmi byli nie tylko przez życie, ale na wieki mieli złączone dusze i byli razem przez przyjaźń taką, dla której nie ma odległości ani czasu. Pragnąłbym jesienne włókna „babiego lata“, które nas wiążą, zamienić na łańcuch nie do rozerwania przyjaźni duchowej. Całuję Cię serdecznie, twojej żonie rączki całuję, choć nieznajomy. Do widzenia, mój drogi. Proszę Cię, żebyś paroma słowami odpisał. **Stara Wieś poczta Brzozów — Galicja — Adam Chmielowski.** Zacząłem nowicjat, czuję się bardzo szczęśliwy. Maluję i zapewne będę malował dużo i lepiej aniżeli dotąd. Zdrowszy jestem.

Sygieta pozdrawiam serdecznie, posyłam mu też książeczkę. Mógłbyś mę rożumu do głowy napędzić, dobry jest chłopiec, ale ma w głowie jak w kotle. Katechizmu nie umie, jak my wszyscy artyści; miesza wszystko do kupy, nie wiedząc, że człowiek to nie zwierzę, wbrew wszystkim naukowym badaniom, razem z Darwinem i doktorami. Miesza ludzi i zwierzęta, nie wie, że Bóg i duch ludzki są to rzeczy i pojęcia różne, bo jedno jest stworzone i marne, a to drugie jest niestworzone i wieczne. Religia znowu nie wiąże ciała i materii z jej Stworzycielem, bo to nie jest podobną rzeczą, ale wiąże religia duszę z Panem Bogiem wiecznym węzłem. A Kościół znowu katolicki, to

nie budynek z lichymi najczęściej obrazami, w którym się często modlą fałszywe dewotki i wielu do niego zapisanych katolików fałszywych, gdzie znaleźć też można złych i głupich księży, ale Kościół to jest sukcesja nieprzerwana świętych ludzi, czynów i zasad, która łączy w jedną całość mnóstwo ludzi, którzy żyli na świecie od dawna i żyją, niektórzy są w niebie i w czyście, inni na ziemi, a wszyscy są złączeni w jednym duchu, wspomagają się wzajemnie i ze sobą komunikują. To jest Kościół katolicki, święte ciało, choć w nim dużo członków chorych albo umarłych.

Sciskam Sygieta i jego łasce i przwiażni się polecam ²⁾).

Z listów do rodziny

Najmilsza Bratowo ¹⁾).

Serdecznie dziękuję za ten elegancki liścik i choć bardzo pragnę poznać jego autorkę, muszę oświadczyć, że nie przyjadę do Koreszkowa ²⁾). Służba traci wolność, a ja mam braci zakonnych, którym służyć powinienem i wielki tłum nędzarzy, którym jestem potrzebny tu w Krakowie. Natomiast mam nadzieję, że byle dobry był urodzaj pszenicy w Koreszkowie, zobaczę PP. Chmielowskich Stanisławów tutaj i tego bardzo pragnę, jak to już wyżej się rzekło.

Moje malarstwo ma zawsze zbyt, nie równo uprawiam, rwie się teraz jak nitki pajęczyny, choć się staram malować, kiedy mogę. Myślę, że kiedy bocian przyniesie do małego domku na leśnej lewandzie jakie cacko w prezencie, naprzykład harmonijkę żywą, muzyka przerwie

¹⁾ Nie wiemy, jak Chełmoński na ten list bezpośrednio zareagował, ale to pewna, że na przyjaciela się nie pogniewał, bo w kilka miesięcy potem, dowiedziawszy się o jego chorobie, pojechał wprost do OO. Jezuitów, by im wygarnąć wszystko, co się zagotowało w jego sercu bez zbadania sprawy. Pia Górską, o Chełmońskim, Warszawa 1932, s. 44—45.

²⁾ Maria z Kłopotowskich Stanisławowa Chmielowska, sama malarka, jak i jej córka Maria Ewa Łunkiewiczowa.

³⁾ Widocznie skończyła się dzierzawa Kudryniec Koziebrodzkiego i St. Chmielowski przeniósł się do Koreszkowa po swym ślubie.

spokój do malowania potrzebny i będzie się działo w tej rzeczy to samo w Koreszkowie, co na Skalce u św. Stanisława w Krakowie. Święty Stanisław Biskup, pod którego opieką oboje zostajemy, nie jest patronem malarzy jak wiadomo.

Krytyka artystyczna nie na tym nie straci, że nie pojedę do Koreszkowa na święta. Nigdy nie miałem zdecydowanego do krytyki powołania; mimo to muszę zaprotestować przeciwko temu, żeby moja bratowa i koleżanka pisała „Szanowny“ na tytule, a „Pan“ w tekście listu; do mnie koniecznie trzeba pisać „Kochany Bracie“, do biednego pokutnika, który bardzo jest ukontentowany, że bez zasługi swojej uzyskał miłą i wesołą i dowcipną siostrunię, której przyjaźni i modlitwom się polecam — Stanisławowi proszę przeczytać co następuje. Dziękuję ci za twoje poczciwe i serdeczne listy, na które miałbym długo odpisywać, a nie mogę dziś, bo zajęty jestem bardzo pilnym pisaniem urzędowych papierów a Pani Lucyna odjeżdża jutro i ma list zabrać.

Z dziwnego zrządzenia Pana Boga znanemu ci nie-dbaluchowi we wszystkich interesach przypadły w udziale kłopoty fundacyjne zgromadzenia zakonnego i posługiwanie całemu tłumowi nędzarzy. A tak przy nie dosyć systematycznym życiu i nierównym zdrowiu często nie mogę sobie zaradzić i zaniedbuję się w pisaniu listów, za co cię proszę o **przebaczenie**. Będziemy tu z braćmi Pana Boga prosić, **żeby pobłogosławił** raczył twojemu domowi **i całemu gospodarstwu** i żebyś wyszedł z kłopotów i mógł do nas przyjechać. Nagadalibyśmy się i pocieszyli lepiej niż przez pisanie. Był tu Marian³⁾, ale żadnej z nim nie miałem konwersacji: tak był swoją żonką zajęty; nie można się było z nim dogadać. Nie wiem, czy jest kto w mieście, któryby więcej był nie wolny niż ja. Na pół dnia wyjechać bym nie mógł, nie dopiero na Podole, chociaż taka podróż z wielu względów byłaby mi upragniona i dogadzała sercu.

Zauważyłem, że zbytnia troskliwość i kłopotliwe myśli szkodzą interesom, a do smutku i melancholii usposabiają, które rzeczy są trucizną życia. Miewamy tu nie-

³⁾ Drugi brat A. Chmielowskiego.

kiedy położenie pozornie bez wyjścia — i to bardzo często, jednak jakoś żyjemy i bracia i ubodzy. W trudnych razach uciekamy się do św. Józefa z prośbą o nasze potrzeby i zawsze jesteśmy poratowani. Znam tu wiele najpoważniejszych osób, którym się dzieje tak samo. Jeżeli nie chcecie uwierzyć, możecie sprawdzić łatwo, że jedno Zdrowaś do św. Józefa bardzo wiele znaczy. Nie wiem, czy ty, ale Pani Marychna ⁴⁾ pewno się trochę zna na tych katolickich artyfikacjach, bo Podolanki, o ile mi wiadomo, są bardzo pobożne, więcej niż tutejsze panie.

Pani Marychna musi znać bardzo dobrze Ks. Prałata; jeżeli będziecie kiedy w Szarogrodzie, proszę was bardzo usilnie, żebyście złożyli mu wizytę od siebie i ode mnie ⁵⁾. Ten święty Prałat był tak dobry i łaskawy dla mnie, jak nikt więcej być nie może. Za przyjazdem tu do Krakowa wpadłem w nacisk spraw tak mnie pochłaniających, że się zaniedbał w listach i nie napisałem ks. Prałatowi wiadomości o sobie, jak koniecznie trzeba było. Potem się łudziłem, że sam pojedę w tamte strony; a tak ze wstydem mojego niedbalstwa nie napisałem nic dotąd, ale już się ośmielę naprawić tę moją podłotę.

Zboża jeżeli nam chcesz darować, to Bóg ci zapłacić; będziemy się modlić, żebyś za każde ziarnko miał sto i żywot wieczny, jak to Pan Jezus obiecuje za jałmużnę dla Jego miłości daną. Ale gdybyś go koleją posłał, myślę, że by kosztowało zbyt dużo. Moi bracia ukwestowali trochę kartofli w górach i posłali koleją: zapłaciliśmy za transport 12 milowy prawie bodaj połowę wartości ceny miejscowej tych kartofli czy trzecią część. Jeżeli ci się więc podoba nas obdarować, to sprzedaj żydowi zboże nam przeznaczone, a pieniądze odeślij, to my sobie tu kupimy za nie czego nam będzie najbardziej potrzeba.

W dzień nie sposób wziąć pióro, żeby pisać list: tak wiele jest przeszkód. Trzeba kończyć, bo już trzecia po północy dochodzi; więc was całuję serdecznie. Adres jest taki: brat Albert III-go Zak. św. Franciszka, ul. Piekarska Nr 21, w Krakowie, albo jeśli tak lepiej: brat Albert, Piekarska 21, w Krakowie.

⁴⁾ Żona Stanisława Maria.

⁵⁾ Ks. Pogorzelski.

Z listów do Braci i Sióstr

Kraków, d. 10. XII. 1915.

Najmilszy bracie Bernardzie!

Może bym i mógł do was pojechać, gdyby mi się trochę poprawiło, chociaż niezupełnie, ale trudno tu dostać legitymację do podróży do Lwowa, będę się o nią starał ale czasu nie mogę naznaczyć.

Złoty zębów nie wolno braciom ani Siostrom nosić, bo to byłoby dla nas hańbą i zgorzeniem każdego, co by to widział. Złote zęby noszą tylko bogaci ludzie, ale chodzić w nędznym samodziale — boso i opasywać się powrozem a w gębie nosić złoto, to jest bezwstyd i brak wszelkiej delikatności, albo jakaś bezgraniczna ciemnota i głupota.

A trzeba też wiedzieć, że fundusze, które mamy w ręku, nie są naszą własnością, **ale należą do ubogich** i dla nich są nam dane. My zaś tymi pieniędzmi **administrujemy** i za tę pracę wolno nam zaopatrywać potrzeby do życia należące w ubogi sposób. Ale ani w społeczności ani pojedynczo nie wolno nam mieć żadnej własności, jak to św. Franciszek ustanowił: „ani domu, ani miejsca, ani żadnej rzeczy“. Każdy więc z naszych braci, któryby poza wolą i wiedzą przełożonego miał pieniądze albo pieniędzmi rozporządzał, niech dobrze wie, że dopuszcza się kradzieży i ma się z tego spowiadać.

Na żadne kasy poboczne, choćby w tym była jaka wygoda, nie pozwalam, ale każdy wydatek i dochód ma przechodzić przez ręce przełożonego i kasę główną.

Pewno czytaliście o tym mnichu, co zachował sobie pięć dukatów i za to pochowali go po śmierci w gnoju, z rozkazu przełożonego. Trzeba o tym pamiętać.

Ogólnie mówiąc, każde zgromadzenie zakonne polega na ścisłym zachowaniu rad ewangelicznych ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Który więc brat jest w zakonie, a tego zachować nie chce, to trzeba go natychmiast wydaląc jako zarazę i niszczyciela.

Pozdrawiam was i Siostry i opiece Boskiej polecam.

Wyjątek z notatnika rekolekcyjnego na św. Ludwika 1885 r.

Bóg jest miłością

Cztery noce: zmysłów, umysłu, pamięci, woli.

Wizje, objawienia i wszystko, co w tym rodzaju można pomyśleć, nie są warte jednego aktu pokory.

Dobrze nie mieć darów szczególnych, bo się jest ochronion od pychy; abnegacja, wyrzeczenie się siebie.

Zjednoczenie z Bogiem jest ważniejsze od wszystkich innych obowiązków. W nim jest najpewniejszy środek do prowadzenia wszystkiego ku dobremu; modlić się, wierzyć, nie wątpiąc. Św. Piotr począł tonać, kiedy począł wątpić...

Umartwienie oczu...

Tylko dwie rzeczy mogą wywołać zadowolenie: rozkosz zmysłowa i wrażenie od rzeczy zewnętrznych albo komunikacja wewnętrzna z Bogiem.

Doskonałością cnoty jest sam Bóg. Chcieć doskonałości Ewangelii, jest chcieć Chrystusa Pana, czyli kochać Go z całego serca, duszy i z całej myśli. Wykonać: jest to wierność tej miłości.

Postanowienie. Jeżeli poczuje upodobanie i przywiązanie do rzeczy jakiej, odrzucę ją natychmiast. O ile przypominają cel tj. zjednoczenie...

Postanowienie. Jeżeli poznam, że coś jest doskonalsze, uczynię. Nie jest miłość doskonała, jeżeli nie jest na tyle dosyć silna i szlachetna, aby oczyściła duszę ze wszystkich uczuć obcych.

Notuję już tylko fragmenty z notatnika:

„Gdzie się ukryłeś?... Trójca Św. ukrywa się w środku duszy.

Zostając franciszkanami, trzeba albo przystosować się do formy egzystującej i oprzeć się na którym z zakonów albo stworzyć nową formę czyli reformę.

Potrzebuję się z Ojcem zjednoczyć. Ojca nie rozumię; jeżeli się stanę duchowniejszym, zrozumię.

Zgodzić się na jedno na teraz i nadal. Może nas złączy św. Jan od Krzyża.

Mankietnicy pokazali, jak jest skuteczne tercjarstwo, zorganizowane w parafiach.

Modlitwa:

„Królu niebios cierniem ukoronowany, ubiczowany, w purpurę odziany. Królu znieważony, oplwany, bądź królem i panem naszym tu i na wieki Amen“.

Dusza ofiarna Brata Alberta wypowiada się także we formule ślubnej, jaką przygotował dla swych braci i w kilku egzemplarzach własnoręcznie napisał. Należy zwrócić uwagę na moment osobisty, jaki się we formie wypowiada i na podkreślenie Ewangelii jako normy życia na całą przyszłość. Chwyta za serce także to, że przyjmujący śluby Brat Starszy, w pierwszej fazie istnienia Zgromadzenia sam Brat Albert, wkracza czynnie w akt tak uroczysty dla wstępującego do Zgromadzenia. Tekst podaje według autografu Brata Alberta, wpisując także imię ślubującego w danym dniu.

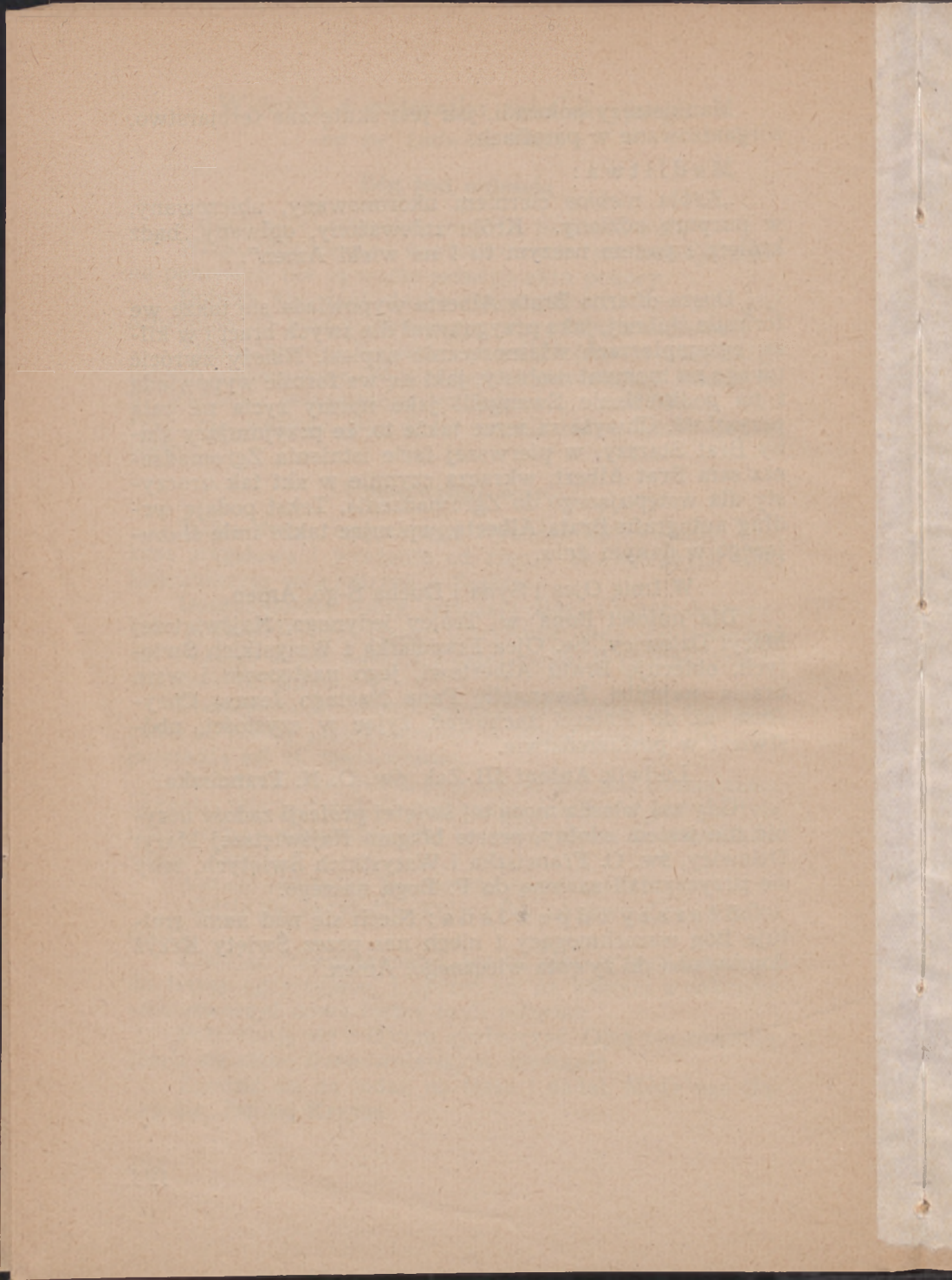
W Imię Ojca i Syna i Ducha Ś-go. Amen.

Dla miłości Boga w Trójcy jedyne, Najświętszej Maryi Dziewicy, św. Ojca Franciszka i Wszystkich Świętych, obiecuję Bratu Albertowi, jego następcom i wam bracia najmilsi, Ewangelię Pana Naszego Jezusa Chrystusa aż do śmierci zachować, żyjąc w czystości, ubóstwie i w posłuszeństwie.

Ludwik Antoni III Zak. św. O. N. Franciszka.

Gdy zaś własną mocą tej świętej profesji zadość uczynić nie jestem zdolny, przeto błagam Najświętszej Maryi Dziewicy, św. O. Franciszka i Wszystkich Świętych, żeby się przyczyniali za mną do P. Boga naszego.

Starszy odpowiada: Niech się nad nami zmiłuje Bóg wszechmogący i niech nas przez Święty Krzyż doprowadzi do żywota wiecznego. Amen.



BIBLIOGRAFIA

RECEIVED

I. Rękopisy

Obfite materiały rękopiśmienne znajdują się najpierw w Magistracie krakowskim a specjalnie w Wydziale Opieki Społecznej. Miałem pod ręką bogate wypisy z tego archiwum, ale nie chciałem ich wprowadzać w dyskusję, zostawiając to na przyszłość komu innemu. U Braci Albertynów w Krakowie znajduje się kopia umcwy z Magistratem z 1 listopada 1888 r., Porządek dzienny Miejskiego Domu Pracy, Sprawozdanie Brata Alberta z pracy w Ogrzewalni za r. 1890, oraz skrzętnie pozbierane zewsząd fotografie. Ważnym dokumentem są listy Adama Chmielowskiego do Siemińskiego i Brata Alberta do poszczególnych Braci w sprawach Zgromadzenia. Wdzięczność należy się Braciom za początek Muzeum Brata Alberta, gdzie się ratuje obrazy od zniszczenia i rozproszenia. U Sióstr Albertynek przechowuje się oryginały listów do Siostry Starszej, Bernardyny, w jej sprawach osobistych, oraz notatnik rekolekcyjny wraz z myślami o życiu wewnętrznym. Znajduje się tam także rękopis Ks. Czesława Lewandowskiego z niedokończonym, obszerniejszym zyciorysem Brata Alberta. Wielki skarb stanowią dwie teki odpisów wszelkiego materiału, jaki się odnosi do Brata Alberta. Znane są z K. J. S. obrazy, przechowane u SS. Albertynek. Dodatkowo zaznaczę, że widziałem przed wojną u Braci Albertynów na Zwierzyńcu gruby zeszyt wspomnień, spisywanych skrzętnie na to, by retrospektywnie odtworzyć przeszłość i uratować ją od zapomnienia wobec braku systematycznie prowadzonej kroniki. Kuria Metropolitalna w Krakowie posiada niektóre dokumenty, odnoszące się do dziejów Zgromadzenia w obrębie diecezji. Kilka listów znajduje się także w rękę inż. Rutkowskiego w Krakowie, ale nie mogłem ich dostać

w ręce wskutek niemożliwości ich odszukania po wypadkach wojennych. Rękopiśmienny materiał można także znaleźć w archiwach magistrackich wszystkich miast, w których osiadły obydwaj Zgromadzenia dla pracy Zgromadzenia.

II. Druki

Sam Brat Albert ogłosił drukiem jeszcze jako Adam Chmielowski: O Istocie Sztuki, Ateneum 1876, II. 428—31; Przewodnik do Reguły III Zakonu, Kraków 1888; Św. Jan od Krzyża, Nauki i Ostrożności Duchowne, Kraków 1912; Sprawozdanie z posługi ubogim... Kraków 1890.

Materiały obfite do życia Brata Alberta pojawiały się w miesięczniku, wydawanym przez Albertynów w Krakowie od r. 1932 jako „Nasza Myśl“, od r. 1937—39 jako „Głos Brata Alberta“; dalsze wiadomości pojawiały się w „Kalendarzu Brata Alberta“ od 1933—39. Nie sięgając do tych materiałów, nie można dzisiaj pisać życiorysu Brata Alberta.

Z opracowań pojawiły się: Józef Nekanda Trepka, Trzydzieści trzy lat walki z nędzą, Kraków 1921. Ks. Czesław Lewandowski, Brat Albert, Kraków, 1926. Jest to pierwszy obszerniejszy żywot, napisany przez przyjaciela i kierownika sumienia Zmarłego. Podaje on m. in. historię domów, jakie obydwaj Zgromadzenia otwierały na terenie całej Polski. Obszerniejszy żywot dotąd niedokończony pozostał w rękopisie. Ks. Władysław Staich, Brat Albert, Kraków 1932; po węgiersku Albert Testver, Varso 1938. Michalina Janoszanka, Brat Albert, Kraków 1926. Dr St. Niemcówna, Brat Albert, Kraków 1933. Mgr A. Florczak, Brat Albert i jego dzieło, Lwów 1933 — Brat Albert, Warszawa 1934, Kłosy z Bożej Roli. Ks. Gr. K. Paźmowski — Wierciak Zygmunt, Życie Brata Alberta w obrazach, Kraków 1936. Maria Witkiewiczówna, Adam Chmielowski 1933. Adolf Nowaczyński, Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia, Brat Albert, „Tęcza“ 1935 i osobno, Poznań 1936. W r. 1945 ukazał się przekład włoski. Żywot napisany z wielkim talentem literackim i na umiejętnie narysowanym tle, ale pojawiają się błędy w datach i faktach. Pia Górską, Szary Brat, Warszawa

1936. Maria Morstin-Górska, Brat Albert na tle okresu walki z romantyzmem, Przegląd Powszechny 1935, nr 4. Ta sama, Adam Chmielowski — Brat Albert, Verbum 1936, nr 2. Ks. K. Michalski, Brat Albert, Sól Polskiej ziemi, s. 235—256, Koło Studiów Katolickich, Warszawa 1937. Ks. K. Michalski, dr Feliks Kopera, Chmielowski Adam (Brat Albert), Polski Słownik Biograficzny, Kraków 1938. Ks. Henryk Weryński, Brat Albert i jego dzieło, Szkoła Chrystusowa 1938, nr 5, także osobno. O. Bernard, Karmelita b., Człowiek wiecznego dążenia, Lublin 1938, Prąd VIII. Tenże, Sylwetka duchowa Brata Alberta, Włocławek 1938, Ateneum kapłańskie nr IX. Tenże, Brat Albert a św. Jan od Krzyża, Głos Karmelu nr 5—10, 1938, Kraków. Tenże, Duchowość Brata Alberta, Kraków 1938. Podaje stosunek Brata Alberta do św. Franciszka z Assyżu i św. Jana od Krzyża. Franciszek Woltyński, Adam Chmielowski (Brat Albert) jako malarz, Kraków 1938 z 51 tablicami. Sporo pomyłek. Ks. Konstanty Michalski — Brat Albert, Kraków 1939. Dr Jerzy Sienkiewicz, Adam Chmielowski — Brat Albert (1846—1916), Warszawa 1939. Doskonałe zestawienia obrazów i rysunków Brata Alberta z wielu poprawkami, a nie wielu pomyłkami. Ks. dr Eugeniusz Chomrański, Brat Albert, Ojciec bezdomnych, Caritas 1946, nr 9. Dr M. Niwiński i Mgr H. Jasiński, Dom Brata Alberta, Kraków 1939. Nie sprawdzono ukazania się dwóch publikacji: Ks. Biskupa dr. Kubina, Brat Albert i Zofia Poreyko, Brat Albert. Pani Z. Poreyko położyła wielkie zasługi w gromadzeniu materiałów ze wszystkich stron kraju.

Ze wspomnień zasługują na uwagę: Bogdalski Cz., Brat Albert, Dzwonek III Zakonu, kwiecień, maj, czerwiec 1917. Piotrowski A., Ze wspomnień o Adamie Chmielowskim, Nowa Reforma, 4. I. 1917. Szeptycki, Ks. Arcybiskup Metropolita, Ze wspomnień o Bracie Albercie, Kraków 1934. Modrzejewska H., Wspomnienia i wrażenia na polskiej scenie, Czas 1910, nr 403. Witkiewiczówna M., Wspomnienia o Adamie Chmielowskim, Kraków 1933. Liczne wspomnienia pojawiły się w „Naszej Myśli“ i w „Głosie Brata Alberta“. W „Głosie Brata Alberta“ pojawiła się też doskonała rozprawka Justyna Sokulskiego o udziale A. Ch. w powstaniu styczniowym z podaniem odnośnych

pamiętników. Zbiór pamiętników z powstania styczniowego ogłoszono p. t. W czterdziestą rocznicę powstania styczniowego, Lwów 1903. Specjalne zagadnienie porusza Ks. Konstanty Michalski: Listy Adama Chmielowskiego do Łucjana Siemieńskiego (Księga Pamiątkowa Dziewięćdziesięciolecia Dziennika „Czas“ 1848—1938, Kraków—Warszawa). Należy się strzec błędów w przygodnie napisanych życiorysach po różnych encyklopediach i katalogach. Z literatury pomocniczej można wymienić: Historia sztuki, opracowana przez kilku autorów, Tom III, Lwów: 1934. Kopera F., Dzieje malarstwa w Polsce, Kraków 1929. Sygietyński A., Maksymilian Gierymski, Witkiewicz St., Sztuka i krytyka u nas, 1809, 109; tenże, Al. Gierymski, Lwów 1903. Pia Górska, O Chełmońskim, Warszawa 1932.



T R E Ś Ć

Przedmowa	5
Część pierwsza: BRAT ALBERT	7
1. W poszukiwaniu dróg	9
2. Na drodze	22
3. W ogrzewalni	25
4. Plotka, legenda i rzeczywistość	29
Część druga: W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN	35
Szkic charakterologiczny	37
Okres I: Góruje natura i sztuka	38
1. Pochodzenie Brata Alberta	39
2. Przyjaźń	40
3. Sztuka	44
4. Sztuka czy Bóg	48
5. Długie rekolekcje	55
Okres II: Góruje łaska nad naturą	60
1. Pierwszy tercjarz polski	61
2. Trzy drogi do Boga	64
3. Dwa rodzaje kontemplacji	71
4. Nowy świat	76
5. Zakończenie	94
Schematy biograficzne	97
Część trzecia: LISTY	141
1. Wstęp	143
2. Listy do Ł. Siemieńskiego	148
3. Dwa listy ze Starej Wsi	185
4. Z listów do rodziny	190
5. Z listów do Braci i Sióstr	193
6. Wyjątek z notatnika rekolekcyjnego	194
Bibliografia	197
I. Rękopisy	199
II. Druki	200

40-
187055/4848

STRONĘ TYTUŁOWĄ PROJEKTOWAŁ
SEWERYN JASIŃSKI
PODŁUG WINIETY BRATA ALBERTA